

olska kultura z ręką w jogurcie • Balicka próbuje się odmłodzić

PRZE KROJ

NUMER 8/2905

25 LUTEGO 2001 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



NIEMEN

Boję się tłumu

ISSN 0033-2488



Indeks 371424 • Y-9013-C



Życie społeczeństwa nie jest takim chaosem, jak się wydaje.

Tyle wiem z socjologii.

Nazywam się Jerzy Szacki.
Jestem jednym z 3000 autorów
WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.



WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN
to dzieło na miarę XXI wieku.

Trzy tysiące specjalistów, reprezentujących wszystkie dziedziny
wiedzy, czuwa nad redakcją największej polskiej encyklopedii uniwersalnej.

Owoce tej pracy będzie 30 tomów, zawierających łącznie
140 tysięcy haseł i 15 tysięcy ilustracji, 700 map i wiele tabel.

A wszystko to na przeszło 17 tysiącach stron.

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN
to kompletny obraz współczesnego
świata i Polski, życia na Ziemi,
dziejów cywilizacji i kultury.



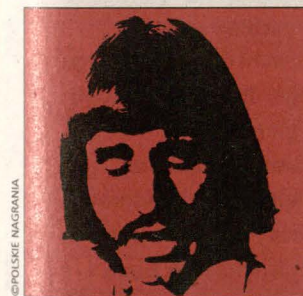
WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN  Encyklopedia wielka jak świat.

Weź udział w subskrypcji WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.

Szczegóły: ulgowa linia informacyjna 0801 33 33 88 (opłata: 35 gr + 22% VAT za każde rozpoczęte 3 minuty)
<http://we.pwn.com.pl>



12 KULTURA Z RĘKĄ W JOGURCIE. Na wniosek Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego premier Buzek ogłosił bieżący rok „Rokiem Kultury”. Choć mija pierwszy kwartał, ministerstwo nie ma dokładnego planu akcji, a jej budżet określa jako otwarty – ANNA KOSOWSKA-CZUBAJ.



© POLSKIE NAGRANIA

16 NIEŻYCIOWY FRAJER NA PARADZIE SZYDERCÓW. – Nie można zbyt długo pukać się w czoło i zastanawiać, dlaczego komuś wygodniej nosić głowę na skróconej szyi – mówi CZESŁAW NIEMEN. Zapowiedział, że ten wywiad jest ostatnim, jakiego udzielił.



FOT. RENE BURR/MAGNUM PICTURES

38 TORS PICASSA. Ostatni wielki malarz europejski. Wszyscy następni byli jego epigonami, aż do czasu Warhola, który zrównał stworzenie dzieła malarskiego z aktem naciśnięcia migawki aparatu fotograficznego.

Łoża – dzisiaj KYDRYŃSKI 4
Tygodnik 5
Przekrój tygodnia 6
Temat w „Przekroju” 12
Ostatni wywiad Czesława Niemena 16

Starość zakonspirowana
Dziś absolutnie niemożliwy stał się naturalny cykl biologiczny 22
Przekrój kulturalny PASIKOWSKI I „KOBIECY” 26

Było, nie minęło
IBM oskarżony o udział w zbrodni ludobójstwa 30
Informator kulturalny 36
Galeria 38
Bikont grzebie w starych „Przekrojach” 46
Świat 48
Mieszanka firmowa 50

Formy
23 najwybitniejszych architektów na wystawie w Warszawie 52
Dziennik duszy ADAMA WIEDEMANNY 59

Baśniowy szlak braci Grimm
W Hesji są magiczne miasteczka, gdzie wciąż żyją uśpione królowe 60

Markiz de Sade Superstar
Gdy fizjologia bierze górę nad etyką, na scenę wchodzi boski markiz 63
Kuchnia 66
Co Pan na to, Panie LEM 67
Zdrowie 68
Nauka 70
Internet 72

Czarodzieje parkietu
Instrukcja obsługi telewizora 74
Kwestionariusz Prusa 76
Odpowiada ANDRZEJ CZECZOT 77
Listy 78
Krzyżówka 80
Szatnia – dzisiaj PODSIADŁO 82
Rozmaitości 84

WYDAWNICTWO „PRZĘKRÓJ” Sp. z o.o. ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3 lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533, e-mail: prze_red@przekroj.pl; TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33, 422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37. Fax: (012) 421-49-29, 422-70-61.

ZAŁOŻYŁ w Krakowie Marian Eile. REDAKTOR-SENIOR: Ludwik Jerzy Kern. PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR WYDAWNICTWA: Leopold Stefański. REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus. Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont. SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko, Józef Lubiński, Andrzej Ruchałowski. KIEROWNICY DZIAŁÓW: Aktualności – Jerzy Piekarczyk, Kultura – Marcin Baran, Ludzie i obyczaje – Wojciech Czuchnowski, Nauka i zdrowie – Janusz Marjan, Rozmaitości – Marcin Fedisz, Publicysta – Leszek Mazan. KIEROWNIK ARTYSTYCZNY – Bożena Kalinowska. FOTOEDYTOR: Marcin Gędryna. PRACOWNIA GRAFICZNO-KOMPUTEROWA: Joanna Sroka (kierownik), Piotr Gidlewski. KOREKTA: Barbara Wojtanowicz (kierownik). PRODUKCJA – Andrzej Laurisz. WYDAWNICTWO: gł. księgową – Halina Zięba, kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik). DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik), Władaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”). DZIAŁ REKLAMY: Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A, tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62, Halina Sulkowska. Biuro w Krakowie: (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz. NASZE KONTO: Bank Pekao SA – Grupa Pekao SA O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001. DRUK: Donnelley Polish American Printing Company DPA Kraków. PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja; zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33. Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-40060347-2700-401112-001, tel. +48(22) 5328-731, fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja (wpłata na podane wyżej konto bankowe). Artykułów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Nakład: 80 000 egz.

Kochani, przestańcie kłamać!

Brak talentu najłatwiej nadrobić ideologicznym zadaniem. Wiedzą o tym dzisiejsi hochsztaplerzy kultury i korzystają z tej wiedzy w sposób tyleż komiczny, co bezczelny. Wiadomo, na przykład, że trudniej namalować pejzaż, niż zrobić – tak dogłębnie ostatnio omawianą w wielu pismach – kupę, ale coś prostszego od wmówienia prostaczkom, że pejzaż to knot i jakkolwiek by go artystycznie nie przetworzyć, to z powodzeniem może go zastąpić byle fotografia, natomiast kupa usadzona w galerii sztuki to manifest



Wydawało mi się, że dzieło sztuki samo przemawia za siebie. A tu paru kolesiów – cmokerów wmawia nam, że kupa w galerii to artystyczne wydarzenie.

wolności, odrzucenie zatęchłych konwencji, bunt przeciw mieszczańskiej prudencji itd., itd. Zawsze znajdzie się paru kolesiów-cmokerów, którzy tę przysłowiową kupę uznają za artystyczne wydarzenie, a zdeorientowane, już z góry sterroryzowane przez cwaniaków szare masy, aby nie wydać się tępakami z ciemnogrodu, przyznają, że co jak co, ale ta kupa pachnie istotnie pięknie. No, więc tak. Zawsze wydawało mi się, że dzieło sztuki powinno samo przemawiać za siebie. Patrzysz lub słuchasz i albo robi to na tobie wrażenie, albo nie. Teraz – inaczej. Patrzymy lub słuchamy jakiegoś zera nie wyrażającego niczego i musimy

dopiero przeczytać nadęty, zawity komentarz, by dojść do wniosku, że oto stoimy oko w oko (lub ucho w ucho) z arcydziełem, którego twórca nie umie wprowadzić ani skomponować paru taktów, ani namalować człowieka, ale ma pełne samouwielbienia poczucie swej misji i wielkości. Jestem wstecznikiem. Wzdycham do czasów, w których artyści nie chcieli ani zbawić świata, ani mnie pouczać, ani szokować, ale mieli ambicję, by to, co robią, robić po prostu dobrze. Ani Mozart, ani Rossini nie udawali, że swą twórczością wypełniają jakąś szczytną misję, komponowali utwory na konkretne zamówienia, brali za to pieniądze, starali się z tych zamówień wywiązać najlepiej, jak potrafili. I powstawały arcydzieła, które przetrwały wieki, a nie jedną wystawę czy jedną Warszawską Jesień...

Przypomina mi o tym, co jakiś czas, nieoceniona Warszawska Opera Kameralna swymi unikatowymi w skali światowej festiwalami wszystkich dzieł scenicznych Mozarta czy oper Monteverdiego, a ostatnio – oper Gioacchina Rossiniego. Słuchałem tam teraz „Sroki złodziejki” – utworu dość niezwykłego w twórczości Rossiniego, bo dramatycznego, opartego na historii wziętej z życia, stojącego już właściwie u progu opery werystycznej. Jest to dzieło stosunkowo rzadko wznawiane, a przecież niezwykle piękne i atrakcyjne. Spektakl u dyrektora Sutkowskiego, reżyserowany przez Ryszarda Peryta, ze znakomitą Marzanną Rudnicką w głównej partii (ale nie tytułowej, broń Boże!) wydobyl wszystkie jego uroki...

Rossini... Ze swego długiego, 76-letniego życia właściwie najmniej czasu poświęcił muzyce, nieco więcej kobietom, a najwięcej jedzeniu. Gdy miał zaledwie 37 lat i był w znakomitej formie twórczej i fizycznej, obraził się na świat i na ludzi, przestał komponować, zajął się nową żoną, obmyśleniem przepisów kulinarnych, przyjmowaniem przyjaciół, i w ogóle zaczął po prostu cieszyć się życiem. A nas cieszył i cieszy do dziś blisko czterdziestoma operami, skomponowanymi w ciągu piętnastu lat błyskawicznie, w dwa, trzy tygodnie. Nigdy nie tworzył w tzw. mękach twórczych, po prostu lubił swoją pracę! Nigdy niczego nie udawał, nie kłamał słuchaczom, nie nadymał się – choć miałby ku temu powody – nie puszył się tak, jak dzisiaj czynią to gwiazdy jednego koncertu, jednego wernisażu... Od blisko pół wieku chodzę na festiwale Warszawskiej Jesieni. Co z nich do dziś pozostało w historii muzyki? Pozostali ci, którzy mieli autentyczny talent: Penderecki, Lutosławski, Baird, pozostanie pewnie Myketyń czy Szymański, natomiast przeminęli z kretelem ci, co to tłukli kamyczkiem o kamyczek i wmawiali nam, że to jest też muzyka.

Kochani, przestańcie kłamać! Przestańcie udawać, że macie talent, przestańcie udawać, że coś umiecie, jeśli umiecie tylko robić kupę. Bo to przecież jeszcze parę osób, poza wami, potrafi.

LUCJAN KYDRYŃSKI

ŚRODA 21 LUTEGO 2001

Eleonory, Feliksa, Kiejstuta
Wschód słońca: 6.39. Zachód: 17.01.

- 65-letnia kolejka linowa na Kasprowy Wierch, uruchomiona w 1936 r., ciągle wozi. Tylko śniegu mniej.
- 85 lat temu rozpoczęła się bitwa pod Verdun. W dziewięć miesięcy pochłonęła około miliona ofiar.

CZWARTEK 22.02.2001

Małgorzaty, Marty, Wrocisława
Wschód słońca: 6.37. Zachód: 17.02.

- Tłusty czwartek. Dzień bicia rekordów w spożyciu paczków na głowę Polaka. Sami warszawiacy zjadają ćwierć miliona sztuk. Do pomnożenia przez ok. 300 kcal. Smaży się je od XVII w.

PIĄTEK 23.02.2001

Izabeli, Romy, Damiana
Wschód słońca: 6.35. Zachód: 17.04.

- Gdy Księżyc w znaku Ryb, odporności nam doda napar z pokrzywy, rumianku i mięty z miodem. Ziołowa kuracja powinna także poprawić przemianę materii.

SOBOTA 24.02.2001

Bogusza, Macieja, Sergiusza
Wschód słońca: 6.33. Zachód: 17.06.

- Śnieg i mróz w dniu dzisiejszym oznacza, że przez najbliższe 10 dni temperatura utrzyma się poniżej zera. Odwilż – zapowiada rychłą wiosnę.

NIEDZIELA 25.02.2001

Cezarego, Wiktora, Zygryda
Wschód słońca: 6.31. Zachód: 17.08.

- Przed 45 laty podczas zamkniętego posiedzenia na XX zjeździe KPZR Nikita Chruszczow wygłosił tajny referat „O kulcie jednostki i jego następstwach”.
- Zachęcamy do wizyty w Muzeum Narodowym w Warszawie u Augusta Renoira – w 160. rocznicę urodzin.

PONIEDZIAŁEK 26.02.2001

Lutosławy, Aleksandra, Mirosława
Wschód słońca: 6.29. Zachód: 17.10.

- Dla maluczkich, ale i tuzów sceny politycznej polecamy kryształ górski. Obdarza żywą wyobraźnią, intuicją i głębią myśli. Ludziom spod znaku Ryb przynosi szczęście.

WTOREK 27.02.2001

Anastazji, Gabriela, Juliana
Wschód słońca: 6.27. Zachód: 17.12.

- W 1977 r. premiera „Człowieka z marmuru” Wajdy. Debiut aktorski Krystyny Jandy. Polski rachunek sumienia. Nie pierwszy, nie ostatni.
- Kres karnawału. Pora na tradycyjną śledziówkę – potańcówkę, a bodaj uwarzenie tradycyjnej jajecznicy.

DOBRE SŁOWO

„Gdyby na świecie była tylko radość, to nigdy nie nauczylibyśmy się odwagi i cierpliwości”

– Hellen Adams Keller

CZWARTEK 22.02.2001

Kraków potęgą morską jest i basta! W odległym od morza o dobrych kilkaset kilometrów grodzie odbywa się jubileuszowy XX Międzynarodowy Festiwal Piosenki Żeglarskiej „Shanties 2001”. Z tej okazji nie zabraknie wspomnień – m.in. koncertu laureatów pierwszego konkursu. W sobotę zaśpiewają gwiazdy: Ryczące Dwudziestki, Mechanicy Shanty, Cztery Refy, Łotry Shanghaiu. W niedzielę – finałowy koncert laureatów 2001 i pozostałych uczestników imprezy. Sceną dla marynarskich pieśni będzie do 25.02 hala „Korony”. Stary Kraków, przycumowany do rufy, popłynie w rozkołysany rejs...



WARTO POSŁUCHAĆ. W Poznaniu startuje VII Światowy Festiwal Chórów Chłopięcych. (22.02.2000). Obok siebie pojawiają się dwa „konkurencyjne” poznańskie zespoły: „Poznańskie Słowiki” prof. Stefana Stuligrosza i „Polskie Słowiki” Wojciecha Kroloppa, goście zagraniczni m.in. z Oksfordu, Ukrainy, Holandii.



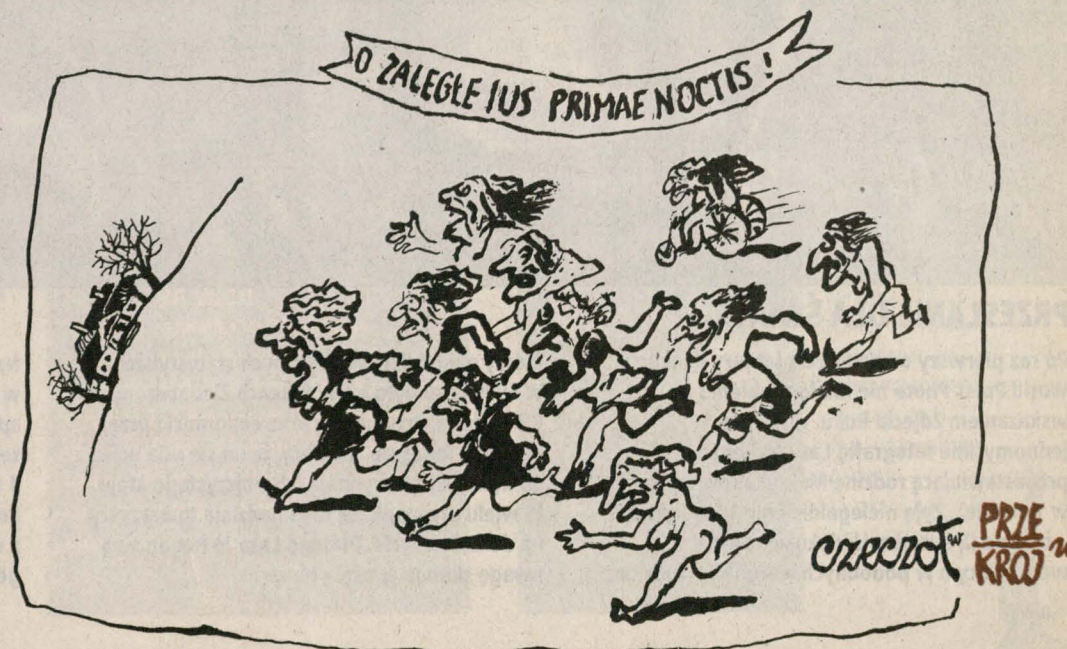
POGODA na cały tydzień

Na tereny Rosji, a dokładnie na obszar wschodniej Syberii, przedostało się ponad 10 tys. antylop. Nie były przez nikogo agitowane, po prostu szukają pożywienia. Na stepach Mongolii panują wyjątkowo silne mrozy (przez wiele dni sięgające minus 45 st. C), połączone z opadami śniegu. Zwierzęta zostały odcięte od pożywienia grubą warstwą śniegu – stąd ta emigracja. Według pracowników inspektoratu łowiectwa przy granicy kręci się jeszcze ponoć około 70 tys. antylop. Na szczęście dla nich, w Rosji antylopy znajdują się pod ochroną.

Tymczasem u nas – powrót zimy. Z północy zacznie napływać chłodniejsze powietrze, które przyniesie nam trochę śniegu. Jedynie nad morzem temperatura nieco powyżej zera, poza tym w kraju lekki mróz, a w nocy spadki nawet do minus 10 st. C. Z pewnością w górach poprawią się warunki narciarskie. Tylko na jak długo? Zapraszam za tydzień.

TOMASZ ZUBILEWICZ (TVN)

IMIĘ TYGODNIA: MARTA – z jęz. aramejskiego „pani domu”, „gospodyni”. Święta Marta patronuje kucharzom i hotelarzom oraz gospodyniom domowym.





PRZESŁANIE DLA ŚWIATA

Po raz pierwszy od dziesięciu lat jury konkursu World Press Photo nie miało problemu ze wskazaniem Zdjęcia Roku. Wybrano jednomyślnie fotografię Lary Jo Regan, przedstawiającą rodzinę Meksykanów żyjących w Teksasie. „Żyją nielegalnie i nie są szanowani” – opisała ją autorka, dedykując zdjęcie „wędrującym w podobnych warunkach ludziom,

którzy nie istnieją w oficjalnych statystykach. W 1999 roku było ich w Stanach Zjednoczonych 8,5 miliona. Przybywają jako emigranci i przez cały czas łudzą się nadzieją, że im się uda uciec od nędzy, która wygnała ich z ojczystego kraju. W wielu przypadkach taka nadzieja towarzyszy im do końca życia. Dlatego Lara Jo Regan swą uwagę skupiła właśnie na nich.

Nagrodzone zdjęcie, opublikowane wcześniej w amerykańskim magazynie „Life”, wybrano spośród 42 tysięcy prac, jakie na 44. edycję tego prestiżowego konkursu przysłało prawie 4 tysiące fotoreporterów ze 122 krajów świata. Początkowo nikt z jurorów nie liczył się z wyborem tego właśnie zdjęcia, gdyż odbiegało od tradycji konkursu,

który nagradzał fotografie dotyczące wydarzeń. W tym przypadku zwyciężył temat. Konkurencja była wyjątkowa. Ostatecznie w ścisłym finale znalazło się nie 9, jak w roku ubiegłym, a 27 prac. Amerykanka Lara Jo Regan jest trzecią w historii tego konkursu kobietą nagrodzoną najwyższym wyróżnieniem.

FOT. LARA JO REGAN/UEFA/WORLD PRESS PHOTO, LESZEK WRÓBLEWSKI/PAP, JACEK BEDNARCZYK/PAP, ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

RÓŻNICA W CZASIE

W ramach wynegocjowanego kompromisu w uchwale zarządu odnowionej AWS, zamiast stwierdzenia: „odsuwamy ludzi, którzy się nie sprawdzili, stawiając na tych, którzy okazali się uczciwi i kompetentni” wprowadzono zapis: „odsuniemy ludzi nieuczciwych i niekompetentnych”. Pierwsze sformułowanie uraziło zwolenników b. przewodniczącego AWS, Mariana Krzaklewskiego.

ZAMIAST SPUSTU SURÓWKI

Związkowcy z branży hutniczej bez zezwolenia urządzili przed katowickim Urzędem Wojewódzkim antyrządową demonstrację roszczeniową. Policja nie interweniowała, uważając, że lepsza nielegalna demonstracja o charakterze pokojowym niż legalna bijatyka.

KUROŃ WRACA

Jacek Kuroń zapowiedział swój powrót do działalności politycznej i społecznej, gdyż to, co widzi wokoło, nie jest tym, co pragnąłby oglądać. W wyborach do parlamentu startować jednak nie będzie.

PRAWO PEDAGOGICZNE

Nauczyciel z podlubelskiej wsi, który wziął 1,5 tys. zł od uczniów za pozytywne oceny, został uniewinniony przez sąd. Z uzasadnienia wynika, że nie może odpowiadać za branie łapówek „w związku z pełnieniem funkcji publicznej”. Według kodeksu karnego nauczyciel takiej funkcji nie pełni.

INTERPOL W OPOZYCJI

W Białymstoku ujęto poszukiwanego przez Interpol obywatela białoruskiego, który opuścił ojczyznę, podejrzany o sprzeniewierzenie kredytu bankowego wysokości 700 tys. dolarów. Andriej Ż. utrzymuje, że nie tylko jest biznesmenem, ale również działaczem opozycyjnej organizacji Młody Front.

ŚMIERĆ NA WIZJI

Sprawca zamachu w Oklahomie zaproponował, aby jego stracenie transmitowała telewizja. Egzekucję chce oglądać 250 krewnych ofiar, a miejsc dla świadków w celi straceń jest tylko osiem. Timothy McVeigh twierdzi, że nieuczciwością jest ograniczanie liczby obserwatorów jego śmierci.



AWS – zdaniem jej nowego przewodniczącego, Jerzego Buzka – „powróciła z dalekiej podróży”. Bez Mariana Krzaklewskiego w roli głównej, który oświadczył wielkodusznie: „Wybaczam”.

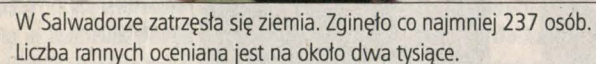
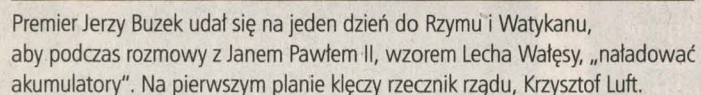


Minister kultury, Kazimierz Ujazdowski, podpisał decyzję o przygotowaniu zmiany statutu galerii Zachęta i Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Powołane zostaną rady programowe galerii. O składzie rad zadecyduje minister w porozumieniu ze środowiskiem artystycznym. Będą opiniować i oceniać planowane wystawy. Cenzura?



Podczas pobytu w Polsce, premier Chorwacji, Ivica Račan, otrzymał zapewnienie, że popieramy zbliżenie jego kraju do NATO i Unii Europejskiej, a naszego – do wakacji na Riwierze Dalmatyńskiej.





Prokuratura umorzyła dochodzenie przeciwko Helmutowi Kohlowi. Byłego kanclerza Niemiec ukarano tylko 300 tys. marek. Wcześniej wyrównał szkody poniesione przez CDU, która musiała zapłacić 6,3 mln marek grzywny za zatajenie przez Kohla nazw firm wspomagających partię nielegalnymi dotacjami.

Premier Tony Blair zapowiada Brytyjczykom, że jeśli zostanie wybrany na drugą kadencję, ich ojczyzna stanie się krajem równych szans i społeczeństwem obywatelskim. Z podobnym programem siedzi do wyborów w 1997 roku.

Były chilijski dyktator wiedział o zbrodniach popełnianych przez tzw. karawany śmierci, których działalność osobiście nadzorował. Oskarżyciele gen. Augusto Pinocheta twierdzą, że znaleźli dokument dowodzący, iż generał bezpodstawnie wierzy w swoją niewinność.

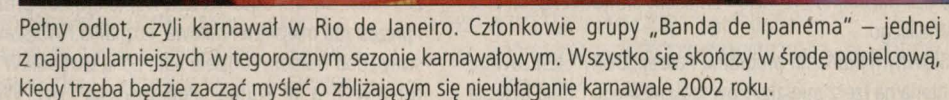
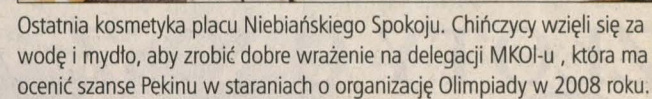
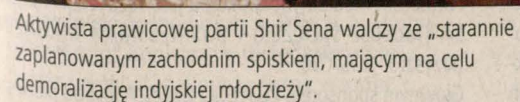
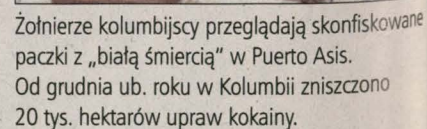
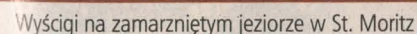
Zakopane doczekało się pierwszego w historii miasta napadu na bank. Skradziono 150 tys. zł. Napadu na Fortis Bank, którego klienci mają rodziny w Stanach Zjednoczonych, dokonano w stylu amerykańskim.

**Internauci i programiści komputerowi
będą mieć wreszcie swego patrona.
Zostanie im przydzielony św. Izydor
z Sewilli (VI w.). Przed posądzeniem
o niekompetencję chroni świętego
tylko aureola.**



**Pan poseł oszczędnie
gospodaruje prawdą.**

Leszek Miller – lider SLD
o Janie M. Rokicie – liderze SKL-AWS



NA PRZEKĄTNEJ RYNKU

Jak kaže tradycja, szefowie 45 najlepszych firm w Polsce zjeżdżają do Krakowa w ostatni piątek lutego.

Jak zawsze, wszystko odbywa się „na przekątnej” największego w Europie średniowiecznego rynku. Najpierw, na kwadrans przed hejnałem, w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” (XIV-wieczna kamienica Morsztynów, ze sławną Salą Fontany) finaliści, jurorzy i goście VIII edycji ZŁOTEGO GROSZA spotykają się z dziennikarzami. Przy małej czarnej rozmawiamy o zasadach nominacji i kryteriach wyboru laureatów.

Potem, 100 metrów dalej, punktualnie o 14.00 hymnem „Gaude Mater Polonia” Męski Chór Akademicki UJ rozpoczyna w reprezentacyjnej sali Sukiennic ceremonię finałową. W budynku najstarszego w Polsce Muzeum Narodowego (i najstarszego w kraju domu towarowego) nasz symboliczny hołd najlepszym spośród najlepszych składamy zawsze pod „Holdem pruskim”. Przed tym wielkim płótnem Jana Matejki laureatów ZŁOTEGO GROSZA – osobistości polskiego biznesu, prezentują osobistości polskiej sceny i ekranu – Krystyna Czubówna i Krzysztof Jasieński. Pierwsi miejsca pod „Holdem” zajmują reprezentanci 30 najlepszych firm roku nominowanych do finału, otrzymując posrebrzane repliki ZŁOTEGO GROSZA. Zaraz potem wręczamy nagrody specjalne – „Złotego Jena”, „Srebrną Złotówkę” i „Złote Euro”. Na koniec emocje największe – po srebrne repliki ZŁOTEGO GROSZA zapraszamy głównych laureatów – firmy zaliczone do „Złotej Piętnastki 2000”. Poczynając od końca, tzn. od firmy, której komputery wyznaczyły miejsce piętnaste, ujawniamy po raz pierwszy kolejność zdobytych miejsc.

ZŁOTY GROSZ 2000



LAURY PRZEKROJU najlepszym firmom roku w Polsce wręczymy w piątek, 23 lutego, w krakowskich Sukiennicach

Ostatni pojawia się pod „Holdem” primus inter pares – pierwszy wśród najlepszych – zdobywca ZŁOTEGO GROSZA 2000. Otrzymuje stosowny dyplom i monetę wybitą w złocie, w jednym egzemplarzu, której awers jest wierną kopią pierwszego polskiego grosza, ustanowionego w 1367 r. przez Kazimierza Wielkiego. Po krótkich gratulacjach od prezydentów miast-organizatorów (Krakowa, Poznania, Warszawy) i wspólnym zdjęciu pod obrazem Matejki, pierwszy protektor konkursu i „Przekrojowy bankier” – prezes Banku PEKAO SA – zaprasza wszystkich na „Uczę Jednego Dania” do sławnego WIERZYŃKA. Do kamienicy, gdzie na pamiętną ucztę w 1364 roku królewskich gości zaprosił Mikołaj Wierzynek – bankier i przyjaciel Kazimierza Wielkiego.

Głównym punktem programu naszej „Ucztę” jest zawsze loteria na rzecz mieszkańców krakowskiego Domu Dziecka nr 1 – pierwszego beneficjenta ZŁOTEGO GROSZA 2000.

Zanim poznamy laureatów – serdecznie DZIĘKUJEMY wszystkim wypróbowanym Przyjaciołom „P”, bez których nasz GROSZ nie mógłby zająć prawdziwie złotym blaskiem. W trójkącie trzech miast – Krakowa, Poznania i Warszawy – konkurs organizujemy wspólnie z naszymi pierwszymi i niezawodnymi partnerami: Markiem GOLISZEWSKIM (prezes BCC), prof. Bohdanem GRUCHMANEM (prezydent Łoży Laureatów), dr. Jerzym KUCZYŃSKIM i prof. Tomaszem RYNARZEWSKIM (CEG FAE). Równie bezcenny co bezinteresowny jest współudział prof. Emila PANKA (juror, rektor AE w Poznaniu) i Zbigniewa NIEMCZYKIEGO (prezes PRB). Swoim autorytetem wspierają nas prezydenci i prezesi rad miejskich Krakowa, Poznania i Warszawy. Gościny „pod Holdem” udziela nam Zofia GOŁUBIEW (dyktor MNK), a w Klubie „Pod Gruszką” dyr. Wojciech MARCHEWCZYK. Monety ZŁOTEGO GROSZA biją mistrzo-

wie z poznańskiej „RYTOSZTUKI”, a kasety i dyplomowe teki wykonuje w skórze sławny krakowski „STARODRUK”. Wspomagają nas serdecznie (i rzeczowo): „WIERZYNEK”, Hotel SOFTEL Kraków, INSTYTUT SZTUKI, DESTYLERIA KRAKÓW SA i KRAKCHEMIA SA. Rolę laureatów na współorganizatorów i mecenasów zamienili dotychczasowi zdobywcy ZŁOTEGO GROSZA: BROWARY ŻYWIEC SA (Alle YPMA), BANK BPH SA (Joseph WANCER), EXBUD SA (Leszek WALCZYK), BROWAR OKOCIM SA (Marcin PIROG), AMICA WRONKI SA (Wojciech KASZYŃSKI), YAWAL SYSTEM SA (Edmund MZYK) i WRIGLEY POLAND Sp. z o.o. (Miroslaw KISYK). Partnerem medialnym konkursu jest TELEWIZJA POLSKA SA (Tadeusz SKOCZEK) i BUSINESSMAN MAGAZINE (Krzysztof GOŁATA). Głównym sponsorem ZŁOTEGO GROSZA jest od pierwszej edycji BANK PEKAO SA (Maria WIŚNIEWSKA).



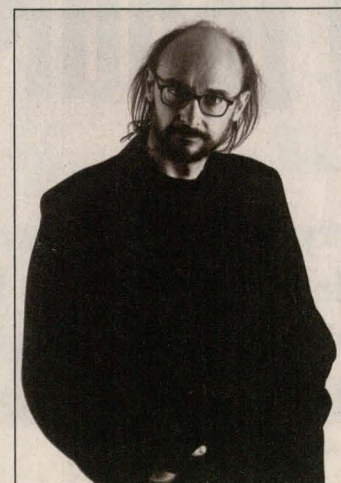
Prof. dr hab. Emil Panek

Fektor Akademii Ekonomicznej w Poznaniu

Zapytano mnie kiedyś, czy istnieją wiarygodne rankingi firm? Tak, jeżeli spełniają dwa warunki. Po pierwsze, musi istnieć profesjonalne ciało oceniające, cieszące się powszechnym szacunkiem i akceptacją społeczną. Po drugie, musi być pełne zaufanie firm do owego ciała akredytacyjnego.

Czy ZŁOTY GROSZ spełnia te kryteria? Swoistymi instytucjami zaufania publicznego reprezentującymi interesy firm są zgłaszające je największe korporacje pracodawców i Łoża Laureatów. Za ich pośrednictwem o godność laureata mogą ubiegać się wszystkie firmy w Polsce. Procedura wyłaniania laureatów jest maksymalnie obiektywizowana i opiera się na jasnej metodologii opracowanej przez specjalistów z Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Obiektywizm wyników dodatkowo wzmacnia fakt, że organizatorzy ZŁOTEGO GROSZA nie mają wpływu na nominacje kandydatów ani na listę laureatów. Konkurs nie ma charakteru komercyjnego, a jego organizacja przebiega w trójkącie miast, którego wierzchołki tworzą: przedsiębiorca Warszawa (zgłaszająca kandydatów), pełen fantazji Kraków (główny organizator) oraz solidny Poznań (zapewniający obiektywizm i rzetelność naukową oceny kandydatów). To połączenie obiektywizmu i rzetelności sprawia, że ZŁOTY GROSZ należy do czołówek imprez znakomicie promujących działalność gospodarczą w Polsce, a o laur „Przekroju” konkurują, niejednokrotnie przez wiele lat, najlepsze firmy w kraju.

GŁOS MA JURY



Maciej Piotr Prus

redaktor naczelny „Przekroju”

Niektórym może wydać się nieco dziwne, że tak poważnej instytucji gospodarczej, jak konkurs „Złotego Grosza”, patronuje „Przekrój”, pismo nie mające na co dzień wiele wspólnego z problematyką ekonomii i biznesu. Myślę jednak, że w tym szaleństwie jest mądra metoda. Może właśnie jako instytucja stojąca niejako na zewnątrz świata gospodarki, nie zaangażowana bezpośrednio w spory ekonomiczne ani polityczne, gwarantujemy autentyczną bezstronność. Jesteśmy pismem z długą tradycją, zwłaszcza pośród polskiej inteligencji. Choć nieobce nam gorące tematy społeczne, piszemy przede wszystkim o kulturze i obyczajach. Naszą troską jest nie tylko poziom, ale i styl życia rodaków. Wierzymy w kulturotwórczą moc snobizmu i chcielibyśmy, aby śmietanka polskich przedsiębiorców, biorących udział w naszym corocznym rankingu, dawała dobry przykład skutecznego łączenia know-how z etyką zawodową i elegancją. Gospodarka i kultura to współistniejące i wzajemnie uzupełniające się światy.

WSZYSCY KANDYDACI DO ZŁOTA

Najlepsze firmy w Polsce A.D. 2000

z nominacji

Business Centre Club
Polskiej Rady Biznesu
i Łoży Laureatów

(w porządku alfabetycznym)

1. BIAWAR Sp. z o.o., Białystok
2. Biuro Podróży TRIP s.c., Zakopane
3. Centrum Leasingu i Finansów CLIF SA, Warszawa
4. CITIBANK POLAND SA, Warszawa
5. COMMERCIAL UNION POLSKA – Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie SA, Warszawa
6. DONNELLEY Polish-American Printing Company Sp. z o.o., Kraków
7. ERA GSM, Polska Telefonii Cyfrowa Sp. z o.o., Warszawa
8. EUROPEJSKI FUNDUSZ LEASINGOWY SA, Wrocław
9. Fabryki Mebli FORTE SA, Ostrów Mazowiecka
10. FIRMA OPONIARSKA DĘBICA SA
11. FORTIS BANK POLSKA SA, Warszawa
12. GERLACH SA, Drzewica
13. HUTA OŁAWA SA
14. Huta Szkła Gospodarczego IRENA SA, Inowrocław
15. JABO MARMI Zakład Obróbki Marmuru, Dębica
16. KGHM POLSKA MIEDŹ SA, Lubin
17. KOLPORTER SA, Kielce
18. KOMPANIA PIWOWARSKA SA, Poznań
19. KRONOPOL Sp. z o.o., Żary
20. LABORATORIUM KOLASTYNA ZPCHr, Łódź
21. Laboratorium Kosmetyczne DR IRENA ERIS SA, Piaseczno
22. LESZCZYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE SA, Leszno
23. MEDIA MARKT Sp. z o.o., Warszawa
24. PETROPROFIT Sp. z o.o., Niemce k. Lublina
25. POŻEGNANIE Z AFRYKĄ, Kraków
26. Przedsiębiorstwo PRIMA SA, Poznań
27. Przedsiębiorstwo Spedycyjne TRADE TRANS Sp. z o.o., Warszawa
28. Przedsiębiorstwo Wielobranżowe KOMOZIA s.c., Częstochowa
29. Prywatne Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe MARS, Gorzów Wielkopolski
30. RENAULT – KILJAŃCZYK Sp. z o.o., Warszawa
31. RETTIG HEATING Polsko-Fińska Sp. z o.o., Rybnik
32. RZESZOWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT INŻYNIERYJNYCH SA
33. SANDVIK BAILDONIT SA, Katowice
34. SKODA AUTO POLSKA SA, Poznań
35. SONDA SA, Zduńska Wola
36. Spedycja Polska SPEDPOL Sp. z o.o., Warszawa
37. STOCZNIA GDYNIA SA
38. TECHMEX SA, Bielsko-Biała
39. UNION-VIS Sp. z o.o., Bielsko-Biała
40. WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA, Poznań
41. WILGA Sp. z o.o., Częstochowa
42. WIRTUALNA POLSA SA, Gdańsk
43. WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE, Warszawa
44. ZAKŁADY METALI LEKKICH KĘTY SA
45. Zakłady Mięsne ALEKSANDRIA, Konopiska

Kultura z ręką w jogurcie

ANNA KOSOWSKA-CZUBAJ

Na wniosek Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego premier Buzek ogłosił bieżący rok „Rokiem Kultury”. Choć mija pierwszy kwartał, ministerstwo nie ma dokładnego planu akcji, a jej budżet określa jako otwarty.

Przez ostatnie 10 lat wydobywaliśmy polską gospodarkę z peerełowskiej zapaści. Ale przecież nie tylko pełne półki są oznaką wolności. Jest nią również kultura, a o tym ostatnio zapomniano – mówi Klaudiusz Kryczka, rzecznik ministerstwa, pytany, dlaczego akurat teraz zdecydowano się na ogłoszenie „Roku Kultury”. Zdaniem rzeczniczki początek wieku to bardzo dobry moment na podjęcie takich działań.

Kampanii prowadzonej pod patronatem ministra Kazimierza Michała Ujazdowskiego postanowiono dać tytuł „Nie zrywaj z kulturą”. Jej wizytówką miał być osobliwy filmik reklamowy. Wnętrze supermarketu, damska obsługa na wrotkach, stoisko z rybami. Po chwili sprzątaczkę zrywa napis „Promocja” i naszym oczom ukazuje się „Hołd pruski” Jana Matejki. Pracownicy sklepu czują się najwyraźniej zaskoczeni tym odkryciem, gdyż zastygają niczym słupy soli. Aż wreszcie pojawia się puentujący slogan: „Żywa kultura wzbogaca nie tylko jogurt”. 45 sekund minęło, koniec.

Tym samym językiem

Podobnie prezentuje się billboard, którym ministerstwo postanowiło zaatakować nasze miasto. Spomiędzy cen i informacji o korzystnych promocjach wyzierają zamyślane oczy przynależne z pewnością do jakiegoś zacnego olejnego

go obrazu. Znałe już nam hasła umieszczono tym razem po prawej stronie reklamy.

Jednym głosem bronili reklamy i minister, i dyrektor firmy, która zajęła się jej przygotowaniem. Minister narzekał, że coraz mniejsza grupa naszych rodaków rozpoznaje znane obrazy, chadza do teatrów czy czyta książki, coraz liczniejsze grono pochłania natomiast wytwory kultury masowej.

– I dlatego mówimy do ludzi tym samym językiem, z którym mają do czynienia codziennie w mediach – tłumaczy przedstawiciel rządu.

– Akcja filmu i billboard obrazują relacje między szukającymi tożsamości ludźmi a konsumpcyjnym stylem życia – wtóruje mu Paweł Niziński z agencji reklamowej.

Kampania „Nie zrywaj z kulturą” miała być jednym z najważniejszych projektów Roku Kultury 2001. Jej celem było wypromowanie winiety, którą ministerstwo będzie oznaczać przedsięwzięcia przeprowadzane w ramach tej samej akcji. Nie jest to zresztą pierwszy eksperyment ministerstwa z reklamą.

Niedawno obstawiono nas billboardami z podobiznami aktorki Zofii Rysiównej i innych równie znanych, choć mniej znanych z twarzy postaci zasłużonych dla niepodległej Rzeczypospolitej. Najpewniej resort, któremu dopisano w tytule „dziedzictwo narodowe”, zapragnął podnieść społeczne morale

przez odwołanie się do wzniosłych, lecz niemodnych wartości, jak patriotyzm i tradycja narodowa. Tak czy owak, dla ludzi mijających przydrożne tablice w samochodach (a wszak to głównie do nich skierowano przesłanie) napisy komentujące tajemnicze portrety pozostawały nieczytelne i tylko czasem jedni pytali drugich: „O co to chodzi z tą Rysiówną?”.

Niska czy wysoka

Obecna kampania jest też zapewne pokłosiem odbywającego się w grudniu w Warszawie Kongresu Kultury Polskiej, kiedy to rozmaite środowiska – od notabli rządowych po artystów – apelowały o obronę kultury „wysokiej” przed coraz bardziej dominującą produkcją „niską” i popularną.

Warto przypomnieć, że mniej więcej w tym samym czasie minister wkroczył do Zachęty, aby zdecydowanym urzędniczym cięciem zakończyć kontrowersje wokół wystawy „Naziści” Piotra Ukłańskiego. Wystawę zamknęto, ale przecież dyskusje nie ucichły. Tyle że głównym skandalistą był już nie Ukłański, Olbrychski ani Anda Rottenberg, ale Ujazdowski, który wobec sztuki zastosował metody policyjne.

– Twórcy tej reklamy w gruncie rzeczy przystają na to, że kultura masowa z telewizją i hipermarketami jest głównym kanałem, przez który porozumiewają się Polacy – mówi profesor Jerzy Bralczyk. – Jest tu jeszcze coś

niepokojącego: dawniej to, co niskie, próbowano równać z tym, co wysokie. Reklama ta pokazuje natomiast równanie w dół: to muzeum jest przyrównywane do supermarketu. Samo hasło jest również wadliwie skonstruowane. Tutaj przecież „kultura” wiąże się przede wszystkim z jogurtem. Poza tym, co ona ma wzbogacać? Kultura jest przecież wartością samoistną, a nie środkiem. Taka reklama uszłaby jeszcze jako żart w piśmie niskonakładowym. Tu jednak jest to żart co najmniej niestosowny.

Podobnie widzi sprawę profesor Roch Sulima, który w swojej najnowszej książce „Antropologia codzienności” pisze o supermarkecie jako przybytku rodzimych konsumentów.

– Być może usługi kulturalne – powiada Sulima – podobnie zresztą jak posługi religijne, wymagają dziś języka reklamy. Jeśli z okazji 70-lecia Jana Błockiego ktoś napisał o nim, że jest „Małym polskim krytykiem”, to brzmi to szokująco, ale jeśli porzucimy artystowskie uprzedzenia, może okazać się, że będzie to jedyny sposób mówienia o kulturze. A wracając do reklamy: znacznej części naszego społeczeństwa hipermarket kojarzy się z osiedlowym domem kultury, w dodatku proponującym kompleksową usługę. Ale szczerze wątpię, by dresiarze coś z tego zrozumieli – konkluduje prof. Sulima.

W telewizyjnej reklamie jedna sprawa wydaje się szczególnie zagadkowa: dlaczego zdecydowano się na przypomnienie akurat „Hołdu pruskiego”? Idąc za ciosem, można wyobrazić sobie następny filmik, tym razem z „Bitwą pod Grunwaldem” tegoż samego artysty. I jeden, i drugi równie osobliwie zilustruje ideę współpracy z jednym z najważniejszych państw Unii Europejskiej.

Bez wątplenia reklamy takie pogłębiają wrażenie, że kultura polska – ta „prawdziwa” i „wysoka” – to Matejko i Mickiewicz. I nic dziwnego, skoro ministerstwo kultury z trudem dostrzega bardziej współczesnych twórców. Gdy światowe gwiazdy techno nagrywają płyty z naszymi orkiestrami symfonicznymi, schematyczne podziały kultury na „niską” i „wysoką” tracą przejrzystość i sens. Ministerialni decydenci w zaskakująco ograniczonym stopniu rozumieją język sztuki współczesnej, nie potrafią też znaleźć odpowiedniego języka, którym mogliby się porozumieć ze społeczeństwem. A to z kolei sprawia, że akcje typu reklama „żywej kultury” przemawiają do ściany.

Pomysły instruktora z półkolonii

Resortowi brak wyraźnego pomysłu na promowanie kultury polskiej, zwłaszcza w kraju. Mimo kontrowersji, ostatecznie chyba udało się



„Hołd pruski” pod jogurtem



Kadry z filmu reklamowego



Z kulturą nie wszystkim po drodze

wyjść z twarzą z ubiegłorocznej prezentacji na Expo w Hanowerze oraz odnieść niejaki sukces na Targach Książki we Frankfurcie. Można podejrzewać, że polska sztuka dobrze zaprezentuje się podczas belgijskich Europaliów 2001, zaczynających się w październiku, choć i tam główna prezentacja plastyczna – „Przedwiośnie” – przedstawiać będzie dzieła stworzone między 1850 a 1950 rokiem. Pocięchą jest, że odpowiedzialny za promocję polskiej kultury na świecie Instytut Adama Mickiewicza otrzyma w tym roku 11 mln zł, a więc wielokrotnie więcej niż w roku ubiegłym.

Planowane przez ministerstwo inne projekty związane z Rokiem Kultury nie napędzają już takim optymizmem. Pierwszy z nich to akcja „Weekend z kulturą”, podczas której współpracujące z ministerstwem instytucje otworzą na dwa dni miejsca zwykle niedostępne dla zwiedzających. Oprowadzanie ciekawskich po kulisach teatru czy pracowniach konserwatorskich to, za przeproszeniem, pomysł raczej na poziomie instruktora kulturalno-oświatowego z letnich półkolonii.

Typowym działaniem z za urzędniczego biurka, w stylu „głębokiego PRL-u”, jest program bliższego powiązania młodzieży ze światem kultury, przez niezbyt dokładnie określony patronat państwowych instytucji kulturalnych (muzea, galerie, teatry) nad szkołami.

Dawne kiepskie czasy podnoszenia do rangi wydarzeń codziennych działań resortu przypomina też zaplanowana przez ministerstwo „akcja promocji czytelnictwa”.

– Chcemy, żeby książka była dobrem kultury, a nie towarem. Akcja promocji czytelnictwa dotyczyć będzie przede wszystkim funkcjonowania bibliotek w Polsce. Bardzo ważna będzie tu współpraca z samorządami, które mogłyby choćby wygospodarować jakieś pomieszczenie dla nowej biblioteki czy przeznaczyć pieniądze na choćby jeden etat dla bibliotekarki – wymienia Klaudiusz Kryczka kolejną z planowanych akcji.

Nieco lepiej przedstawia się akcja „Gości-niec” – latem tego roku w całej Polsce mają się pojawić przydrożne tablice informujące o atrakcjach turystycznych i kulturalnych poszczególnych regionów i miejscowości. Na przykład północno-wschodnią Polskę symbolizować będzie szlak zamków krzyżackich, a południowy wschód – szlak drewnianego budownictwa sakralnego. Tablice mają mieć ujednoliconą formę graficzną – wzorem jest Francja, która dawno wprowadziła podobne oznaczenia.

Nie mieszać w jogurcie

Te cztery przykłady to wszystko, co na razie proponuje ministerstwo. Kryczka pyta o inne działania twierdząc, że resort cały

czas otwarty jest na propozycje, które przedstawiane są co miesiąc na spotkaniach z marszałkami poszczególnych województw.

– Budżet akcji ma charakter otwarty, jeżeli uznamy, że przedstawione przez marszałków projekty regionalne powinny być przez nas wsparte finansowo, to pieniądze się znajdą – mówi rzecznik pytany o wysokość nakładów przeznaczonych na akcję.

Tę kwotę można określić tylko bardzo szacunkowo – w ubiegłym roku budżet MKiDN wynosił 884 mln zł. W tym roku jest o 74 mln większy, ale ministerstwo zaznacza, że na pewno nie cała nadwyżka przeznaczona będzie na kampanię.

W tym roku, pierwszy raz od wielu lat, jest szansa, że rozmaite instytucje kultury otrzymają realnie wyższe dotacje z budżetu państwa. Chodzi tylko o to, aby administracja państwowa potrafiła te fundusze odpowiednio zainwestować.

Tymczasem dowiadujemy się, że telewizja publiczna zrezygnowała na razie z kampanii reklamowej pod patronatem MKiDN. Hasło: „Nie zrywaj z kulturą. Żywa kultura wzbogaca nie tylko jogurt” nie spodobało się reklamującemu się w TVP producentowi jogurtów.

**Pierwsze monograficzne wydanie
magazynu CINEMA
w sprzedaży na Walentynki 2001**

cinema *special*

Miłość w filmie

Jak się kochają na ekranie **Historia miłosna kina** **Cenzura i perwersje w kinie** **Filmowe symbole seksu**

PRZEDWIOŚNIE:
Miłości Cezarego Baryki i... Stefana Żeromskiego

**Karolina Gruszka, Urszula Grabowska, Małgorzata Lewińska
oraz Mateusz Damiński podpisują miłosne wydanie CINEMA SPECIAL**

Zapraszamy do EMPIK-ów:

14 lutego - Warszawa (Marszałkowska), 19 lutego - Kielce (Warszawska), 27 lutego - Kraków (Bora-Komorowskiego), 28 lutego - Katowice (Piotra Skargi), 1 marca - Łódź (Piotrkowska), 2 marca - Poznań (Ratajczaka), 3 marca - Gdynia (Świętojańska)

Z CZESŁAWEM NIEMENEM • ROZMAWIA IZABELLA BODNAR

NIEŻYCIOWY FRAJER

na paradyzie szyderców

Nie można zbyt długo pukać się
w czoło i zastanawiać, dlaczego
komuś wygodniej nosić głowę
na skróconej szyi

**Szokował pan głosem
i oryginalnym strojem. Wmontował
to pan w swoją karierę.**

Nie ubierałem się na estradę inaczej niż na ulicę. Prowokowałem jak każdy przesadnie odważny lub przekorny młodzieniec. Dziś wiemy, że w tym szaleństwie jest metoda, by zwrócić na siebie uwagę. Jednak wtedy nie była to z mojej strony spekulacja. Interesowała mnie raczej strona plastyczna. Kolory strojów ubarwiał w moim pojęciu peerelowska rzeczywistość.

Co pan sądził o hippisach i narkotykach?

Gdybym nie był upartym indywidualistą, lecz tylko ślepo naśladowałem ruchy kontestacyjne, nic bym nie zdziałał. Popularność przyszła, kiedy zbliżałem się do trzydziestki. Stadne szaleństwa młodych raczej mnie odstraszały. Tak zwanej podniety narkotykowej nie używałem. W 1972 roku zniszczyłem ostatnie-

go papierosa i do dziś nie sięgnąłem po następnego. Powszechny w Polsce alkoholizm wyzwolił we mnie wstręt do pijaństwa. Moim pragnieniem było odkrywanie tajemnic formy i treści w muzyce. Doznawanie wzruszeń w postrzeganiu piękna ważniejsze było od samozachwyty. Wielu więc powie: nieżyciowy frajer.

Być frajerem nigdy się nie opta.

Ale ta cecha i dziś sprawia, że nie ulegam pokusom prymitywnej interesowności.

Czy to prawda, że Stan Borys ukradł panu image artystyczny?

Stan Borys nie miał mentalności złodzieja. Może tylko zamierzał mnie prześcignąć? Nie on jeden zresztą.

Sławny artysta rockowy bez tłumy nie istnieje. A pan jako dziecko zemdłał w kościele i odtąd bał się dużych skupisk ludzi. To jak pan sobie radził z fanami?

Podobne doświadczenie omal nie powtórzyło się w 1976 roku, podczas zwiedzania katakumb w Kijowskiej Ławrze. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem wtłoczony w jednokierunkowy gęsi pochód bez szansy odwrotu. Nim zostałem wypchnięty z wąziutkiego podziemnego korytarza, byłem bliski omdlenia. Cóż, uczucie klaustrofobii miewam wystarczająco silne we własnym ciele, a co dopiero w straszliwym natłoku ciał innych. Tłok wciąż mnie przeraża. A na koncertach rockowych od fanów zawsze oddzielała mnie sceniczna rampa.



CZESŁAW NIEMEN,
właściwie Czesław Juliusz Wydrzycki,
urodzony w 1939 roku, piosenkarz i kompozytor,
instrumentalista i malarz, solista wielu zespołów,
autor piosenek, w tym licznych przebojów.



Dlaczego zaczął pan śpiewać rock and rolla?

Nim nauczyłem się synkopować i bluesować, próbowałem słodzić po meksykańsku, mocować się z melizmatyką orientálną – włącznie z flamenco. W końcu, gdy już bigbitowałem w zespole Niebiesko-Czarni, uległem fascynacji rockiem. Lecz nie Presley, a Little Richard i Ray Charles poszerzyli moje horyzonty muzyczne. Późniejsze szlify to słuchanie aksamitno-ekspresyjnego soulu Otisa Reddinga.

Co więc pan wtedy myślał o Czerwonych Gitarach?

Jako awangardowiec patrzyłem na ten zespół z wysoła. Reagowałem na ich piosenki podobnie jak obecnie na diskopolskie. A przecież na tle dzisiejszego agrokalektwa piosenki Klenczona i Krajewskiego są prawdziwymi perełkami.

U korzeni pańskiej fascynacji muzyką tkwi Rosja.

Moją wrażliwość ukształtowała muzyka ludowa i sakralna. Rosyjski najeźdźca zainfekował mnie jednak najtrwalej. Rzewność, głębia ducha jego muzyki przedostała się – mówiąc metaforycznie – do krwioobiegu i kręgosłupa. Kiedy nagrywałem na Zachodzie i w USA, moi menedżerowie nazywali mnie soulmanem o słowiańskim dotyku (slavic touch). To jedyna rzecz, za którą dziękuję Rosjanom. Co do reszty? W sercu noszę ciężar ustawicznego przebaczenia, wiedząc o złożoności eurazjatyckiego barbarzyństwa. Na szczęście muzyka łagodzi wszystko. A wspomniany dotyk, który sam dziś postrzegam jako styl

indywidualny, wyrósł na podłożu charakterystycznego zaciągania – wylewności, melancholii lub zadziornej rubasznosci z wszczepionym na końcu rock and rollem, jakkolwiek by to dziwnie brzmiało. I, nomen omen, nadal dziwnie brzmi.

Często pan myśli o Starych Wasiliszkach nieopodal Grodna na Białorusi – o domu rodzinnym, kołysankach?

Wspominam coraz rzadziej i niemal zupełnie nie tęsknię. Chociaż pozostał żal po utraconych widokach z okien domu dzieciństwa. Dom był skromny, drewniany. Moje łóżko stało przy oknie, od strony wschodniej. Podobno miewałem lunatyczne przechadzki, gdy księżyc zaglądał do moich snów. „Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu” – kołysały mnie często głosami matki lub nastoletniej już wtedy siostry. Ojciec interesował się polityką i – jak się dowiedziałem kilkadziesiąt lat po jego śmierci – wykonywał rusznikarskie usługi dla Armii Krajowej. Zakonspirowana pracownia mieściła się w piwniczce pod drewnianą podłogą w kuchni. Zasyłane rozmowy kształtowały moje rozeznanie w sytuacji politycznej. Doświadczając później „wyzwoleńczego dobrodziejstwa sowieckich sapogów” – nie dałem się ani zrussyfikować, ani skomunizować.

Jak się tam mieszały wpływy polskie i białoruskie?

Powiem tylko, że carat nie zdołał skłócić Polaków i Białorusinów w takim stopniu, jak to uczynili bolszewicy.

To właśnie pan w wieku 19 lat namówił rodziców do osiedlenia się w Polsce.

Był to pierwszy bunt przeciw zastanej rzeczywistości.

Bunt? Spróbowałbym, a znalazłbym się nad Cieśniną Beringa, zamiast nad Zatoką Gdańską. To był łut szczęścia. Opatrzność losu. Rok 1956 przyniósł nadzieję i udało mi się wykorzystać okazję do repatriacji. Paradoks – repatriować z ojcowizny. Była to bolesna decyzja samowykarczowania, szczególnie dla moich rodziców. Przyjechaliśmy do Polski w 1958 roku. Dwa lata później zmarł ojciec. Do dziś miewam wyrzuty sumienia, że go namówiłem do opuszczenia rodzinnych stron. Matka borykała się z chorobą sierocęj tęsknoty do 1986 roku. Siostra wciąż pielęgnuje dwa groby, na dwóch cmentarzach oddalonych od Starych Wasiliszek o prawie tysiąc kilometrów.

Bywa pan w Starych Wasiliszkach?

Odwiedziłem je ostatni raz w 1979 roku. I tak długo tam nie pojadę, jak długo Białoruś będzie posłuszną ideologii narzuconej przez umysłowych karłów – chorych na manię wielkości – pod anachronicznym berłem mocarstwowej państwa-szczyzny.

Jak dawał pan sobie radę z peerelowską cenzurą?

Nie należałem do opozycji politycznej. Utrudniano mi propagowanie wierszy wielkich poetów. Poezje Norwida, Słowackiego czy Herberta były na cenzurowanym nie tylko z powodu rzekomej trudności rozumienia ich przez młodzież. Radio nadawało te moje nagrania, w których nie można było doszukać się krytyki socjali-

stycznego wychowania młodzieży. Podwójny album „Idee fixe” z 1976 roku – z poezją Norwida – wydano w znikomym nakładzie. Radio nigdy go nie prezentowało. Kilku utworów zarejestrowanych dla TVP nie dopuszczono do emisji. I w zasadzie niewiele się zmieniło. Wciąż istnieje jakieś niezidentyfikowane „ono”, które ogranicza mój dorobek do 3–4 piosenek z lat sześćdziesiątych. Dowodem – moja autorska płyta „Terra Deflorata” z 1989 roku – zbojkotowana medialnie.

Z końcem lat 60. nagrywał pan dla włoskiej wytwórni płytowej, ale do festiwalu w San Remo nie został dopuszczony, choć miał jej rekomendację.

W San Remo szowinistyczny szwindel związków zawodowych piosenkarzy włoskich polegał na uchwaleniu i opublikowaniu takiego oto komunikatu: „I Sindacati dei Cantanti Italiani ha detto no al Polacco”. Nagrałem piosenkę włoską po włosku i tak słodką, jak słodka może być – „La prima cosa Bella”. Ukazała się dwa tygodnie przed festiwalem na LP „San Remo 70”. Ta „kozabella” przypadła do gustu jej twórcy dopiero po usłyszeniu mojej interpretacji. Postanowił wystąpić sam, dość nieudolnie przenosząc moje „kruczki” do własnej piosenki. Nicola di Bari – tak się nazywał ów członek zorganizowanego syndykatu piosenkarzy włoskich – zajął na festiwalu w 1970 roku drugie miejsce.

Na Zachodzie nagrał pan i wydał cztery płyty. Co pana ciągnęło z powrotem do Polski?



Jesteśmy świadkami nieustannej parady szyderców. Już nie jest pięknie wzruszyć się do łez - lepiej rechotać z głodnych kawałów.

Dla mnie te płyty są ważne, bo były moim przesłaniem do Zachodu, który oczywiście zignorował wymądrzanie się jakiegoś Polaczka. Osiąść tam nie miałem ochoty, choć taką możliwość rozważałem. Zawsze zwyciężała świadomość, że na Zachodzie nikomu nie jestem potrzebny. Nie byłem i nie jestem Polakiem poproszalskim.

„Dziwny jest ten świat” wygrał w konkursie audiotele na najlepszą piosenkę 35-lecia przy okazji festiwalu Opolo '98. Ale urządzono dogrywkę i wtedy zwyciężyła „Małgośka”.
Kto panu nie pozwolił wygrać?

Bardzo lubię „Małgośkę”, bo to imię mojej żony. Co do reszty, nie zamierzam snuć domysłów. Jak długo można pukać się w czoło i zastanawiać, dlaczego komuś wygodniej jest nosić głowę na skróconej szyi.

Kiedy rozdawano nagrody „Polityki”, podczas uroczystości było wiele osób z TVP, ale w wieczornym wydaniu „Wiadomości” na ten temat ani słowa. W jednym z wywiadów powiedział pan potem, że stało się tak dlatego, że wygrał Niemen. Za co pana TVP tak nie lubi?

Sztynnoszych nie można uelastyczyć. TVP - niczym partia - uwielbia słuchać tylko pochlebstw. Nie chcę jednak generalizować. Pracują tam różni ludzie, i ci dobrzy, i ci gorszej woli. Niczego nie chcę i niczego już nie wymagam. Wirtualna rzeczywistość czy rzeczywista wirtualność - jaka to różnica dla gapiących się w pudełka telewizorów miłośników seriali, teleturniejów i infoskandali?

Jakie są dziś medialne funkcje artysty?

Gdyby pani zapytała, jakie one powinny dziś być, z odpowiedzią miałbym kłopot. A tak zaczęte od stanu zaobserwowanego. I cóż widzę? Himalaje głupstw. Górują błazeństwa ku uciesze małuczkich, a właści-

wie ku uciesze samych błaznów. Jesteśmy świadkami nieustannej parady szyderców, działających na rzecz marginalizowania zadumy i powagi w sztuce. Już nie jest pięknie wzruszyć się do łez - lepiej rechotać z głodnych kawałów.

Ile znaczą dziś w muzyce lata 60. i 70.?

Zaważyły na wszystkim, co dotąd się dzieje w muzyce popularnej. Jednak prawdziwa eksplozja wielkiego rozwoju gatunków i stylów - w sensie artystycznym - nastąpiła w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Sam w niemałym stopniu przyczyniłem się do mody na awangardę w Polsce.

Ceni pan kogoś z młodych?

Nie chcę wymieniać nazwisk, choć ciepło myślę o wielu, zwłaszcza o tych, co nie rzucają śmiercią i nie miały jęzorami głupawych rapowanek.

Pańskie córki mają pewne osiągnięcia muzyczne, ale pan twierdzi, że dziś o wiele trudniej się przebić.

Z tego, co wiem, nie mają ochoty rozpychać się łokciami.

Dobra jest małżeńska krzyżówka rockmana z modelką?

Tak się złożyło, że z moją żoną łączy mnie wiele wspólnych zainteresowań. Ale gier podjazdowych nie stosujemy. Każdy robi swoje - z wyrozumiałością dla wzajemnych odrębności.

To prawda, że robi pan dla siebie wideoklipy?

Niestety, wciąż bardziej usiłuję, niż robię naprawdę.

Miał pan propozycje wystąpienia w reklamie telewizyjnej.

Ścisłej - miałem mieć, ale już nie mam. Ku obustronnemu zadowoleniu.

Więc co pana dziś najbardziej drażni?

Hipokryzja socjaldemokratów, utopia sprawiedliwości społecznej i cały, poża-

li się Boże, roszczeniowy socjalizm w wymiarze globalnym. Bezcelność wspomnianych hipokrytów jest tak irytująca, że nic tylko udać się na bezludną wyspę. Podobny stosunek mam do niektórych instytucji charytatywnych. Często bywa tak, że troska o biednych polega na wyłudzeniu od darczyńców darowizn - najpierw na utrzymanie własnego biura i dostatniego życia. Potem - dla zmylenia prawdziwych intencji - rzuca się ochłap potrzebującym. Nagradzanie lenistwa i bezmyślnego braku instynktu samozachowawczego człowieka jest największym błędem cywilizacji. Niestety -

wbrew logice - sam występuję często w roli filantropa.

A na co dzień komputer wciągnął pana jak narkotyk i całe godziny spędza pan w swej pracowni. Kojarzy się ona raczej z pustelnią eremity.

„Jako wieża nad płaskie domy, stercząca w chmury”? Nie, nie. Pracownia mieści się w głowie. Może dlatego coraz częściej odczuwam ból niemożności pracy niewymuszonej. Ale ruchomy obraz łączony z dźwiękiem naprawdę mnie interesuje.

Jakie ma pan plany muzyczne?

Chcę dokończyć reedycję wszystkich na-

grań z okresu 1962-1980 i wydać nową płytę „Spod chmury kapelusza”.

Fani Niemena się starzeją, ale wierzą, że ich idol jest wiecznie młody.

Jak pan walczy z czasem?

Nie próbuję walczyć ani z sobą, ani z czasem. Nie gimnastykuję się, nie medytuję oraz nie rozwiązuję krzyżówek. Dążę do ascezy.

Boi się pan śmierci?

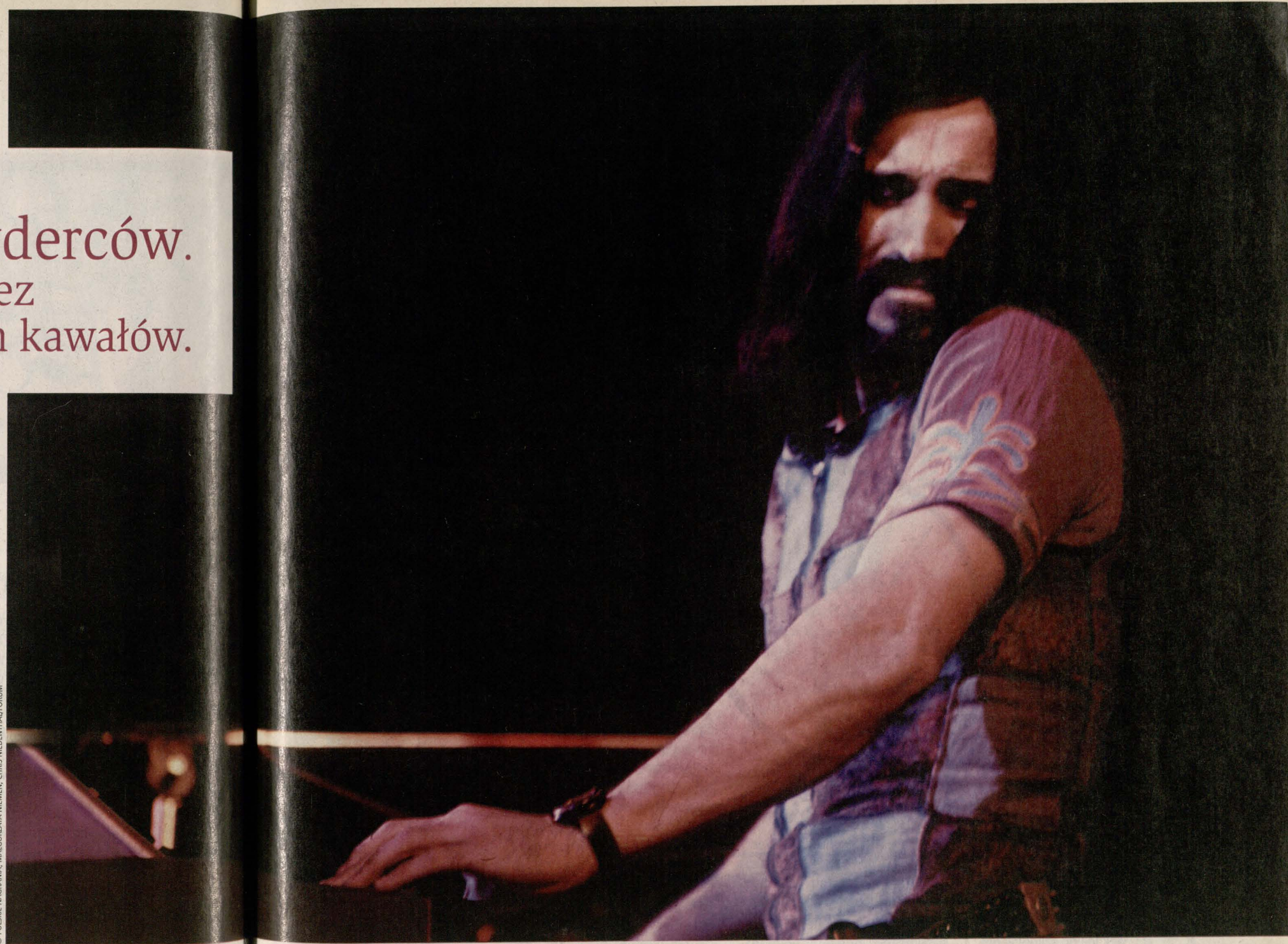
To nie jest kwestia strachu. Raczej smutku, że nawet asceza temu nie zaradzi.

Należy pan do ścisłego grona największych głosów XX wieku w Polsce. Osiągnął pan wiele, ale chyba nie czuje się spełniony.

Jestem zbyt osobny - że użyję przekory - bym należał do grona największych wybrańców. Pani przekonanie traktuję jako rzecz tyleż niewinną, co zabawną. Osobiście znam takich, którzy na dźwięk mojego imienia tak mocno wzruszyli ramionami, że im kręgi szyjne wbiły się w kręgosłup na stałe. Jestem tym, który przekroczył pełnię - powyżej potocznego wyrażenia. Powyżej uszu. Na cuda nie czekam.

Co w panu pozostało z buntownika?

Powiem pani w zaufaniu. Spokorniałem.

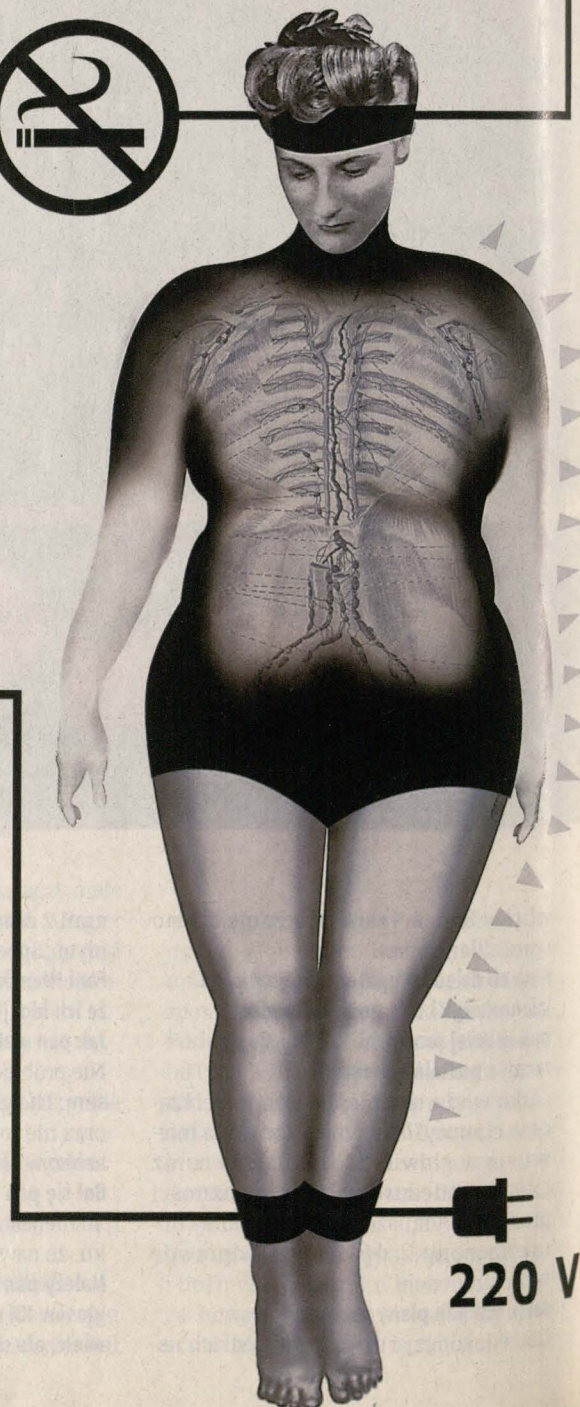
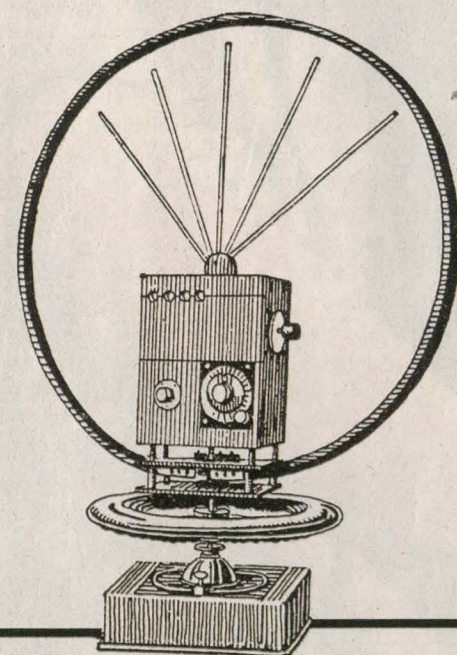


Starość.

zakonspirowana

TEKST BOGDA BALICKA
RYSUNKI BOGNA OTTO-WĘGRZYN

Styl życia jest częścią kultury. Stylem życia jest to, co modne i niemodne. Dziś absolutnie niemodny stał się naturalny cykl biologiczny.



220 V

Dziewczynki z podstawówek idą do szkoły w pełnym makijażu, chłopaki „po męsku” piją i palą. Kobiety po czterdziestce coraz częściej decydują się na urodzenie pierwszego dziecka, a po pięćdziesiątce chcą wyglądać jak swoje wnuczki. Moda, która ma wszystkie mody pod sobą – odmładzanie przez oczyszczanie – zaczyna interesować także panów. Gabinety biokosmetyki, odnowy biologicznej, centra ekomedyczne. Tak nazywają się przybytki, gdzie starość przechodzi do konspiracji. W dużych miastach bywa ich już po kilka na jednej ulicy i toczą zażar-

ty bój o bogatego klienta. Taka konspiracja bowiem wymaga grubszego portfela i dużo wolnego czasu.

Proponowany przez pisma kobiece, kosmetyczki i różne typy „odnowicieli” żelazny plan kuracji jest następujący: najpierw rzucanie palenia, potem oczyszczanie, następnie odchudzanie i na koniec uroda (która przyjdzie sama i tylko się ją lekko podrasuje). Podjęłam tę drogę przez mękę i oto zapis doświadczeń.

Zabij czerwone robaczki

Rzucenie palenia, już po jednym seansie, proponują ci w gabinetach hipnozy, biorezonansu ma-

gnetycznego i psychoterapii pranicznej. Hipnotyzer wprowadza cię w stan alfa (nie musisz tego rozumieć) i w podświadomość wpuszcza afirmację zdrowego życia (też nie musisz tego rozumieć).

– Papieros jest ohydny, śmierdzisz, twoje płuca są czarne. Teraz zobacz czyste morze, plażę i poczuj świeże powietrze. Chcesz się tak czuć zawsze? Rzuć palenie, rzuć palenie – słyszę tuż nad uchem po kilku minutach wpatrywania się w dyndające przed twarzą wahadełko. Przekonywanie trwało około godziny. Potem wstałam i nerwowo rozglądałam się za torebką z papierosami.

– Właściwie to już nie będzie pani miała ochoty na papierosy, ale ten seans trzeba jeszcze kilka razy wzmocnić.

– Wzmacniam już piąty raz i dalej palę – zwierza mi się jedna z klientek w poczekalni. – Chyba zrezygnuję, bo palenie mniej mnie kosztuje.

Ja afirmowałam się jeszcze dwukrotnie i też nic nie pomogło. Próbuję dalej.

Biorezonans magnetyczny zapowiada się ciekawie. Przed seansem mamy wypalić pół papierosa, a resztę peta umieścić w metalowym kubeczku. W gabinecie nie ma palarni. Z grupą kilku pań stajemy zatem na ulicy i z lubością zaciągamy się dymkiem, może ostatnim w życiu. Z drzwi obok wybiega wściekły duży gość i obrzuca nas „wyrazami uznania”:

– K..., już trzeci raz w tym roku malowałam ścianę, nie macie gdzie, k..., palić i kiepować. Stare, głupie straszidła.

Pan ma obok sklep mięsny i musi dbać o wygląd fasady. Gabinet stoi mu na przeszkodzie. Nie ma tam gdzie kiepować, więc ściana wygląda jak chora biedronka. Zanim przyszła moja kolej, nasłuchiwałam się różności („pierwszy seans nic mi nie pomógł”, „nie wiem, czy to działa, bo nic nie czuję”, „a próbowała pani mongolskich kolczyków albo amerykańskich plastrów?

Mnie nic nie pomogły, ale może komuś pomogą?”). Wypaliłyśmy więcej niż po pół papierosa, bo w gabinecie przyjęto „bezkolejkową klientkę”, znajomą właścicielki. Wreszcie wchodzę i widzę coś w rodzaju krzesła elektrycznego z podłączonym małym komputerkiem.

Nakładają mi coś na głowę (z kabelkami) i ręce podłączają do metalowych płytek (też z kabelkami). Metalowy kubeczek z moim petem także zostaje podłączony do prądu (komputerka). Seans trwa ponad kwadrans. Czulałam lekkie mrowienie, ale – jak inne panie – bardziej się bałam, że prąd mnie załatwi na amen. Ten zabieg może wywołać takie wrażenie. Też nie pomogło. Nie odrzuciło mnie od nałogu nawet po czterech seansach. – Musi pani zmienić nastawienie do życia – poradziła mi nie zrażona niepowodzeniem właścicielka.

W zmienianiu nastawienia miała mi pomóc psychoterapia praniczna. W gabinecie, prowadzonym przez byłą salową, oprócz mnie siedziało dwóch mężczyzn. Oni obaj już po raz drugi, trzeci – i też bez powodzenia w walce z nałogiem. – Ale chociaż chwilę tu wypocznę – mówi jeden z nich. Salowa, wykonując taneczne ruchy, wprowadza mnie w tajniki zabiegu:

„Konieczna jest znajomość czakr, ich sieci ochronnych, negatywnych istot eterycznych (pasozżyty eteryczne) oraz urazowej energii psychicznej i form myślowych. Energie traumatyczne są w pewnym stopniu obdarzone świadomością: fobia to myślowa forma strachu zalegająca w czakrach. Sieć eteryczna (ochronna) znajduje się z tyłu czakry, blisko powierzchni ciała. Pęknięcia lub dziury świadczą o nasileniu choroby. Uzdrowiciel bada aurę, oczyszcza ogólnie, zwiększa podatność na leczenie, energetyzuje, stabilizuje przekazaną energię praniczną. Usuwa negatywne formy myślowe, niszczy negatywne istoty, zaszywa pęknięcia i dziury w sieci ochronnej”.

Dowiaduję się, że energię palacza zjadają pasozżyty eteryczne, które wyglądają jak czerwone robaczki. One właśnie wygryzają dziury w moim płaszczu ochronnym. Zabieg oczyszczania z wymachiwaniem rękami i rytmicznym mrużeniem trwa godzinę. Robaki nie zniknęły. Po drugiej wizycie, salowa, widząc moją minę, skwitowała: – Nie da się rzucić palenia, bo ma pani zimną śledzionę. Ogrzać ją. Zabiegowi ogrzewania śledziony nie poddałam się.



DLA ZAINTERESOWANYCH:

- podczas każdego z tych zabiegów pacjent jest ubrany, siedzi lub leży, można sobie pospać, ale nie wolno chrapać;
- ile to kosztuje:
hipnoza – 160–300 zł,
biorezonans – 60–100 zł,
psychoterapia praniczna – 100 zł.

Wyrzucić swoje jady

Jako najskuteczniejsze sposoby oczyszczenia organizmu z toksyn zaproponowano mi hydrokolonoterapię i głodówkę leczniczą. Nazwa tej pierwszej metody zabrzmiała bardziej atrakcyjnie, lecz zarazem co nieco tajemniczo, więc nim podjęłam decyzję, poszłam zobaczyć, co zach.

W gabinecie stało łóżko, na nim leżała przezroczysta rura, a z góry zwisał wielki metalowy baniak. Ciekawe. Narzędzia tortur to nie przypominało.

W czasie mojego rekonesansu w drzwiach ukazała się widowiskowa piękność po czterdziestce.

– Pani Aniu – rzuciła się na właścicielkę – to cudowne! Czuję się sto razy lepsza! Czy za pół godziny mogę przyjść?

To była pani mecenas z pobliskiego biura prawnego. W czasie

przerwy obiadowej wpadła na seans i wróciła do pracy. Potem uznałam, że to prawdziwa bojownicza o urodę.

Tu wyjaśniam, że pod słowem „hydrokolonoterapia” kryje się najzwyklejsza lewatywa. Otóż kładziemy się na łóżku i terapeuta wprowadza nam do odbytu rurę. Rura ma dwuwylotową końcówkę: najpierw płynie nią krystalicznie czysta woda (np. z aloesem), potem wypływa już nie krystaliczna i tak w kółko przez 45–60 minut. Potem zakładamy pampersa i lżejsi „sto razy” możemy wracać do pracy.

– Taki seans raz w tygodniu wyczyści nasze jelita, a przez to wszystkie toksyczne złoże z organizmu – rekomenduje właścicielka. – Przy tym polecam zmianę diety i kilka głodówek w miesiącu. No, to widzę panią u siebie jutro! – dodała radośnie. – To zmieni pani życie.

Nie spałam całą noc, czułam bulgotania wody nawet w głowie. Nie zdecydowałam się. Kiedy poszłam z usprawiedliwieniem, usłyszałam:

– Ale pani jest głupiutka, nawet piętnastoletnie dziewczynki do mnie przychodzą!

Mąż jednej z klientek zagadnął mnie ze złośliwym błyskiem w oku:

– Lepszy i tańszy jest codzienny zwykły prysznic. Niech pani zapamięta, nazwa pochodzi od Vinzenta Priessnitsa, który pierwszy zaczął zbijać kasę na wodolecznictwie.

– Pieprzony filozof – warknęła jego żona, przygotowując się do przyjęcia rury.

Słowo „głodówka” brzmi biednie, ale kosztuje sporo. Polecono mi terapeutkę, która właściwie zajmuje się jasnowidztwem, ale głodówki praktykuje od kilkunastu lat i wie o nich wszystko.

– Teraz nie ma jeszcze różnych naci na napój oczyszczający, więc proszę sobie przygotować po 3 litry wody mineralnej na każdy dzień. Proponuję na początek głodówkę pięciodniową,

a potem może pani dojść nawet do miesiąca. Może winogronowa, trzeba wtedy jeść 3-4 kg winogron dziennie. Dla mnie to styl życia – terkotała szybko mała kobiątka o wyglądzie starej myszy. Dałabym jej z 60 lat, tymczasem miała 45. No, nie powiem, trochę mnie to zraziło do zabiegu. A miał wyglądać następująco:

- najpierw przygotowanie do głodówki – dwa dni nie jemy mięsa i nabiału, za to dużo kaszy i otrębów oraz innej zdrowej, nie przetworzonej i kosztownej żywności);

- potem pięciodniowa głodówka; winogrona były dla mnie za drogie, więc wybrałam istną kaźń – głodówkę pszeniczną: codziennie je się tylko gotowaną przez godzinę pszenicę, bez żadnych dodatków smakowych; oprócz wody mineralnej należy pić tzw. herbatkę nerkową, czyli wywar z natki pietruszki lub napój ziołowy ze skrzypu, pokrzywy, rdestu i dziurawca; codziennie dwie lewatywy i prysznic co 5-6 godzin, żeby się organizm oczyszczał;

- na koniec dwa dni wychodzenia z głodówki – lewatywa codziennie i dużo fasolki szparagowej, żeby ostatecznie opróżnić jelita, a poza tym to samo, co przy przygotowaniu do głodówki.

Już po dwóch dniach przygotowań byłam wściekła na cały świat, pozwoliłam mężowi iść na piwo (chodził tak przez 9 dni, bo by też zwariował). Po czterech dniach zjadłabym własne koty, a już na pewno ich żarcie z puszek. Wytrzymałam i fakt: poczułam się trochę lepiej fizycznie. Znajomy lekarz odradził mi jednak takie zabawy, bo ma liczną grupę pacjentek po głodówkach – osłabionych i rozgoryczonych, że „może mają coś z brzuchem, bo nic nie schudły”.



DLA ZAINTERESOWANYCH:

- do hydrokolonoterapii się rozbieramy; na głodówkę lepiej wziąć urlop, bo to strasznie osłabia organizm i nerwy;
- ile to kosztuje:
hydrokolonoterapia – 400–600 zł,
porada dietetyczna – 70 zł.

Zmniejszaj obwód

W dziedzinie odchudzania modne są teraz parafango i drenaż limfatyczny. Parafango to forma balsamowania za życia. Zestaw do zabiegu wygląda jak mały sklep kosmetyczny: kremy, jakieś ampułki, pilingi, szczotki, foliowe prześcieradło, masa parafinowa i inne. Kosmetyczka wklepuje nam jakieś specyfiki w ciało, potem pędzlem nakłada parafinę (z mułem) i zawija nas

szczelnie w folię. W takim kosmetycznym piekarniku leży się około pół godziny. Potem folię się przecina, wyrzuca, a skórę masuje.

– O Boże, zapomniałam panią zmierzyć – mitygowała się kosmetyczka. – Sama by pani zobaczyła, że zeszło z 3–4 cm w obwodzie.

– Mnie te centymetry wracają już na drugi dzień, bo to tylko odwodnienie – oświeciła mnie jedna z klientek. – Ale taki zabieg jest dobry przed wieczorną randką.

– O, niech pani nie gada bzdur. Ja schudłam 7 kg po sześciu zabiegach – wtrąciła się inna zakonspirowana staruszka.

Masaż naczyń limfatycznych jest w zasadzie zabiegiem kosmetyczno-leczniczym. Ostatnio jednak zyskał sławę w światku odchudzających po tym, jak rękę masażysty zastąpiło urządzenie komputerowe.

Na wybrane partie ciała, które pacjentka chce udoskonalić, przykłada się niewielkie elektrody.

– Właśnie one, podłączone do specjalnego aparatu, wykonują

masaż. Taki 20-minutowy zabieg, nie przesadzam, zastępuje dwugodzinny jogging lub sto pompek – opowiada mi terapeutka. I, zanim mnie zostawi w objęciach aparatury, dodaje z całą powagą:

– Intensywność i czas zabiegu komputer dostosowuje do kondycji pacjenta. Drenaż limfatyczny redukuje tłuszcz, przez ułatwienie jego spalania. Polepsza się praca mięśni, co pomaga osobom otyłym podjąć większe wysiłki fizyczne. Skóra nie ulega zwiotczeniu – a jest to problem dla osób, które muszą zrzucić więcej kilogramów – u nas wręcz odwrotnie – staje się jędrna.

Leżę cała w elektrodach i znów daje o sobie znać mój lęk przed prądem. Nic kompletnie

nie czułam, spociałam się tylko jak mysz. Potem zresztą nie było się gdzie umyć, bo gabinet działa kątem przy sklepie z kosmetykami. Wagowo nic nie schudłam, w obwodzie uda zeszło mi 2 cm (ale na krótko). Te zabiegi też trzeba wielokrotnie powtarzać.



DLA ZAINTERESOWANYCH:

- przy obu zabiegach się rozbieramy;
- ile to kosztuje:
parafango – 400–500 zł,
drenaż limfatyczny – 100 zł.

Bez mimiki

Ostatni etap konspirowania starości możemy odbyć w domu. Kupujemy zalecane preparaty z alg, gliniek kosmetycznych, kwasów owocowych lub miodu. Włosy terapeuci radzą moczyć pół godziny we własnym moczu (okład), obiecując, że zmienią się one „wprost nie do poznania”.

Twarzy jednak nie da się „przerobić” domowym sposobem. Cóż radzą nam fachowcy? Modna pani powinna skorzystać z masażu twarzy metodą „hollywoodzkiego nauczyciela aktorów, Stanleya Rosenberga”. Jest to jednogodzinny zabieg relaksacyjny i odmładzający. Jego idea polega na tym, że „wszyscy ludzie bardziej spinają niektóre mięśnie po jednej stronie twarzy i trzeba tę asymetrię wyrównać”.

– Oprócz naczyń limfatycznych masuje się też wszystkie 97 mięśni twarzy, zgodnie z ich przebiegiem (efekt delikatnego liftingu). Rozprostowuje się zmarszczki, mięśnie mimiczne stają się bardziej żywotne – tłumaczy mi biokosmetyczka.

W czasie masażu kilka sekund – zgodnie z zaleceniami

twórcy tej metody – należy poświęcić na śmiech. Poważna kobieta z sylwestrową fryzurą nie jest w stanie niczym mnie rozśmieszyć, może jedynie swoim poczuciem misji. Próbuję zapamiętać jej ruchy, żeby potem – za darmo – ćwiczyć je w domu. Nie da się tego zrobić, bo masaż nie ma żadnego rytmu: raz tu, raz tam, klepanie, pocieranie, naduszanie. A zresztą, czy ja chcę mieć symetryczną twarz? Myślę sobie, że taka gęba bez wyrazu bardziej postarza. Widać to po klientkach czekających na zabieg. Wszystkie siedzą z napiętymi policzkami, jakby niedawno przeszły operacje plastyczne.

Kiedy się ubieram, słyszę męski głos. Jakiś czekający mąż zabawia klientki.

– Na starość nie ma sposobu. Każde ciało się niszczy. Działa przecież pogoda, także siła ciążenia i przede wszystkim czas. To są nieustępliwi wojownicy. Atakują w dzień i w nocy, bez przerwy. Teraz też. A moja żona myśli, że da się je przekupić pieniędzmi. Niech się lepiej z tego w domu śmieje, wyjdzie taniej.



DLA ZAINTERESOWANYCH:

- obiektem działania jest twarz i część szyi;
- ile to kosztuje:
masaż Rosenberga – 200–300 zł.

Dermabrazja i krioterapia

Dermabrazja to usunięcie zewnętrznych warstw skóry. Dotychczas zabieg ten stosowały kosmetyczki (pod okiem lekarza) np. w ciężkich stanach trądzikowych. „Konspiracyjna” moda włączyła ten zabieg do ar-

senatów odmładzania, mimo protestów dermatologów. Ale „klient nasz pan”, uważają niektóre kosmetyczki.

– Czymś, co przypominało pumeks, zdarto mi naskórek z twarzy – mówi jedna z pań. Zakrwawioną twarz przykrywała płótnem, zakrwawione oczy – ciemnymi okularami. Teraz przez tydzień nie wyjdzie z domu, żywiąc się nadzieją, że nowy naskórek będzie o 30 lat młodszy. Nie będzie, bo jej organizm wytworzy tylko to, na co go jeszcze stać. To przecież nie przeszczerz na nastolatki.

Krioterapia to leczenie zimnem. Tą metodą powinien posługiwać się tylko lekarz. Zabieg jest dość prosty. Miejsce, gdzie skierowana jest sonda z wąskim strumieniem ciekłego azotu lub podtlenku azotu, ulega szybkiemu zamrożeniu. Likwiduje się w ten sposób blizny, przebarwienia, brodawki i inne brzydactwa skórne. Po zabiegu powstaje pęcherz, taki sam, jak po odmrożeniu. I boli, wiem coś o tym. Utrzymuje się on przez parę dni. Potem płyn z pęcherza się wchłania, powstaje strupek. Następnie strupek odpada razem z tym, z czym walczyliśmy. Kilka pęcherzy na twarzy też wymaga skrycia się na parę dni w domu.

Uwaga! Zabieg bez udziału lekarza może się skończyć fatalnie: śladami po odmrożeniach.

A może plastynacja?

Świat obiega właśnie sensacyjna wiadomość: jest sposób na nieśmiertelność ciała (bez duszy). Otóż niemiecki profesor patolog von Hagens z Oberhausen zastąpił naturalne płyny ustrojowe w ludzkim ciele masami polimerowymi. Ciało jest suche i bezwonne, ale, niestety, martwe.

Takie plastynaty (kojarzą mi się z marynatami) profesor wystawia w różnych muzeach i udowadnia ich nieśmiertelność. Zwie się to „nową sztuką” i ściąga miliony widzów.



Olga Tokarczuk
Pismo inne niż wszystkie



Jacek Żakowski
*„Zwierciadło” zobaczyło moją lepszą stronę**

zwierciadło

nr 03/1953 marzec 2003 r.
cena 5,90 zł (w tym 7% VAT)

Artyści niezależni

Raj na ziemi

Twój zegar biologiczny

Eichelberger w nowym cyklu o kobietach

LIV ULLMANN
URZĄDZA BUDZIAK
TAMARA LEMPICKA
ich wielkie miłości

Anna Mamczur
odkrywa aromaterapię



Wojciech Eichelberger
„Zwierciadło” – prawdziwe i mądre



Anna Maria Jopek
„Zwierciadło” to pismo szlachetne, dla kobiet wymagających

* J.Ż. jest laureatem „Kryształowego Zwierciadła”



FREKWENCJA NA FILMACH WŁADYSŁAWA PASIKOWSKIEGO

- „Psy 2: Ostatnia krew” – 687 tys.
- „Psy” – 404 tys.
- „Demony wojny wg Goi” – 403 tys.
- „Słodko-gorzki” – 345 tys.
- „Operacja Samum” – 311 tys.

(źródło: box office miesięcznika FILM 1991–2001
na stronie internetowej
<http://akson.sgh.waw.pl/~mzacha/polski.htm>)



Co ty wiesz o robieniu filmów?

Pasikowski brnie drogą, która wiedzie donikąd.

Władysław Pasikowski jako 32-letni reżyser przebojem wkroczył na polski rynek filmowy. Rozgłos zapewniły mu dwa filmy: debiutancki „Kroll” (1991) i „Psy” (1992).

„Kroll” – opowieść o pogoni za dezerterem i nie najlepszych klimatach w odrodzonym Wojsku Polskim – podzielił publiczność na dwa obozy. Jeden przyjął film entuzjastycznie. Pisano o „pierwszym amerykańskim filmie polskim”, o biegu warsztatowej, o trafieniu w gusta masowego widza, wreszcie – co dość

istotne – o filmie, który w ramach wolnego rynku potrafi na siebie zarobić. Drugi narzekał na wulgarność i brutalność oraz – to słowo kluczowe – nihilizm. Debiut był jednak głośny, a młoda widownia przyjęła go z aprobatą.

Reżyser poszedł za ciosem. Rok później pojawiły się „Psy” – chyba najważniejszy polski film początku lat 90. Opowieść z 1989 roku o zwerifikowanych ludziach bezpieki, zgniliznie moralnej, korupcji i paleniu akt wywołała falę oburzenia i przyniosła sukces kasowy. Mówio-

no o „kinie niemoralnego niepokoju” i szarganiu świętościami – realizatorzy wpisali się bowiem, niekoniecznie świadomie i celowo – w polityczny kontekst „grubej kreski”.

Symptomatyczna jest wypowiedź Krzysztofa Zanussiego, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w kwietniu 1996 r. powiedział, że „artysta, który przewidział wygraną postkomunistów [w wyborach parlamentarnych – przyp. JAZ], był Władysław Pasikowski”.

W „Psach” dostrzeżono także błuźnierczą parodię mitu o Janku Wiśniewskim, w dodatku jeden z filmowych posłów reprezentuje ugrupowanie o nazwie Chrześcijańska Unia Jedności – w skrócie...

Druga sprawa dotyczyła obyczajów. Bohaterowie w świecie pozbanionym wartości, wulgarny, marynarski język, bohaterki jako nieczne zdziury. Wreszcie – i to ważny element całego dorobku Pasikowskiego – kreacja głównego bohatera. Etatowym aktorem stał się u niego Bogusław Linda jako Franz (wł. Franciszek) Maurer. Takiej postaci w polskim kinie jeszcze nie było – samotny, posępny twardziel, mocny facet bez złudzeń, dukający ostre teksty, z których sporo wzbogaciło potoczną polszczyznę („Co ty, kurwa,

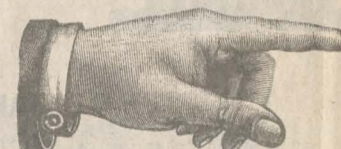
wiesz o zabijaniu?”), „Bo to niedobra kobieta była...”, „Nie chce mi się z tobą gadać”).

Często się jednak zdarza, że największy sukces nosi w sobie załazek przyszłej katastrofy. Tak jest z dorobkiem Pasikowskiego. Sukces „Psów” – i sama ich fabuła – domagały się dalszego ciągu. Powstały „Psy 2: Ostatnia krew”, które były tylko bladym cieniem części pierwszej. Pasikowski jednak pogrążył się we własnym języku filmowym, zaś Linda brnął w „maureryzm”, jakby nie zauważając, że obaj przyprowadzają sobie gombrowiczowską gębę.

W 1996 r. Pasikowski postawił na temat młodzieżowy. Powstał niefortunny „Słodko-gorzki”, film fałszywy i nieudolnie zrealizowany (paradoksalnie – na festiwalu w Gdyni otrzymał nagrodę za reżyserię). Pasikowski zauważył, że nie czuje się najlepiej w kinie rodzajowo-obyczajowym i zrealizował dwie superprodukcje (na skalę krajową). Filmy okazały się przykrymi nieporozumieniami. „Demony wojny wg Goi” (1998) reżyser umieścił w plenerach wojny w b. Jugosławii. Bohaterami byli polscy żołnierze na placówce pokojowej, tematem – moralne dylematy i międzymieskie konflikty. Niestety, Pasikowski nie sprawdził się jako inscenizator scen batalistycznych. Identyfikacja zarzuty skierować można wobec „Operacji Samum” (1999).

Jak na świetnego debiutanta, Pasikowski brnie drogą twórczą, która wiedzie donikąd.

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● WYBITNE ●●●●● ZNAKOMITE



SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK.

Film zupełnie pod prąd: tego, co chcieliby dziś widzowie, co miałyby być wzorem młodzieżowej platformy europejskiej, a także tego, co twórcze i nowoczesne warsztatowo. A zatem przypadek beznadziejny. Dlaczego jednak autorka obsypana poprzednio laurami za filmy krótkie (jeszcze podczas studiów), a tu debiutująca pełnometrażowo, znów jakimś trafem zdobyła już festiwalową nagrodę za „osiągnięcie artystyczne”, dlaczego tak dobrze zrozumiała się

ze świetnymi aktorkami (Jadwigą Jankowską-Cieślak i Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik) i z Zygmuntem Koniecznym, i dlaczego jej filmowi patronuje duch Wojciecha Hasa? Proszę sprawdzić. W tej szarej historii przegranej matki, niepozbianego syna i uczuciowych kłamstw jest zarazem czułość, zimna prawda i świadectwo istnienia ludzi innych niż z głównych ulic. Chodzi o pielęgnację duszy i trwanie przy powszedniości w niechętnych jej czasach. Wspaniałomyślnie wypada więc tu niejedno wybaczyć: Małgorzata Szumowska jest nadzieją naszego kina.

(AG)

Reż. Małgorzata Szumowska, Polska 2000

NASZA FANTAZJA

Pytanie za milion dolarów: „co siedzi człowiekowi w głowie?” – zapowiada rozwój wydarzeń sąsiad Juliette Lewis w ciekawym, choć lichym logicznie dreszczowcu „Czwarte piętro”. Za sprawą wesołków z kina antyhollywoodzkiego mogliśmy ostatnio zajrzeć do głowy Johna Malkovicha. Ale czy to wyjątek? Zgłębianie labiryntów umysłu zajmuje przecież także mistrzów. Właściwie tylko tym (co najmniej od „Mechanicznej pomarańczy”) zajmował się Kubrick, najbardziej twórczy filmowiec ostatnich dekad. W kinie popularnym można zaś strasznie narzekać na towar made in USA dla międzynarodowej masy gapiów, godzi się też jednak zauważyć, ile znaleźli w amerykańskich głowach zarówno niezależny Todd Solondz („Happiness”), jak Ball i Mendes, zatrudnieni przez główną firmę DreamWorks, w „American Beauty”. Czy to się zdarza tylko Anglosasom? Ależ skąd. Nie inaczej bywa w całej Europie, od Berlina (wizje Toma Tykwa – „Biegnij, Lola, biegnij” i „Zimowy sen”) po Madryt (gdzie królem fantazji, bardziej niż Almodóvar, jest, jak są-

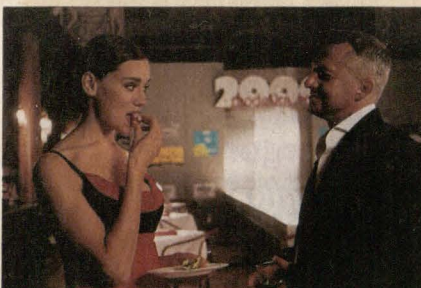
dę, Julio Medem, nie tylko z racji „Kochanków z kręgu polarnego”).

Każdy z tych filmów mógłby mieć polski odpowiednik. Zamiast „Nadwiślan Beauty” i „Myśleć jak Bogusław Linda”, mamy pejzaże pustyni mózgowych, czy to chodzi o głowy pospolitych leśniczy, zabawnie (?) podpatrywanych smakoszy jabłota i poczwierców z klasy średniej (zdolnych tylko do refleksji, że war-

to mieć duże zwierzę, którego będą zazdrościć), czy o inteligentów. Współczesna rama „Weisera” jest bez sensu, bo do magicznego dzieciństwa dodaje

bezmąsność bohatera dorosłego i nie ma się co dąsać, że z tej przyczyny wyrażany jest z żalem kolejny zawód. Czy polskie szare komórki ożywają tylko u kresu? Oto bowiem obcować z bogatą świadomością można dopiero w pięknym wyjątku, jaki czyni „Życie jako śmiertelna choroba...”. A gdzie inne obawy polskiej fantazji? Następcy Kieślowskiego i Weira nie wierzą w siłę podobnie czujących. Reszcie się ganianie do głowy nie wydaje się przydatne.

ADAM GARBICZ



REICH. Kolejny film Władysława Pasikowskiego. Tym razem dwójka steranych życiem gangsterów postanawia wrócić do kraju i zacząć normalne, porządne życie. Nie udaje się, bowiem od razu popadają w konflikt z sopocką mafią. W krwawym finale okazuje się, że tożsamość jednego z gangsterów nie była aż tak oczywista. Reżyser częstuje nas po raz kolejny tym samym – daje film całkowicie przewidywalny. Popętnił jednak błąd – wierzył, że udało mu się wypracować swój własny, niepowtarzalny styl. Jest dokładnie odwrotnie – są to wszystko sztampy, cytaty, nieudolne kalki i niezamierzone autoparodie. Zawodzi aktorstwo – rozczarowuje grobowo poważny Mirosław Baka, postaci kobiece wypadają bladawo – zwłaszcza agresywnie drewniana

(JAZ)

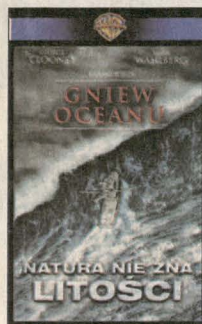
Reż. Władysław Pasikowski, Polska 2000.

Kino
XXI WIEKU



JAK JEJ NIE KOCHAĆ. Drugi film syna Johna Cassavetesa – według scenariusza ojca – zyskałby jeszcze, gdyby wiarygodność sytuacji nie była poddana rozbujanym popisom aktorskim Seana Penna i Robina Wrighta (na cichym tle Johna Travolta). Fabuła opisuje dzikie ekscesy pary młodych kochanków, którzy bez opamiętania i krztyny odpowiedzialności używają życia na haj, aż kończy się to, typowo, w zakładzie zamkniętym. Co z ich miłości zostanie po latach? Mało kto zgadnie. Trudno uwierzyć, ale warto sprawdzić. (AG)

Reż. Nick Cassavetes, USA 1997.



GNIEW OCEANU. Dzieło o kutrze rybackim w oku burzy. Próba solidarności skłóconych członków załogi. Reżyser rzetelny i pracowity, lecz jego piętą achillesową jest przeraźliwy brak polotu i oryginalności. Oglądamy znakomicie zainscenizowany spektakl, który będzie robić wrażenie do samego końca – i ani sekundy dłużej. Postaci zarysowane są płasko, psychologiczne tarcia okazują się gładkie, a tak naprawdę liczy się tylko wysoka sztormowa fala. Jednak w porównaniu z niskimi lotami twórców – zdecydowanie przegrywa. Patoz epilogu à la epitafium budzi jeszcze bardziej mieszane uczucia. Zatem nie chodziło tylko o dwie godziny rozrywki z niezobowiązującym dreszczykiem? (JAZ)

Reż. Wolfgang Petersen, USA 2000.



POCIĄG ŻYCIA. 1941 r. Rada żydowskiej gminy postanawia uprzedzić nazistów i dokonać autodeportacji do Erec Israel. Oglądamy popis samoorganizacji: zdobycie pociągu, nauka jego użytkowania, fałszowanie dokumentów, szycie mundurów i szlifowanie niemieckiego – część uciekinierów musi udawać faszystów. W drodze spotka ich wiele niebezpieczeństw, lecz dzięki sprytowi i rozwadze wyminą blokady i zmylą pościgi. Epizody nie zawsze są najwyższej próby, ale siła komiczna i liryczna kilku z nich wynagradza miałość pozostałych. Farsa o holokaucie? Raczej użycie nośnego gatunku do zobrazowania fundamentalnych treści. Jeden z wielkich malarzy XX w. powiedział, że „sztuka to skłamanie, które pozwala odstąpić prawdę”. Rumuński film francuskiej produkcji należy do tej kategorii. Opowiedziana w tonacji buffo, fikcyjna, niemożliwa historia dobitnie przywraca naszej pamięci brutalną rzeczywistość epoki pieców. Na poziomie autotematycznym obraz uwypatnia zdolność celulozoidu do pokazywania wewnętrznej rzeczywistości człowieka. (TP)

Reż. Radu Mihaileanu, Francja 1998.

Kasety udostępniła sieć wypożyczalni „Beverly Hills Video”.

Niech spada na mnie

Blady, pięćdziesięcioczerotletni mężczyzna z rozwianą brodą stoi pod wybitym sklepieniem gotyckiej kaplicy i, uśmiechając się szyderczo do krakowskich rajców, krzyczy: – „Niech spada na mnie!”

Sceną bezskutecznej próby obrony kaplicy przy szpitalu św. Ducha mógłby się rozpocząć film o Matejce. Gdy prezydent miasta, wbrew projektowi malarza, który chciał odrestaurować stare mury i urządzić w nich pracownię, podstępnie nocą rozpoczął burzenie, Matejko oddał dyplom honorowego obywatela Krakowa i ofiarowaną mu książeczkę oszczędnościową z pokaznym wkładem. Pozostał mu rok malowania, rok życia.

Książka Henryka Marka Słoczyńskiego, historyka historiografii – w przeciwieństwie do rozlicznych hagiografów – nie wygładza życiorysu Matejki. Choć z faktów z życia najbardziej znanego polskiego malarza tworzy rzetelną mozaikę, mam wrażenie, że oglądam go przez szybę.

Nie czuję ciepła człowieka, zapachu jego ubrań; nie czuję jego spojrzenia na karku.

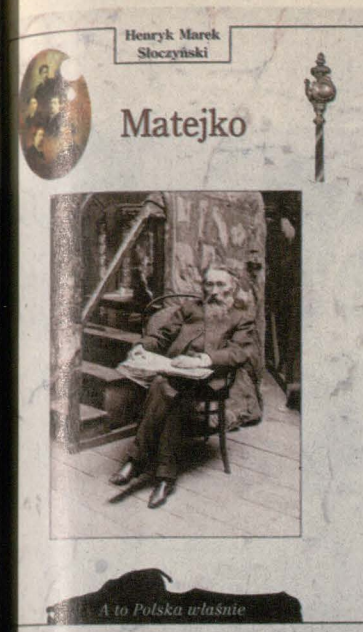
Dzieciństwo, okoliczności śmierci matki siedmioletniego Jana. Matka na łożu śmierci obok zwłok kilkunastoletniej, zmarłej w przededniu córki, wyraża wolę przejścia na katolicyzm. Księdzu zagradza drogę wuj Jana, Rossberg, brat matki: siostra umrze, jak żyła, jako protestantka. Potem w domu strach – bo surowy ojciec Jana, organista i nauczyciel muzyki, przybysz z Czech, opowiada, że matka nurza się w czeluściach piekielnych.

Pragnienie ciepła, bez oddawania miłości Matejki, Teodora, biedna kobieta, sporo odeń młodsza, gdy już urodziła mu dzieci i chorowała na cukrzycę, okazała się osobą zbyt wiele

Zdaniem mojej żony...

wą babkę do piekarnika i – mając chwilę wolnego czasu – obdarowała mnie uroczą pogawędką. „Jest się tym, co się je – powiedziała głosem nie znającym sprzeciwu. – Gdyby Proust zjadł swego czasu zamiast magdalenki befsztyk wołowy z frytkami i popił piwem, to nigdy nie odzyskałby straconego czasu, a my nigdy nie spojrzeliśmyby dzięki niemu w głąb siebie. Tylko domowe,

pachnące ciasto potrafi otworzyć naszą duszę na zagubione chwile, kiedy wszystko było takie proste...”. Tu moja żona przerwała, by zajrzeć przez zapyloną szybę w głąb pieca. Uspokojona, mówiła dalej: „...i wtedy niebiański smak przenika nasze zdania, uwalniając kryjące się w nas piękno”. Chwilę rozkoszowała się swoimi słowami, po czym trzymającym gestem wyjęła z piekarnika dymiące cudo, nabożnie ukroiła kawałek i podsunęła mi z tymi słowy: „Smakuj i patrz w głąb siebie”. Ugryzłem ostrożnie i całe moje podniebienie przeszył przenikliwy smak niewiarygodnego zakalca. **mąż**



żądającą od życia. Jako rozrzućną i przykłąwą zamknięto ją w domu wariatów. Słoczyński nie pisze, jak to było wspomina natomiast w dziennikach, jak o czymś zwykłym, Marian Gorzkowski: wraz z psychiatrą wziął Teodorę do fiakra, obiecując wycieczkę przemocą zawlekł ją do zakładu.

Ten Gorzkowski to przasny demon: zubożały szlachcic ze Żmudzi, wszedł w łaski Matejki, stał się sekretarzem Szkoły Sztuk Pięknych pod dyktando mistrza, został jego domowym skarbnikiem, księgowym, sekretarzem, totumfackim. Izolował od świata tego tytana pracy, „oszczędzając mu trosk”, wpędzał go w tarapaty. Także o grąskim podłożu społeczno-politycznym.

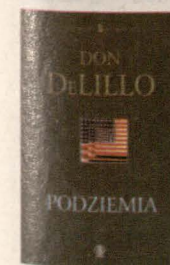
Matejko, przesycony mistycyzmem, był przesadny, kierował się

numerologią; ważne były dzień i godzina rozpoczęcia dzieła. Uważał się za makrobiotyka, hm!, obywając się kawą i czerstwymi bułkami. Słoczyński napomyka, że artysta, już około czterdziestki wrzodowiec, byłby umarł wskutek źle zastosowanej kuracji. Sprezycuję, wiedząc skądinąd: otóż dr Korczyński zaordynował tydzień obfitego, tustego jedzenia, picia piwa, wina i wódki artysty, którego przewód pokarmowy był wycięczony wskutek nieustającej diety!

Bogato ilustrowaną książkę Słoczyńskiego – obfitującą w sady dotyczące historiozofii Matejki – radzę czytać uważnie. Tak jak i ja robiłem. W rozdziale szóstym – ostatnie chwile Matejki. Przyjechał z Bochni krewny, Tosio Serafiński, prawnik. Umierający liczył na jego pomoc w sprawach rozjemczych. Gorączkował się pośród zwierzeń. U Gorzkowskiego jest dokładnie zanotowana wypowiedź: „Niech się wuj uspokoi”. Mistrz odpowiada – i są to jego ostatnie słowa: „Tak, chcę się uspokoić”. U Słoczyńskiego wypowiedź Tosia brzmi: „Niech wuj się uspokoi”. Uważajmy na miejsce, w którym jest „się”!

MAREK SOŁTYSIK

Henryk Marek Słoczyński: „Matejko”. Seria „A to Polska właśnie”. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000; str. 290.



Don DeLillo: „Podziemia”. Przel. Michał Kłobukowski. Rebis, Poznań 2000, str. 846.

Lektura tej powieści to przedsięwzięcie czasochłonne, lecz warto podjąć wysiłek, bo wiadomo od dawna, że amerykańscy pisarze, nawet ci z „drugiego szeregu”, znakomicie potrafią opowiadać. Don DeLillo nie jest autorem wybitnym ani błyskotliwym, jest natomiast solidnym rzemieślnikiem

literackim, który doskonale wie, jak przykuć uwagę czytelnika, jak wzbudzić jego zainteresowanie, co i w jaki sposób opisać, kiedy zagrać na wzruszeniach, a kiedy rozładować napięcie żartem, jak nakreślić portret postaci i jak przekonać czytelnika, że oto ma przed sobą niebanalny utwór. Recepta jest prosta: opisywać wszystko z punktu widzenia zwykłego człowieka, obserwować, jak wielkie wydarzenia odciskają się w jego życiu, konstruować sceny „z życia”. Stosując się do niej, stworzył DeLillo świetną panoramę Ameryki ostatnich dziesięcioleci (od 1951 do 1992 roku), pokazując przemiany obyczajowe, zmiany zachodzące w kulturze oraz polityce. To jest po prostu świat przedstawiony, a nasza literatura wciąż stosuje uniki. (LB)



Kłopoty z Matejka



Rozmowa z Markiem Słoczyńskim

Z Matejką zawsze były kłopoty. Któreś już pokolenie uczy się na jego obrazach Polski, z drugiej jest celem ataków. Jak zdra wraca pomówienie, że Matejko nie jest malarzem.

Jako historyka, u Matejki interesują mnie dzieje Polski. I temu głównie poświęciłem swoje zainteresowania. Byłoby przesadą kwalifikowanie Matejki, jak czynili to jego współcześni, jako twórcy równego Leonardowi. Z pewnością jest zjawiskiem w pełni porównywalnym z dziewiętnastowiecznym malarstwem europejskim – akademickim. Na tym tle Matejko wypadł bardzo dobrze.

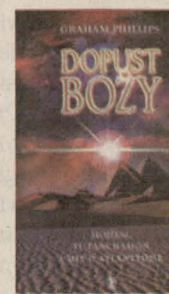
Matejko żywił złudzenia, że „prawdziwe historyczne malarstwo” będzie przyszłością sztuki, a nie „bezmysłne” malarstwo Zachodu. Czy przyszłe pokolenia Polaków zadały sobie trud odczytania historiozoficznego przesłania Matejki?

Nie zadały sobie takiego trudu, usiłowały wykorzystać jego przesłanie w działaniach propagandowych. Matejko wydawał się patriotą wzorcowym.

Malarstwo Dudy-Gracza jest zaprzeczeniem krzepiącej sztuki Matejki. Ale powiedział on przed laty, że Matejko jest mu bliski, bo pomógł mu zrezygnować z wartości artystycznych, formalnych, malarskich – na rzecz formułowania treści.

Matejko, który chce być blisko problemów aktualnych, jest inspirujący. Podobnie zresztą można interpretować słynny ambalaż „Hołdu pruskiego” Tadeusza Kantora, gdzie wszystko jest w muzealnych opakowaniach, a jedynie Stańczyk, jako autoportret artysty, ma czerwone, jaskrawe barwy. A więc to, co z Matejki zostało, to tworczy pasja, chęć oddziaływania na współczesność.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ



Graham Phillips: „Dopusz Boży”. Przel. Jan Pyka. Rebis, Poznań 2000.

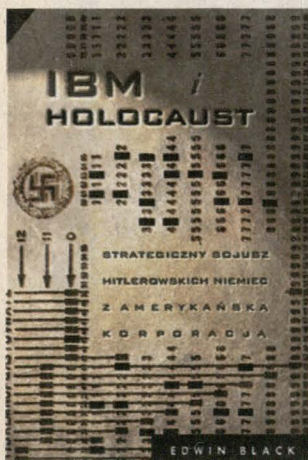
Czy można w jedną spójną całość powiązać Mojżesza, Tutanchamona i Atlantydę? Graham Phillips (który wcześniej w podobnych książkach wyjaśniał tajemnice

króla Artura, Szekspira, Robin Hooda i świętego Graala) twierdzi, że tak. W jakim stopniu są to jego radosne spekulacje, a w jakim prawdopodobny przebieg wypadków, który pokazuje jedną wspólną przyczynę wyprowadzenia Izraelitów z Egiptu, mitu o Atlantydzie i kilku nie wyjaśnionych tajemnic faraonów, każdy czytelnik musi sam zdecydować. Mnie, mimo kilku widocznych gołym laickim okiem drobnych naciągnień, chyba przekonał. (KMS)

LESZEK BUGAJSKI

BYŁO nie minęło

Punktem wyjścia książki Blacka „IBM i holocaust...” było jedno proste pytanie: jak to się działo, że machina ludobójstwa funkcjonowała jak przysłowiowy zegarek? Jak to się stało, że hitlerowcy dysponowali precyzyjnymi listami Żydów? Black oskarża amerykański koncern.



Edwin Black: „IBM i holocaust. Strategiczny sojusz hitlerowskich Niemiec z amerykańską korporacją”. Przel. Piotr Budkiewicz. Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2001

Bomba wybuchła w sobotę, 10 lutego. Jak podał „New York Times” – „adwokaci ofiar hitlerizmu zaskarżyli do sądu w Nowym Jorku największy na świecie koncern komputerowy IBM”. Z cytowanych przez gazetę fragmentów pozwu wynika, że „przedstawiciele filii IBM w III Rzeszy wiedzieli, że ich technologia będzie wykorzystana do ludobójstwa”.

W niedzielę temat pojawił się w głównych wydaniach telewizyjnych dzienników. Dorota Warakomska przeprowadziła przed kamerą TVP krótką rozmowę z Edwinem Blackiem, który potwierdził, że z zebranych przez niego materiałów wynika, iż IBM ma rzeczywiście wiele na sumieniu i dotąd te ciemne interesy korporacji nie były badane ani – tym bardziej – ujawnione.

A już w poniedziałek, 12 lutego, jednocześnie w ponad dwudziestu krajach świata, w tym także w Polsce, ukazała się książka Edwina Blacka „IBM i holocaust. Strategiczny sojusz hitlerowskich Niemiec z amerykańską korporacją” i od razu stała się wielką sensacją. Natychmiast pojawiły się pierwsze przychylnie komentarze history-

ków, którzy teraz z pewnością będą weryfikowali zebrane przez Blacka materiały. IBM postrzegany był dotąd raczej jako firma przyjazna ludziom, użyteczna, pomocna... W ubiegłym roku przekazał sprzęt komputerowy pomocny w rozdzielaniu niemieckich odszkodowań dla ofiar holocaustu... A jednak!

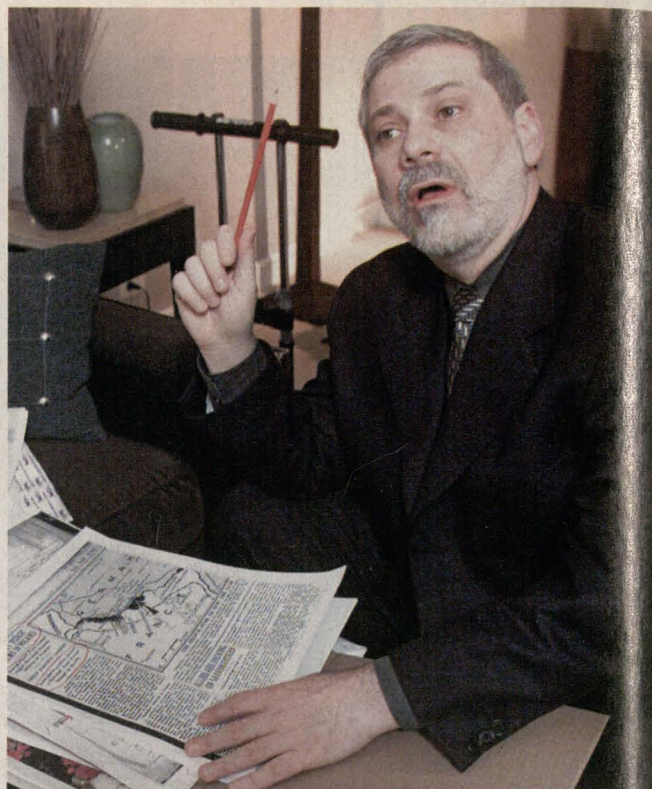
Punktem wyjścia obszernej i szeroko udokumentowanej książki Blacka było jedno proste pytanie, którego nikt przed nim sobie nie zadał. Można je sformułować tak: jak to się działo, że cała przerażająca machina ludobójstwa funkcjonowała jak zegarek? Jak wybierano ofiary? Jak panowano nad ich przepływem przez obozy koncentracyjne? To są pytania straszne, ale Black zastanawiał się nad systemem, który umożliwił faszystom przeprowadzenie całej, przecież bardzo skomplikowanej, akcji, jak również – na przykład – sterowanie pociągami, dzień po dniu wożącymi ludzi do obozów zagłady.

Po raz pierwszy pomyślał o tym, gdy z rodzicami zwiedzał Amerykańskie Muzeum Pamięci o Holokauście. Jego rodzice przed wojną mieszkali w Polsce i tylko cudem uniknęli śmierci (matka ocalała z masegowego grobu). I kiedy w ich towarzystwie stanął w muzeum przed maszyną sortującą IBM, zrozumiał, że to właśnie ta kor-

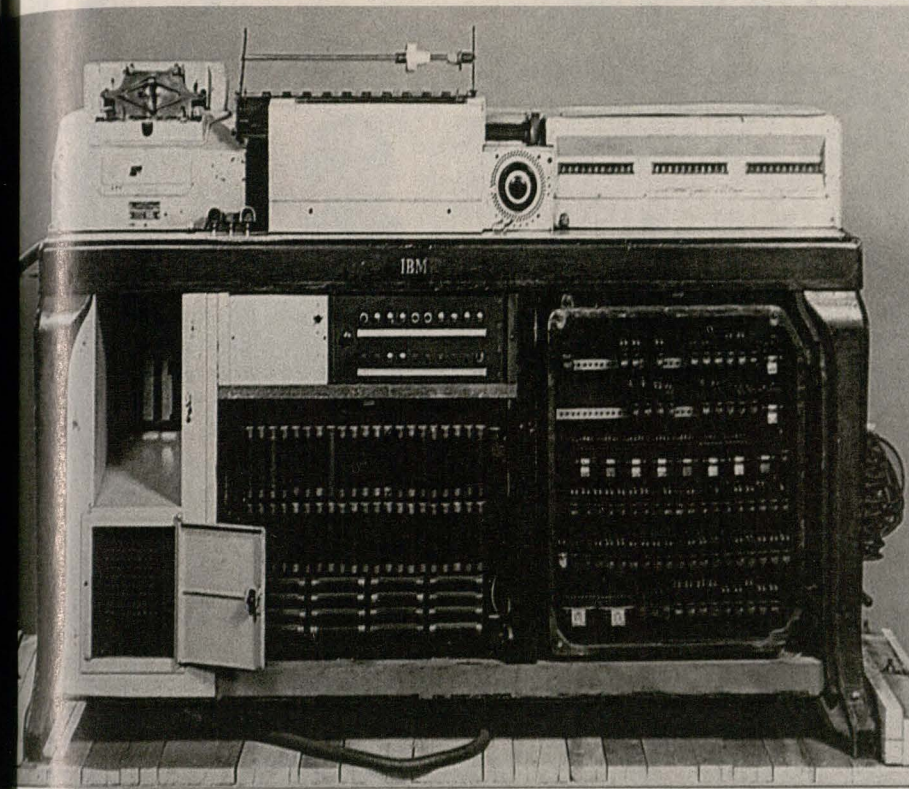
poracja, przez swój niemiecki oddział Dehomag, zorganizowała w 1933 roku powszechny spis ludności, w wyniku którego po raz pierwszy zidentyfikowano Żydów, nawet tych zasymilowanych, a także rozpoznano osoby o pochodzeniu częściowo aryjskim i częściowo żydowskim.

Udostępnione Niemcom przez IBM maszyny Holleritha do sortowania danych „stwarzały możliwość błyskawicznego działania i (...) prowadzenie poszukiwań na wielką skalę – pisze Black. – Automaty potrafiły identyfikować nie tylko pół i ćwierć Żydów, lecz także Żydów w jednej ósmej i jednej szesnastej”. Nie były to jeszcze, oczywiście, komputery, ale automaty wykorzystujące system kart perforowanych.

Taką technologią dysponował wtedy przede wszystkim IBM, sprawdził ją w czasie spisu ludności w Stanach i w Rosji, a później zastosował właśnie w Niemczech, kraju, który stał się jego głównym partnerem handlowym. Nie był to jednak handel w czystym tego słowa znaczeniu. Gdyby IBM sprzedał nazistom swoje maszyny, mógłby się teraz tłumaczyć, że przecież nie miał żadnego wpływu na sposób ich wykorzystywania. Koncern cały czas nadzorował ich pracę i dostarczał miliony czy na-



Edwin Black pisze o granicy między biznesem a zwykłym draństwem



IBM-owska maszyna Holleritha ułatwiała identyfikowanie Żydów

wet miliardy kart perforowanych, koniecznych do zapisu danych.

Nie da się więc już dłużej ukrywać, że IBM musiał dysponować wiedzą o tym, do czego na terenie Niemiec i kilkunastu okupowanych krajów są one wykorzystywane. Black – po zbadaniu ogromnej liczby akt – nie ma wątpliwości, że znajdowały się one w obozach koncentracyjnych, że ułatwiały i przyspieszały pracę ich administracji, a tym samym przyczyniały się do sprawniejszego przebiegu ludobójstwa. Jednym słowem: groza. Oczywiście nie twierdzi, że IBM jest sprawcą zagłady, bez jego udziału Hitler i jego ludzie też realizowaliby swoje zamiary, ale – i to jest główny zarzut – nie tak sprawnie!

Autor „IBM i holocaust...” tak komponuje książkę, by jasne i wyraźne było to, że ówczesny prezes IBM, Watson, musiał wiedzieć, co robią Niemcy. Obficie cytuje artykuły „New York Timesa” z lat czterdziestych na temat ludobójstwa. Opisuje również, jak bezwzględnie zabiegali wysłannicy firmy tuż po wojnie o odzyskanie maszyn i transfer zysków z kont w europejskich bankach. Osobna sprawa to dwulicowość Watsona i jego kontakty z nazistami, podtrzymywane do chwili przystąpienia USA do wojny i w czasie, gdy obowiązywał już zakaz dokonywania transakcji z wrogami. Wszystko to są fak-

ty co najmniej oburzające, których ujawnienie będzie miało konsekwencje trudne w tej chwili do przewidzenia i które też pewnie będą podważane w rozmaity sposób. Nie można jednak uznać, że należą one już tylko do historii i stamtąd rzucają cień na naszą współczesność. Książka stawia poważne pytanie, zawsze bardzo niewygodne dla szefów wielkich korporacji, choćby tych, które dzisiaj handlują bronią czy technologiami mogącymi mieć zastosowanie wojskowe: gdzie znajduje się ta cienka granica pomiędzy biznesem a zwykłym draństwem, czy nawet współudziałem w zbrodniach? Edwin Black zbliża się do tej problematyki, gdy pisze, że „Watson nie był faszystą. Można go określić mianem klasycznego kapitalisty”. Ale też pewnie dlatego „Thomas Watson oraz IBM przez całe dziesięciolecie zarabiali pieniądze na wszelkie możliwe sposoby, zarówno samodzielnie, jak i w ramach wzajemnej współpracy. Często łamali przy tym zasady uczciwości i zawierali tajne umowy. Krwawe wojny stały się zaledwie okazjami do robienia interesów”.

Co tu dodać? Książka jest wyraźną przestrogą i trzeba żyć nadzieją, że dzisiejszy kapitalizm nie będzie tak drapieżny. Choć – nie miejmy zbyt wielkich złudzeń – może to być złudna nadzieja.



JERZY HALBERSZTADT

– dyrektor projektu Muzeum Historii Żydów w Polsce:

Książka nie zasługuje na rozgłos, jaki jej towarzyszy. Nie wiem, czy poza Polską jest traktowana jako sensacja. O wykorzystaniu technologii IBM w Niemczech m.in. do spisów ludności wiadomo od dawna. W Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie ten wątek jest pokazywany od 1993 roku. Są tam maszyny Holleritha, czyli maszyny sortujące karty perforowane, które wykorzystywano przy rejestracji całej ludności Niemiec, w tym także Żydów. Widziało to 16 milionów zwiedzających muzeum, w tym także autor książki.

Jego teza, że bez tej technologii IBM nie byłaby możliwa zagłada Żydów, absolutnie nie odpowiada rzeczywistości, ponieważ zdecydowana większość Żydów została zamordowana bez udziału tej technologii. Stosowano ją tylko wobec Żydów niemieckich, austriackich, w ograniczony sposób w niektórych innych krajach Europy Zachodniej. Natomiast z całą pewnością nie w całej Europie wschodniej i północnej.

To jest ciekawy materiał faktograficzny, ale tezy formułowane są w taki sposób, aby przyciągnąć uwagę i zafascynować czytelników. To, że nastąpiło to akurat teraz, nie wynika ze spiskowej teorii dziejów, ale jest przemyślanym działaniem wydawców, którzy myślą o handlowym sukcesie książki. Nie przykładam też żadnej wagi do tego, że akurat teraz zostały złożone pozwy w sądach amerykańskich, bo uzasadnienie do dochodzenia jakichkolwiek roszczeń jest bardzo wątpliwe.

W moim przekonaniu autor nie udowadnia, że IBM wiedział, do czego ta technologia służyła. Są to wszystko poszlaki. Z książki wynika, że IBM miał kłopoty z władzami hitlerowskimi i czynił niezbyt udane wysiłki, aby zachować kontrolę nad swoim majątkiem w Niemczech.

Firma niemiecka, która potem stała się własnością IBM, została założona przez Niemca – twórcę tej technologii – i działała już w latach 20. w Niemczech. W latach 30. wprowadzono w wielu krajach technikę sortowania informacji dla celów statystycznych przy spisach ludności. Sądzę, że to, iż dane te mogą być wykorzystane do mordowania Żydów, nie przyszło do głowy nawet wielu nazistom.

Oczywiście, są moralne aspekty tej sprawy. IBM jako wielki koncern chciał zachować swoją własność w Niemczech, chciał zarobić i posunął się nieco dalej, niżby to wynikało z jego zobowiązań jako amerykańskiego przedsiębiorstwa. Kierownictwo koncernu utrzymywało stosunki z Niemcami nawet po wybuchu wojny niemiecko-amerykańskiej.

Nie ulega jednak wątpliwości, że ta sama technologia i cały potencjał IBM został wykorzystany w czasie wojny przez aliantów, zarówno przy produkcji zbrojnej, jak i przy szyfrowaniu i deszyfrowaniu informacji w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Na całym świecie kodowane są według tej technologii informacje statystyczne. Niedawno system perforowania kart – jak się okazało niezbyt precyzyjny – był zastosowany na Florydzie, podczas wyborów prezydenckich.

(K.T.)

MIASTO kobiet

O nowym zespole z Sopotu, który zaczyna robić w Polsce furorę, o KOBIECIACH, ich muzycznych wpływach, inspiracjach i czymś jeszcze – mówi mężczyzna i lider: Grzegorz Nawrocki.



Dlaczego zespół nazywa się Kobiety, jeżeli w jego składzie jest tylko jedna przedstawicielka tej płci?

Na tę nazwę wpadła właśnie ona, Ania Lasocka. Na początku nie byłem do niej przekonany, ale później wydała mi się nazwą na tyle intrygującą i przewrotną, by ją zachować. Ma wiele znaczeń i jest jak najbardziej odpowiednia do tego, co gramy.

Gracie muzykę kobiecą?

Jest w niej dużo kobiecej przestrzeni. Można by powiedzieć: eterycznie spokojnego brzmienia.

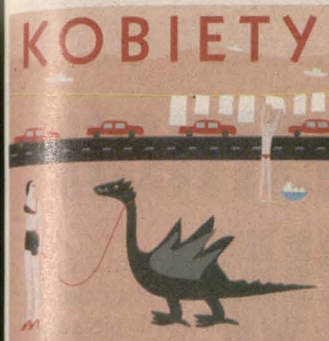
Udało się to uzyskać dzięki pełnej współpracy zespołu: Ani, Maćka Cieślaka ze Ścianki i Przemka Momota, który scalał naszą grupę podczas nagrywania płyty. Udało nam się uzyskać pełnię kobiecości w muzyce – jednocześnie delikatność, magię, tajemnicę, jak również drapieżność – to wydaje mi się najważniejsze.

Płytę można określić jako debiut. Co działo się wcześniej?

Grałem w Berlinie przez cztery lata razem z Olafem Deriglasoffem i z Krzyszkiem Wiskontim. Mieliśmy tam swój zespół. Po powrocie do Polski założyłem zespół Ego, który działał przez pięć lat. Później Tymon Tymański zaproponował mi udział w jego koncertach – robiłem to przez półtora roku. Ania Lasocka śpiewała na pierwszej płycie Kur, a na płycie Kobiet zadebiu-

towała jako basistka, poza tym napisała kilka tekstów, no i oczywiście śpiewa. Przemek Momot gra z Kasią Nosowską oraz w reggae-etnicznej Biafrze z Trójmiasta, ale w tej chwili nie gra już z nami. Mamy nowy skład. Wyjaśnij.

Teraz na perkusji gra Krzyszek Topolski z zespołu Ludzie. Gra z nami również Jacek Lachowicz – klawiszowiec ze Ścianki. Nasz obecny skład jest stały i wystarczająco mocny, by uderzyć



KOBIEITY. Płyta kobieca – to nie żart. Drażni gdzieś głęboko (w okolicach serca i żołądka) – jak od miłości, chociaż taka lekka i zwiewna ta muzyka. Zagrała fachowo i z charakterem, co nie przystania tego, że czerpie sporo z innych „kobięcych” kapel: chwilami wyraźnie Stereolab i Velvet Underground, a przesterowana gitara z Sonic Youth. Wokal damsko-męski, słowa odrealnione, zaplątane w sieć skojarzeń. Bomba z opóźnionym zapłonem. (TSE)

Biodro Rec

w trasę koncertową. Ania Lasocka, ja, Jacek Lachowicz i Krzyszek Topolski – każdy z nas ma swoją przeszłość muzyczną, ale myślę, że to, co zrobiliśmy z Kobietami, stanowi zupełnie inną sprawę.

Płytę współprodukował Tymon, a Mikołaj Trzaska uczestniczył w nagraniach. Jaki jest wpływ sceny yassowej?

Mikołaj był poważnym gościem na płycie „Kobiety” – wystąpił w trzech

utworach. A wpływ jest taki, że od wielu lat przyjaźnimy się serdecznie z Tymonem, Mikołajem, jak i z wieloma innymi yassowcami. Natomiast muzycznie idziemy w swoją stronę i nie mamy zbyt wiele wspólnego z yassem.

Na koniec chciałem zapytać cię o singlowy kawałek: Marcello – to jakiś włoski akcent. Skąd się wziął ten Marcello, który jest chyba Mastroiannim.

Dokładnie. Utwór ten skomponowałem, kiedy umarł Mastroianni. Byłem wielkim jego fanem, jak również Felliniego. Z kolei kawałek „Toshiro” jest hołdem złożonym Toshiro Mifune i Kurosawie. Oni wszyscy odeszli, tak jak moja młodość w Trójmieście, kiedy to chodziłem do kina, a filmy, które w nim oglądałem, mocno na mnie wpływały. Dlatego po śmierci moich ekranowych idoli postanowiłem oddać im należną cześć, jako wspaniałym ludziom i wspaniałym artystom. Okres, który już nigdy się nie powtórzy, warto utrwalić. Mieszkaliśmy w Trójmieście, dlatego w utworze „Marcello” przeplata się kino i życie. Chciałem wszystko połączyć, więc powstała spontanicznie zaprojektowana mieszanka.

Fajnie zmontowana, bo z kawałka „Marcello” wynika, że Sopot to miasto „Kobiet”.

LAZARUS

• 19 lat po wydaniu albumu „Avalon” na światowe estrady powraca grupa Roxy Music. Brian Ferry, Phil Manzanera i Andy McKay podpisali kontrakt obligujący ich do zagrania 50 koncertów w Europie, USA i Japonii. • Reaktywował się popularny na początku lat 80. duet Soft Cell. Marc Almond i Dave Ball rozpoczęli nagrywać nową płytę. W marcu

KRÓTKO:



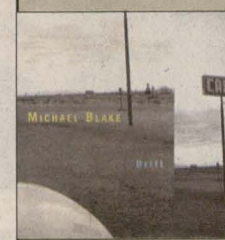
zagrają pierwsze koncerty. Marc wypiera się, że decyzja ma związek z powracającą w Wielkiej Brytanii modą na syntezatorowe brzmienia. • Buster Bloodvessel – charyzmatyczny

frontman legendarnej formacji ska Bad Manners – trafił do szpitala po zasnieniu na scenie podczas koncertu w Perugii. 40-letni wokalista cierpi na skomplikowaną wadę serca. Lekarze uważają za konieczną natychmiastową operację. Zabieg będzie skomplikowany, bo artysta waży około 210 kg. (WK)



CUBA FELIZ. Czkawka popularności „Buena Visty”. Nic dziwnego – skoro kubańska muzyka okazała się strzałem w dziesiątkę – pora zacząć odcinanie kuponów. Ścieżka dźwiękowa do filmu „Cuba Feliz” nie jest zła. Ot, zwykły muzyczny folklor, jeśli ktoś lubi, kupi i posłucha. Niestety, światowego sukcesu to raczej nie odniesie. Brakuje świeżości pierwowzoru. (RZ)

Universal



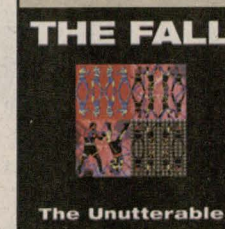
MICHAEL BLAKE. Znakomity album świetnego, acz mało znanego saksofonisty. „Drift” to coś na kształt ścieżki dźwiękowej do nie istniejącego filmu – między czarnym kryminałem a kinem drogi. Dużo tutaj odwołań do twórczości Johna Luriego i „The Lunge Lizards”, ale o plagiacie mowy nie ma. Raczej o intrygującym albumie jazzowym, a o to ostatnio trudno. (RZ)

Intuition/Multikulti



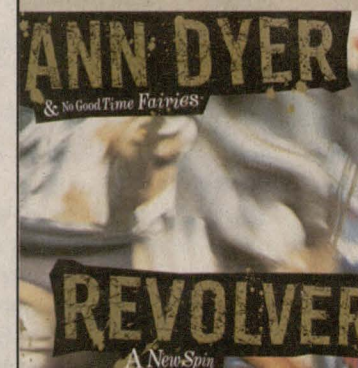
WILCO. Ostatni wielki amerykański rockowy zespół. Może zbyt dużo powiedziane, ale rockowej muzyce brakowało ostatnio świeżości. Za to Wilco ją ma. „Summerteeth” to płyta o przemijaniu, próbie uchwycenia tego, co minęło. Muzycznie pożyczona po trochu od Dylana, Velvet Underground i The Beatles. Jednak sposób opowiadania pozwala zapomnieć o oryginałach. (RZ)

Warner



THE FALL. „The Unutterable” to ciąg dalszy flirtu nowofalowych weteranów z rytmem ocierającym się o techno. Proszę jednak zachować spokój – na pierwszym planie niezmiennie pozostają nonszalanckie wokalizy Marka E. Smitha, jego zgrzytliwe teksty i monotonnie powtarzane gitarowe frazy. Całkiem udana synteza, choć jej efekt docenią wyłącznie koneserzy. (WK)

eagle records



ANN DYER. „Revolver” uchodzi za jedno z największych osiągnięć Beatlesów, a nagrywanie po raz drugi tej samej płyty wydaje się przedsięwzięciem wątpliwym. Z „Revolverem” Ann Dyer jest inaczej. Pierwszy raz od dawna mamy do czynienia z twórczym podejściem do piosenki. Beatlesi w wersji jazzowo-folkowej wypadają znakomicie. Wystarczy posłuchać kakofonicznego „Tomorrow never knows” czy psychodeliczno-sennej „Eleanor Rigby”. Ortodoksi będą narzekać, że piosenki Beatlesów same w sobie

są genialne i nie potrzebują nowych wersji, ale „Revolver” w wykonaniu Ann Dyer nie jest płytą z coverami, lecz nowym duchem w ciele Beatlesów. (RZ)

premontion/multikulti

NOWA TWARZ DYLANA

Od pewnego czasu Dylan zdawał się zmęczony swoim scenicznym wizerunkiem barda dla wiecznie zbuntowanych. A gitara z harmonijką stawały się zbyt ograniczonym środkiem ekspresji. Kwestią czasu było pojawienie się u jego boku zespołu. Tak stało się wraz z wydaniem „Bringing it all back home” – płyty, której nagranie zaskoczyło wszystkich wielbicieli jego talentu.

Czy to ten sam Bob Dylan – padały pytania? Zdrajca, sprzedawczy – porzucił folk na korzyść nie wiadomo czego. Trzeba przyznać otwarcie: Dylan został znienawidzony. Dlaczego? Bo nagrał album zmieniający oblicze – nie dość, że własne, to – muzyki folk. Wtedy zdawało się to świętokradztwem. Teraz nazy-

wamy to geniuszem. Na dobrą sprawę „Bringing...” prócz udziału zespołu niczego w piosenkach Dylana nie zmienia. Dalej były to ambitne protest songi – „Maggie's farm”, „Subterranean homesick blues”, czy wzruszające miłosne ballady, jak „It's all over now, baby blue”. To, co różniło je od innych, to energia, radość muzykowania. Tego brakowało starym piosenkom – świeżości, jaką wniósł ze sobą zespół. Zajęło trochę czasu, nim publiczność zaakceptowała nową twarz Dylana. On sam zmieniał ją jeszcze kilka razy, lecz nie zmienia to faktu, że słuchając „Bringing...”, ocieramy się o geniusz prostoty rock'n'rolla i szczerości przekazu.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

Bob Dylan
Bringing It All Back Home



Columbia

MANDALA WĘDRUJE PO ŚWIECIE

Dlaczego przedstawienia Stowarzyszenia Mandala coraz rzadziej można oglądać w Polsce?

Katarzyna Deszcz: Pracujemy za granicą, głównie w Wielkiej Brytanii, bo jesteśmy tam poważnie traktowani, a w Polsce różnie to bywa. Stowarzyszenie Mandala od sześciu lat współpracuje z brytyjskim zespołem Scarlet Theatre. Reżyseruję tam raz, dwa razy do roku. Ostatni projekt – „Siostry i inni” (według „Trzech siostr” Czechowa) – miał formę dwóch

spektakli prezentowanych jednego wieczoru. Oddzielnie grany był problem kobiecy, oddzielnie męski. Tournée, podczas którego graliśmy to przedstawienie, zakończyło się przed Bożym Narodzeniem i objęło wszystkie ważniejsze centra teatralne Wielkiej Brytanii. Spektakl został uznany przez krytyków za jedno z najwybitniejszych przedstawień londyńskich.

Andrzej Sadowski: W Istambule założyliśmy filię Mandali – teatr i szkołę zarazem. Uczę tam europejskiego spojrzenia na teatr. Zamierzam powołać w Turcji ośrodek badań nad współczesnym

teatrem, zajmujący się m.in. problemem nawiązywania relacji z widzem. Rozpoczęliśmy również współpracę z aktorami japońskimi. A co w Polsce? Planujemy plenerowe widowisko na Kazimierzu, według „Szatana w Goraju” Singera. Będzie to historia o opętaniu, jakie nawiedziło to mityczne miasteczko. Chcę również zrealizować napisaną przez siebie sztukę „Pomiedzy”, opartą na prawdziwych wydarzeniach. Na najbliższe Reminiscencje przygotowuję występ grupy artystycznej „Art&Action&Attraction”. Członkami zespołu są m.in. Antoni Szoska, wykładowca krakowskiej ASP i słynny krakowski grafik, Zbigniew Bielawka. Wszyscy tysi i po czterdziestce. Potrzebuję odejścia od sztuki serio i traktowania teatru nieco mniej poważnie.

IZA NATASZA CZAPSKA



FOT. PIOTR LISKIEWICZ/SE

BARBARA SASS odkrywa w swoim spektaklu kilka prostych prawd. Mówi o marazmie życia na wsi, o iluzji sukcesu w wielkim mieście, o ubóstwie duchowym, które może być jednak wartością. Banaly? Skądże! „Tama” pokazuje świat tak pasjonujący, że można się zgubić w nim całkowicie.

DRESZCZ w pubie Brandana

Zrealizowana we wrocławskim Teatrze Polskim „Tama” nie jest polską prapremierą utworu Conora McPhersona, irlandzkiego dramaturga młodego pokolenia. Pod koniec 1999 przygotowała ją w warszawskim Teatrze Studio Agnieszka Lipiec-Wróblewska.

Spektakl Barbary Sass jest inny. Po pierwsze, reżyser umieszcza bohaterów sztuki w malarskiej sceno-

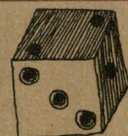
grafii. Po drugie, całkowicie poddaje się rytmowi niespiesznej obserwacji obyczajowej. „Tama” jest spektaklem o gadaniu. Bohaterowie to trzej starzy kawalerowie: Jack (Krzysztof Dracz), Brandan (Adam Cywka) i Jim (Paweł Okoński), którzy właściwie nie robią nic. Nie mają jakichkolwiek pasji. Nie uprawiają sportu, nie słuchają radia, nie oglądają telewizji. Po prostu siedzą w pubie, prowadzą mało inteli-

gentne rozmowy i piją piwo. Rozmawiają o pogodzie, o ciepłym wietrze, o potrzebie dołożenia do pieca albo o Norwegach czy Niemcach, którzy ich odwiedzają. Życie przecieka im między palcami.

Nudno? Bynajmniej, bo nie oglądamy wcale Irlandii – to kawałek polskiej prowincji bez perspektyw i przyszłości. Prowincjusze od McPhersona mają jednak swoje malutkie święto – to przyjazd ich przyjaciela Finbara (Miłogost Reczek) z dziewczyną Valerie (Ilona Ostrowska), co nie przerywa toku rozmów i opowieści. Ale obecność Valerie doprowadza do kulminacji. To przy niej bohaterowie otwierają się. I wtedy Sass, postępując krok w krok za McPhersonem, łamie czy może raczej nagina zasady realizmu. Kiedy słuchamy opowieści o duchach, zmarłej córeczce Valerie, po plecach przebiega nam dreszcz taki sam, jak w filmach Lyncha. Krzyk i płacz bohaterów przeradzają się w uzdrawiający śmiech.

Czy dziewczyna była medium? Czy pomogła zburzyć bohaterom „tame”, jaka blokuje ich umysły i emocje? Nie wiadomo. Valerie postanawia zostać na wsi. A my na widowni nie chcemy za żadne skarby opuścić pubu Brandana. Niech opowiedzą to jeszcze raz. Mamy czas. Poczekamy.

MARIOLA PALCEWICZ



Trzy genialne udogodnienia, jakie Zdzisław Wardejn wprowadził do polskiego aktorstwa:

1 Polski aktor nie musi się już niczego uczyć na pamięć – wystarczy, że tekst sztuki odczyta z brulionu. Uczciwość zawodowa każe jednak uprzedzić widza, że zamiast grania będzie czytanie. Toteż Wardejn, czołowy etyk polskiego teatru, z dumą obwieszcza: „Zaraz coś państwu przeczytam...”

2 Polski aktor nie powinien się na scenie zbyt długo męczyć, dlatego lepiej jest, żeby przez cały spektakl siedział na fotelu. Łatwiej czytać w takiej pozycji, literki nie trzęsą się po papierze.

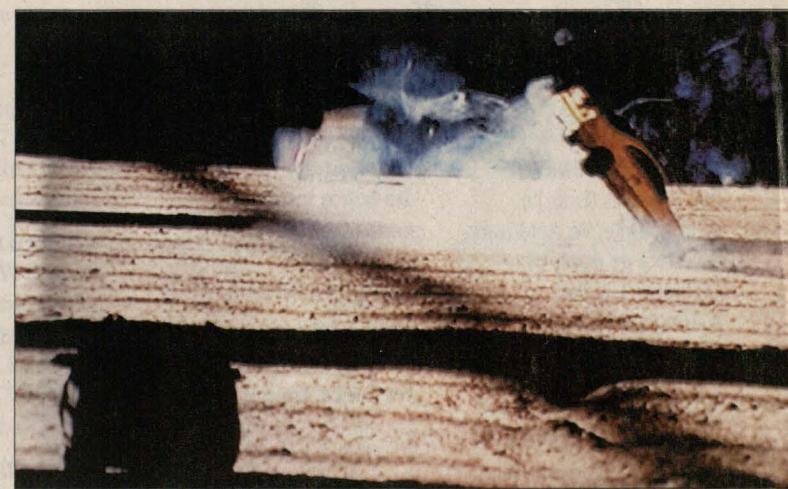
3 Długotrwały brak popitki był dotąd udręką dla wielu aktorów. Wardejn zrywa z tym niedobrym obyczajem. Lojalnie informuje publiczność, że ma w ręku dżin z tonikiem (uwaga zmyłka! W szklance na pewno jest woda z cytryną!) i będzie popijał. Żeby nikt nie przegapił momentu przełykania, aktor sygnalizuje raz po raz: „O, zaschło mi...”

Dziwnym zbiegiem okoliczności mnie właśnie też. LUKASZ DREWNIĄK

Fundacja Sceny na Piętrze Tępsis, Andrzej Marian Trzós, „Życie z widokiem na Manhattan”. Reżyseria i wykonanie: Zdzisław Wardejn. Premiera 24 stycznia 2001.

KONTEMPLACYJNE Wybuchy

W 40 minut eksploduje około 20 samochodów. Za wybuchy odpowiada najbardziej rozchwytywany młody artysta ostatnich sezonów, Wilhelm Sasnal.



Warszawskiej galerii Foksal Wilhelm Sasnal prezentuje swoją najnowszą pracę – katastroficzny film „Samochody i ludzie”.

Wilhelm Sasnal (1972) studiował architekturę. Porzucił ją dla malarstwa na krakowskiej ASP (dyplom 1999). Jest współzałożycielem krakowskiej grupy Ładnie.

Punktem wyjścia jest dla artysty doświadczenie codzienności. Sasnal robi sztukę o tym, co go bezpośrednio otacza i tymczasowo przykuwa uwagę. Szczególnie interesuje go poetyka mediów. Tematem jego obrazów często stają się telewizyjne wiadomości i prasowe doniesienia, np. wyjazd Pinocheta do Chile albo zatonięcie okrętu „Kursk”. Przemalowuje zdjęcia z gazet, kadry z ekranu telewizora, reklamy, grafiki gier komputerowych.

Sasnal interesuje się banałem, ale opowiada o nim niebanalnym, nowoczesnym językiem artystycznym. Posługuje się chłodną estetyką minimal – sprowadza motywy do syntetycznych, eleganckich znaków.

Wystawa w galerii Foksal prezentuje mniej dotąd znaną, filmową część działalności Wilhelma Sasnala. W wideo „Samochody i ludzie” artysta wykorzystał zabawki – resorówki i żołnierzyki. Zbudował prostą makietę, która posłużyła za scenografię. Następnie podkładał pod samochodziki (i do ich wnętrza) małe ładunki wybuchowe, a potem wysadzał w powietrze. Film przedstawia widowiskowe eksplozje – rozpadają się i wyginają karoserie, wybuchy wyrzucają autka w górę, padają stojące obok samocho-



dów postaci. Projektacja wyświetlana jest w dużym powiększeniu. Dzięki temu obraz staje się ziarnisty i niewyraźny, a sfilmowana makietka sprawia ludzko realistyczne wrażenie. Częścią wystawy są też fotosty z filmu.

Jedną z ostatnich serii obrazów Sasnal poświęcił prasowym wiadomościom o wielkich i małych katastrofach. Namalował cykl obrazów na podstawie gazetowych zdjęć, przedstawiających rozbite samoloty (m.in. tragedię concorde’a i Lockerby), karambole samochodowe, wypadki przy pracy. Zajmował się w nich me-

dialną poetyką katastrofy, estetyczną formą, jaką przyjmuje ona w prasie i telewizji. Podobnie „Samochody i ludzie” są pastiszem obrazów, którymi na co dzień karmi nas kultura masowa. Jego film przypomina autentyczne zapisy wideo z akcji policyjnych, które możemy oglądać w telewizji w programach typu real tv.

Artysta odwołuje się też do schematów kina akcji – eksplozje i kraksy samochodowe są jego obowiązkową atrakcją. Jednak, jak zwykle u Sasnala, zaczerpnięty z mediów motyw pojawia się tu wyrwany z kontekstu,

wyabstrahowany. Artysta zmienia wybuchające samochody w obiekty estetycznej kontemplacji. Jest w tej pracy przekorna radość piromana, frajda dużego chłopca bawiącego się w samochodziki i wybuchy, jest ironiczny obraz naszych zbiorowych fascynacji filmową sensacją i przemocą. A przede wszystkim jest poetycka wizja, znaleziona tam, gdzie nikt by się jej nie spodziewał.

STACH SZABŁOWSKI

Wilhelm Sasnal „Samochody i ludzie”. Warszawa, galeria Foksal, 2 II–3 III 2001 r.

KONCERTY

KONCERT SYMFONICZNY

Dyr. V. Borrits (Francja).
W programie: W. A. Mozart:
Uwertura do opery
„Czarodziejski flet”,
A. Dvorzak: Koncert
wielonczelowy,
R. Schumann: III Symfonia
„Reńska”.
23 II, g. 19, GDAŃSK,
Filharmonia Bałtycka, Sala
„Auditorium Novum” PG,
ul. Ołowianka 1,
tel. 058-305-20-40.

www.filharmonia.gda.pl

KONCERT SYMFONICZNY

Dyr. T. Bugaj. W programie:
P. Perkowski: Nokturn,
K. Szymanowski: II Koncert
skrzypcowy, M. Ravel: Dafnis
i Chloe (suite I/II).
23 II, g. 19.30, 24 II, g. 18,
KRAKÓW, Filharmonia im.
Karola Szymanowskiego,
ul. Zwierzyniecka 1,
tel. 012-422-94-77.

WYSTAWY

OBLICZA ŚWIATA

Do 25 II. Wystawa fotografii
zorganizowana przez
National Geographic.
WROCŁAW, Muzeum Sztuki
Mieszczańskiej, Ratusz,
tel. 071-344-36-38.

GRZEGORZ ROGIŃSKI FOTOGRAFIA

Do 25 II. WARSZAWA,
Galeria Mała ZPAW/CSW,
pl. Zamkowy 8,
tel. 022-628-12-71.
www.csw.art.pl

HENRYK STAŻEWSKI RELIEFY

Do końca lutego.
KRAKÓW, ul. Węgierska 5,
tel. 012-656-43-17.

WOLNOŚĆ I PRZEMOC Do końca lutego.

WARSZAWA, Królikarnia,
ul. Puławska 113a,
tel. 022-843-15-86.

CHIŃSKIE STROJE LUDOWE KOLEKCJA PAKOSKA. WOKÓŁ KRAKOWSKIEJ „SZTUKI” Do końca lutego.

GRUDZIADZ, Muzeum,
ul. Wodna 3/5,
tel. 051-46-590-63.

INDIAN COUNTRY

Fotografie Jana Zycha.
Do końca lutego.
KRAKÓW, Nowohuckie
Centrum Kultury,
al. Jana Pawła II 232,
tel. 012-644-07-71.

MIASTO WIELICZKA

I ZABYTKOWA KOPALNIA SOLI
Wystawa ekslibrisu (**do końca**
lutego). **WIELICZKA,**
Kopalnia Soli, Komora
Staszica, ul. Zamkowa 8,
tel. 012-278-32-66.

WNĘTRZE OBRAZU

Malarstwo Grzegorza Pabli.
Do 2 III. WARSZAWA,
Galeria Kordegarda,
Krakowskie Przedmieście
15/17, tel. 022-827-58-54.

W KRĘGU TRZECH

Fotografie Wacława
Nowaka. **Do 2 III. GDAŃSK,**
Gdańska Galeria Fotografii,
ul. Grobla i róg ul. św. Ducha,
tel. 058-301-71-47.
www.muzeum.narodowe.gda.pl/html/galeria.html

ADAM MYJAK. Rzeźby

Do 3 III. KSIAŻ, Zamek
(I piętro), ul. Piastów Śląskich 1,
tel. 074-840-58-09.

ARCYKOBIECÓŚĆ

Fotografie Grażyny Makary.
Do 4 III. KRAKÓW,
Centrum Kultury Żydowskiej,
ul. Meiselsa 17,
tel. 012-430-64-97.

NEGOCJATORZY SZTUKI

Prace m.in.: M. Bałki,
M. Deskur, K. Kozyry,
Z. Kulik, Z. Libery,
J. Modzelewskiego,
L. Tarasewicz,
A. Żebrowskiej.
Do 3 III. KRAKÓW, Galeria

Sztuki Współczesnej Bunkier
Sztuki, pl. Szczepański 3a,
012-422-10-52.

www.bunkier.com.pl

KOBIETA O KOBIECIE

Do 8 III. Wystawa prac
polskich artystek. **BIELSKO-
-BIAŁA,** Galeria Bielska
BWA, ul. 3 Maja 11,
tel. 033-812-58-61.
www.galeriabielska.pl

OD MANETA DO GAUGUINA

Impresjoniści
i postimpresjoniści z Musée
d'Orsay w Paryżu.

Do 25 III. WARSZAWA,

Muzeum Narodowe,
al. Jerozolimskie 3,
tel. 022-621-10-31.

SZTUKA ARCHITEKTURY

Laureaci nagrody Pritzкера
w latach 1979–2000.
Do 23 III. WARSZAWA,
Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski,
al. Ujazdowskie 6,
tel. 022-628-17-80.
www.csw.art.pl

ALICJA ŁUKASIAK

Fotografia, fotoobiekty
Do 30 III. WARSZAWA,
Galeria Mała ZPAW/CSW,
pl. Zamkowy 8,
tel. 022-628-17-80.

GDY MARZENIA STAJĄ SIĘ

RZECZYWISTOŚCIĄ
Wystawa fotografii
uczestników rowerowego
rajdu dookoła świata.
Do 9 IV. WARSZAWA,
Galeria Azjatycka, ul. Freta 5,
tel. 022-635-28-11.

POMIĘDZY. SZTUKA POLSKA

1945–2000
Wystawa prac m.in.:
M. Abakanowicz, M. Bałki,
E. Dwurnika, M. Jaremy,
T. Kantora, K. Kobro,
Z. Libery, J. Modzelewskiego,
W. Sasnała, H. Stażewskiego,
A. Wróblewskiego,
A. Żmijewskiego.
Do 25 III. CHICAGO,

Chicago Cultural Center,
78 East Washington Street,
Illinois 60602,
tel. 312-744-14-30.

BRANCUSI I SZTUKA

MINIMALIZMU
Do 2 IV. PARYŻ,
Centrum Pompidou.
www.centrepompidou.com

ZABAWKI I NARZĘDZIA

Do 25 III. KOPENHAGA,
Duńskie Centrum
Wzornictwa,
tel. 045-49-19-07-19.
www.ddc.dk

CZyste ciało

Do 24 II. LONDYN, Dingley
Gallery, 3 Dingley Place,
tel. 079-56-448-231.

TEATR

GREK ZORBA

Dyr. Jose Maria Florencio
Junior, **25 II, g. 19.**

CARMEN

Reż. Lech Majewski,
27 i 28 II, g. 19.
WARSZAWA, Opera
Narodowa, plac Teatralny 1,
tel. 022-692-02-00.
www.teatr Wielki.pl

METRO W BUFFO (musical)

22 II, g. 19, 24 II, g. 16
i 19, 25 II, g. 19.

PRZEŻYJ TO SAM

Piosenki z lat 80.
27 i 28 II, g. 19.
WARSZAWA, Studio Buffo,
ul. Marii Konopnickiej 6,
Bilety: od 30 do 50 zł,
tel. 022-820-02-01.
www.studiobuffo.com.pl

SĘDZIOWIE

Reż. Jerzy Grzegorzewski,
23–25, 27, 28 II, g. 19.30.
WARSZAWA, Teatr
Narodowy, plac Teatralny 3.
Bilety: od 15 do 35 zł,
tel. 022-69-20-604.
www.narodowy.pol.pl

SCROOGE

Reż. Maciej Korwin,

21–24 II, g. 18.

GDYNIA, Teatr Muzyczny,
pl. Grunwaldzki 1.
Bilety: od 26 do 32 zł,
tel. 058-621-78-16.
www.teatrmuzyczny.tmiasto.pl

WIŚNIOWY SAD

Reż. Remigiusz Brzyk,
24–28 II, g. 19.15.
KRAKÓW, Stary Teatr,
ul. Jagiellońska 5. Bilety:
od 16 do 30 zł,
tel. 012-422-40-40.
www.stary-teatr.krakow.pl

ŻABUSIA

Reż. Jerzy Goliński, **22 i 24 II,**
g. 19, 23 II, g. 11 i 19.

PRZEŚWIT

Reż. Włodzimierz Nurkowski,
24 i 25 II, g. 19.
KRAKÓW,
Teatr im. J. Słowackiego,
pl. św. Ducha 1. Bilety:
od 17 do 27 zł,
tel. 012-422-45-75.
www.slowacki.krakow.pl

CÓRKI KING KONGA

Reż. Rafał Sabara, **23–25 II,**
g. 19.30.
POZNAŃ, Teatr Polski,
ul. 27 Grudnia 8/10.
Bilety: od 15 do 30 zł,
tel. 061-852-56-28.
www.teatr-polski.pl

HISTORIA JAKUBA

Reż. Piotr Cieplak, **20–25 II,**
g. 19.15.
SYTUACJE RODZINNE
Krystyna Meissner,
27 i 28 II, g. 19.
WROCŁAW,
Teatr Współczesny,
ul. Rzeźnicza 12,
tel. 071-344-37-62.
www.wroclaw.plan.pl

KTOŚ MNIE POKOCHAŁ

Reż. Bohdan Łazuka,
23 II, 18.30 (premiera),
24 i 25 II, g. 18.30.
WROCŁAW, Teatr Muzyczny,
ul. Piłsudskiego 72,
tel. 071-343-80-51.
www.teatr-muzyczny.pl

WARS SA



Oddział Południe
w Krakowie

31-154 Kraków,
pl. Kolejowy 7

Telefony:
0-12 429 56 59
0-12 422-30-54
Fax 0-12 422-94-22

Telefony Kolejowe
Sekt. 15-68
Dysp. 55-88
Kasa bil. 624-15-00

STARA FIRMA NOWA JAKOŚĆ

PWSiR „WARS” poleca:

- ✓ sprzedaż biletów „WARS-u” i PKP z dowozem do klienta
- ✓ przejazdy w wagonach sypialnych i z miejscami do leżenia w komunikacji krajowej i zagranicznej
- ✓ ofertę specjalną „WARS-u” w sezonie letnim (pociągi hotelowo-turystyczne łączące aglomerację krakowsko-śląską z polskim wybrzeżem)
- ✓ możliwość uzyskania korzystnej bonifikaty do 30% przy zakupie miejsc sypialnych i leżących
- ✓ możliwość wyczerterowania wagonu na dowolną trasę
- ✓ organizacja „Zielonych Szkół”
- ✓ usługi pralnicze



Smierć w kulturze dawnej Polski

Od średniowiecza do końca XVIII wieku

Wystawa w Zamku Królewskim w Warszawie
15 grudnia 2000 – 15 marca 2001

Patroni medialni:

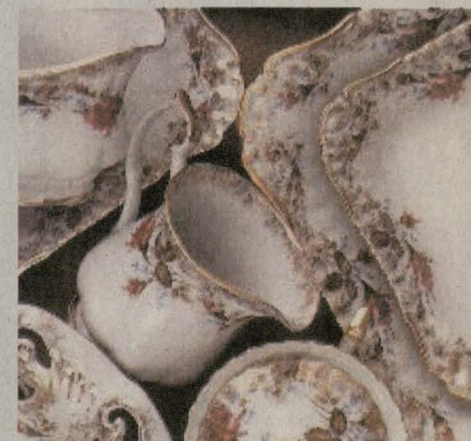


Porcelana „Chodzież” S.A.
ul Kasprzaka 26.
64-800 Chodzież

Oferujemy:

- Zestawy obiadowe,
- Zestawy do kawy,
- Zestawy do herbaty,
- Zestawy śniadaniowe,
- Galanterię porcelanową

w 12 fasonach
i ponad 100 dekoracjach



tel. (067) 28 20 606

fax (067) 28 20 997

e-mail marketing@porcelana.com.pl

www.porcelana.com.pl

ZDJĘCIA:
RENE BURRI / MAGNUM/EK PICTURES

Tors Picassa

Był ostatnim wielkim malarzem w dziejach Europy. Jego twórczość jest podsumowaniem, a zarazem zakończeniem pewnych tradycji ciągnących się w sztuce od renesansu. W antyku dominowała rzeźba, gotyk – to głównie architektura, od czasu zaś renesansu na pierwsze miejsce wysunęło się malarstwo, by na przełomie XIX i XX w. ustąpić miejsca fotografii. Artysta zamyka więc pewien cykl w kulturze. Wykształcony przez ojca – inspektora szkół plastycznych w Barcelonie – już w wieku 15 lat zachwycał znakomitymi, po akademicku malowanymi obrazami. Potem naśladował Toulouse-Lautreca i Muncha. Przełomem w jego twórczości stała się dopiero współpraca z G. Braquem i stworzenie kubizmu. W malowanych w 1907 roku „Panach z Avignon” ujawnił styl, który uczynił go nieśmiertelnym.

Był artystą wszechstronnym. Malował, rzeźbił, wykonywał scenografie, oddawał się ceramice, pisał sztuki oraz pokrywał tysiące płyt graficznych swoimi pomysłami. Pozostawił po sobie gigantyczny dorobek. Tyleż oryginalny, co tworzony w dużej mierze na potrzeby chłonnego rynku.



Pewien cień na popularność Picassa rzuca jego widoczna potrzeba utrzymywania się na „topie”. Picasso reagował na wszystkie nowości, przyłączając się do każdego nowo powstałego stylu. Krytyka określa to twórczymi poszukiwaniami, niektórzy jednak dopatrują się tu swoistego konformizmu. Za szczyt takiej postawy uznają porzucenie przez artystę kubizmu w latach dwudziestych i dryfowanie w kierunku klasycyzmu, co zyskało mu przychylność paryskich elit. Picasso znalazł nowy język wypowiedzi artystycznej. Język ten miał jednak pewną wadę – nie dało się go rozwijać. W ten sposób Picasso pozostał jedynym powszechnie znanym malarzem XX wieku (Warhol i Dali bardziej byli znani ze skandali, które tworzyli, a Matisse z tego, że konkurował z Picasse). Picasso jako pierwsza wybitna, powszechnie znana osobistość dawał się fotografować w stroju plażowym. Przeniósłszy się po 1945 r. na południe Francji, stał się gorącym amatorem słonecznego wypoczynku. Odtąd w codziennych gazetach, pośród postaci mężów stanu i artystów ubranych od stóp do głów, zaczęły się pojawiać postacie łysego Picassa o nagim, owłosionym torsie. Stał się wówczas łatwo rozpoznawalny na ulicach i spełnił jedno ze swoich marzeń – jego twarz znały miliony ludzi.





czy był człowiekiem ideowym? Całe życie pragnął za takiego uchodzić. Do partii komunistycznej zapisał się, gdy było już po wojnie i postawa antyfaszystowska nie groziła żadnymi przykrościami (w końcu to Związek Radziecki pokonał Hitlera). Wcześniej namalował „Guernicę”, a historia powstania tego dzieła jest znamienna. Rewolucyjny rząd w Madrycie wybrał go zaocznie na dyrektora Muzeum Prado i swojego przedstawiciela w Paryżu. Wszyscy oczekiwali od niego dzieła, które wstrząśnie sumieniem świata. Picasso odpowiedział antywojenną „Guerniką”, na którą przerobił olbrzymie płótno przedstawiające jego samego w pracowni, malującego korridę (stąd żarówka oświetlająca wszystko, byk i koń przebity piką). Do pierwotnej kompozycji dodał matkę oplakującą zabite dziecko i płonącego człowieka w oknie. Obraz uznano za arcydzieło wypowiedzi politycznej. Pablo Picasso zmarł w 1973 roku. Odtąd centrum sztuki miało się przesunąć z Europy do Ameryki. Nastął czas Andy Warhola. (M.M.)

Jak Picasso, to Picasso!

Oczy, którymi mogą Panowie spojrzeć na swoje żony, należały do niego. „Przekrój” wykreował swego czasu w Polsce modę na tego artystę. Uporczywie lansował jego malarstwo i postać, do tego nawet stopnia, że rok 1959 ogłosił „Rokiem Picassowskim”.

Tekst o wizycie delegacji polskich środowisk twórczych z Borejszą – jednym z najbardziej wpływowych dygnitarzy socrealistycznej kultury na czele – jest kuriozalny nie tylko ze względu na scenariuszową formę. Mistrz przez pewien okres swego życia flirtował z komunizmem, stąd jego zażyłość w kontaktach z towarzyszami artystami z Polski Ludowej.



Na okładce nr 731 – Barbara Kwiatkowska.
Fot. Zofia Nasierowska

WIZYTA U PICASSA

Wąskie uliczki i stare mury paryskich domów. Południe, słońce pada z wysoko na dach i ściany pałacyku z czasów Ludwika XIII. Grupa Polaków, niektórzy mają niewielkie pakunki w rękach. Rozmawiają.

Mijają małe podwórko, krętymi schodami wchodzą na pierwsze piętro, pukają. W drzwiach ukazuje się niska postać, brązowa, jakby rzeźbiona twarz, siwe włosy, jasnopopielaty garnitur. Życzliwe oczy śmieją się wesoło. – To Pablo Picasso. Wita się serdecznie z Jerzym Borejszą, bierze go w objęcia, całuje w oba policzki. Borejsza przedstawia mu pozostałych gości: Wandę Jakubowską, Irenę Sztachelską, Tadeusza Cwika, Janusza Zarzyckiego, Wojciecha Żukrowskiego i kilku innych.

PICASSO: – Proszę, wejdźcie, przyjaciele Polacy! (Wchodzą. Pokój jest urządzone z niezwykłą skromnością i prostotą, pod ścianami szkice obrazów.)

ĆWIK: – Picasso, przywieźliśmy dla Pana z Polski upominki – wyroby sztuki ludowej.

PICASSO: (sam rozwija paczki, wydobywa lalkę w stroju łowickim, podnosi ją do góry): – Wspaniała! A serwetki będą dla mojej żony. Dziękuję serdecznie. A to co?

SZTACHELSKA (rozwija barwne wycinanki z papieru, które Picasso ogląda z zainteresowaniem): – To z Łowickiego.

PICASSO (z żywą gestykulacją): – Naprawdę śliczne. (Ogląda wycinanki): – Zupełnie moje kolory!

ĆWIK (wyjmuje z następnej paczki zapaskę kurpiowską i mówi, śmiejąc się): – To też dla Pana!

PICASSO (wydobywa spośród innych płócien obraz chorego dziecka w wózku): – Gdy mój mały był chory na uszy, namalowałem ten obraz. O, głowa dziecka jest obandażowana.

BOREJSZA (zwraca się do Polaków po polsku): – To jeden z jego nowych obrazów. Porównajcie dobór



– Dawaj pan to, zaraz przymierzę! – zawołał Picasso, kiedy zobaczył przywiezioną mu z Polski zapaskę. I przymierzył.

barw z naszą sztuką ludową. On poszukuje od pewnego czasu nowej harmonii kolorów.

PICASSO (śmieje się głośno): – To zrozumiałem – nowa harmonia. (Mówi dalej z ożywieniem). Podróż

po Polsce wywarła duży wpływ na moją pracę. Hodowałem w mieszkaniu przez rok sowę, był to okres przygnębienia, dominowały w moich obrazach kolory ciemne. Podróż po waszym kraju, poznanie polskiej sztuki ludowej spowodowało nawrót do intensywności barw. (Wydobywa – spośród innych – obraz kobiety w fotelu).

ZARZYCKI: – Niezupełnie jasna jest treść, jaką mają wyrazić barwy i linie w pana obrazach.

PICASSO: – Przecież ja nie jestem doskonały. Szukam dopiero właściwego wyrazu. Nie jestem jednak formalistą, szukam właśnie sposobu najtrafniejszego wyrażania treści. Kiedy wysiadłem po raz pierwszy z samolotu, przybywszy do Wrocławia, powiedziałem Erenburgowi: „Dobrze, że leciałem samolotem, bo z takiej wysokości widać, że ziemia jest kubistyczna”.

DZIENNIKARZ Z POLSKI (po polsku): – Reprodukcie nie dają pojęcia



Picasso pokazuje szkice do litografii. Kilkanaście tych litografii dał Muzeum Narodowemu w Warszawie.



ZABAWA W MASKE Nałóż na twarz, pokaż się żonie

Wytnij tę kartkę i złóż tak, by na wierzchu była tylko podłużna fotografia oczu. Zrób w papierze dwie ma-lutkie dziureczki w miejscu własnych źrenic. Zaślaniasz górę twarzy, jakby maską, i pokazujesz się tak na moment rodzinie (kolegom, sympatii, gościom). Efekt niesamowity i bardzo śmieszny. „P” 695 z 1958 r.

o sztuce Picassa. Siła, którą teraz widzę w jego obrazach, choć jestem laikiem i nie wszystko rozumiem, polega, zdaje się, w dużej mierze na niezwyklej intensywności barw. Tu wiele jest dla nas rzeczy niezrozumiałych. Dotychczas zresztą, o ile wiem, brak jest głębszej oceny i wy tłumaczenia malarstwa Picassa.

BOREJSZA: – Kiedy byłem w ubiegłym roku w Rzymie i odwiedzałem muzeum watykańskie, wszedłem do sali, gdzie były dziwne rzeźby i dziwne obrazy. Krzyknąłem: patrzcie, to wystawa Picassa! Na to Jaro-sław Iwaszkiewicz, świetnie z Rzymem obeznany, poprawił mnie: to sala starożytnej sztuki egipskiej. A więc to znaczy, że Picasso nie jest zjawiskiem bez precedensu w historii sztuki. Malarstwo tego typu wraca periodycznie. Dziś mogę jedno powiedzieć: Picasso niewątpliwie odrywa malarstwo od fotografii, od naturalizmu, zrywa z konwencjonalną harmonią kolorów. Wyrębuje nowe drogi sztuce, czerpiąc z twórczości ludowej. Gdy nie-

dawno oglądałem stare witraże w kościele pod Częstochową, także pomyślałem: Picasso (Borejsza bierze spod ściany obraz przedstawiający głowę dziewczyny). – Czy widzicie polskie motywy lu-

ŻUKROWSKI: Kolory jak z łowickiego pasiaka! Ten obraz jest naprawdę „świetlany”. (...) Rozmowa kieruje się po chwili ku ostatnim wielkim wydarzeniom w Chinach.

PICASSO: – Wyzwolenie Nankinu i bliskie zajęcie Szanghaju to katastrofa dla imperialistów. Wszelkie zamiary okrażenia Związku Radzieckiego leżą jak długie.

Już czas się żegnać. Pytamy, kiedy artysta odwiedzi po raz drugi naszą ojczyznę.

PICASSO: – Bardzo bym chciał, ale nie wiem, kiedy będę mógł. Mam teraz przecież tygodniową córeczkę, Palomę (imię córki artysty znaczy po hiszpańsku: gołębica). (Żegna się serdecznie ze wszystkimi). Do zobaczenia w Paryżu albo w Warszawie!

HENRYK KOROTYŃSKI

FOTO: WŁADYSŁAW SŁAWNY „P” 216 z 1949 r.

Przekrój ogłosił (na własną rękę) rok 1959 ROKIEM PICASSOWSKIM



Picasso: PORTRET — 1942

dowe? (Wszyscy skupiają się z boku obrazu). Ale to nie jest fotografia sztuki ludowej, lecz jej przekład na swoisty język artystyczny.

PRZEZ OKULARY



Slawomira Mroźka

JAK ROZMAWIAĆ Z PICASSEM

PANIE REDAKTORZE!

Zawsze się zdarzyć może, że jakiś nasz redaktor stanie oko w oko z Pablem Picasso. Nie od rzeczy jest więc zapamiętać sobie kilka typowych zwrotów i zdań, które ułatwią konwersację w duchu popularnym i swojskim, wykażą naszą swobodę, zagwarantują nam styl bezpośredniej gawędy. Na przykład:

- Panie Picasso, pokaż pan, cożeś pan tam zmalował.
- Panie Picasso, przyjdźże pan w poniedziałek, będzie szynka.
- Panie P. namalujże mi pan oko w D.
- Ale żeś pan jest!
- Panie Picasso, stanijże se pan, bo zaczynają wpuszczać.
- Panie Picasso, idźże pan na „Liliomfi”, w „Apollu” dają.
- Panie Pikutaso, ha! ha!
- Panie Picasso, zapałcze pan składki!
- Panie Picasso, jażem był przed panem!
- Panie Picasso, puść pan tego gołębia!
- E, jo tyż tak umiem.
- Panie Picasso, kupże mi pan motorower francuski.
- Panie Picasso, znasz pan: „Ole, O ychychyhy! Ole, O ychychyhy...?”.
- Panie Picasso, nie bierz pan karty miesięcznyj, bo ósemka nie chodzi
- Znałeś pan Apollinaire’a?

Jedno jest pewne. Nasz interlokutor będzie miał wrażenie, że rozmawiamy z nim szczerze, od serca, bez sztucznych przygotowań i minoderii.

„P” 801 z 1960 r.

ŚRODA kinomana

Środa jest we Francji tradycyjnym dniem premier filmowych, odbywających się jednocześnie w kinach całego kraju. Telewizja, aby nie stwarzać konkurencji, proponuje wtedy program skierowany do węższej widowni. Ulgowe ceny biletów (39 franków, zamiast 46) dodatkowo zachęcają do odwiedzenia kina tego dnia. Co tydzień pojawia się kilka nowych pozycji.



W Rennes, przed kompleksem „Gaumont”, największego we Francji właściciela sal kinowych, ustawia się spora kolejka – to już rytuał. Sprzedaż w dwóch kasach przebiega bardzo sprawnie: za pojedyncze bilety płaci się gotówką, należność powyżej 100 franków

można uregulować kartą kredytową. Kto decyduje się na karnet na pięć seansów, dostaje go po ulgowej cenie.

Po zeszłorocznej „Joannie d’Arc” Luca Bessona na podbój francuskich ekranów ruszyła opowieść o legendarnym wodzu. Film nazywa się „Wercyngetyr”. Jak w kosmicznej epopei przenosimy się do Galii ostatniego wieku przed naszą erą, w czasy podboju tych ziem przez Juliusza Cezara. W zamysle reżysera, Jacques’a Dorfmana, do tej pory bardziej znanego jako producent, film ma przybliżyć tę mało znaną obecnie postać, opiewać chwałę Galii i jej mieszkańców oraz sprawić, aby każdy Francuz czuł się dumny ze swych korzeni. „Przez długi czas nie mówiono o tym, co wydarzyło się przed chrystianizacją Francji, historię rozpoczynano od czasów Chlodwiga I” – tłumaczy Anne de Léséleuc, historyk, autorka niedawno wydanej książki „Wercyngetyr”, epopeja królów galijskich”. Na jej podstawie Dorfmann napisał scenariusz filmu.

Film nakręcono przezornie w dwóch wersjach językowych – angielskiej i francuskiej, by mógł ruszyć także na podbój ekranów całego świata, który dzięki temu będzie mógł „lepiej zrozumieć i polubić Francuzów” – jak argumentuje Jacques Dorfmann. Dlatego reżyser wybrał międzynarodową obsadę: w roli tytułowej – Christopher Lambert, gwiazda połowy lat osiemdziesiątych („Greystoke – legenda Tarzana” i „Subway”), Cezara gra Austriak Klaus Maria Brandauer (m.in. „Pożegnanie z Afryką”), a druida – mistrza duchowego Wercyngetyrksa – Szwed Max von Sydow. Ozdobą filmu jest Hiszpanka Ines Sastre, dla tych, co lubią brunetki, bo oczywiście nie brakuje wątku miłosnego.

Wercyngetyrski intelektualnie rysuje się jako postać dość sympatyczna, ale nie przekonuje emocjonalnie. W rezultacie męczą pompatyczne dialogi, sceny walki i pola usiane trupami. O życiu Galii niewiele się dowiadujemy, co nie przeszkadza, że TV 1 International, współproducentowi filmu, udało się go sprzedać wielu krajom świata.

Oprócz tej koprodukcji francusko-kanadyjskiej, w „Gaumont” można zobaczyć dwie inne premiery. W sumie cztery filmy francuskie, w tym „Le Placard” („Szafa”) Francis’a Vebera z plejadą miejscowych gwiazd (Depardieu, Auteuil, Lhermitte) w największej sali, do której dobija się tłum, dwa filmy brytyjskie i trzy amerykańskie.

„Wercyngetyr”, zapowiadany jako superprodukcja i epicki fresk, zawiódł. W dniu premiery, na pięć minut przed rozpoczęciem trzeciego seansu, w sali kinowej – mieszczącej 150 osób – było jeszcze sto wolnych miejsc.

MARTA TOBIASZ-JOUIER

PO OBU STRONACH LA MANCHE OBYŚMY ZDROWI BYLI

Rzeźnik wpadł w depresję. Schudł, zbladł, jakby się skurczył; mniej zamasyście wymachuje zgniłymi bażantami; wołowinę proponuje półgłosem, niepewnie, z zażenowaniem. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy niewątpliwie ponosi Alain Passard, właściciel i kucharz wielkiej paryskiej restauracji Arpege. Passard bowiem nawrócił się na nową wiarę, do której łąnie z typowym żarem nowo nawróconego. Oświadczył mianowicie, że staje się jaroszem. I co gorsza, jego restauracja też będzie jarska. Oświadczenie to wstrząsnęło nie tylko rzeźnikiem: nawet w angielskiej prasie było o tym głośno. Artykuły zilustrowano zdjęciami, na których Passard w przeraźliwym skupieniu kroi marchewkę. Tę właśnie, której połowę lub może (nie bądzmy za chciwi) ćwiartkę, pięknie ułożoną na talerzu i polaną sosem z trufli, można teraz u niego spożyć za skromną sumę pięciuset

franków. (Ceny się nie zmieniały: „Warzywa są niezmiernie pracochłonne” – tłumaczy Passard z kamienną twarzą.) We francuskim dzienniku telewizyjnym pokazywali go, jak z namaszczeniem odprawia misteria z rzepą. Cóż, jeśli się chce zostać w wyścigu, trzeba się wybić ponad konkurencję: inni dawno już zdjęli z menu wołowinę, ale on, Passard, pionierski, nieustraszone, wiecznie oryginalny, chciał pójść dalej. Tak więc za tę samą cenę, za jaką przedtem jadało się u niego turboty, homary, perliczki, jagnięta i foie gras, to znaczy za mniej więcej 1500 franków od osoby, można teraz dostać ćwiertć marchewki, pół cebuli i rzepę. I może trochę pietruszki. Nie wiem, jak będzie wieczorami, ale w południe przepowiadam szalone powodzenie wśród pań-jadających-obiadki – zwanych też „uciechą lekarzy”, ponieważ zbędna jest pomoc rentgena w badaniu ich układu kostnego.



Oszczędzanie pieniędzy na rentgenach przydałoby się w tej chwili, bo każdy grosz się liczy. Stan francuskich szpitali jest coraz żałośniejszy; o tym też ostatnio dużo się tu mówi i pisze. Brak lekarzy, pielęgniarek, obsługi, pieniędzy, sprzętu. Czarno natomiast od administratorów, których liczba ciągle wzrasta. Pacjenci umierają, czekając na leczenie, podczas gdy stado biurokratów pisze sprawozdania, powiela raporty, wydaje zalecenia i koordynuje sprzęt i łóżka (których nie ma, ponieważ pieniądze zostały wydane na pensje tych, których zadaniem jest ich „koordynacja”). W pięknym, nowym szpitalu imienia Pompidou szaleją śmiertelne wirusy, lecz nie wiadomo, skąd się wzięły ani jaką drogą się rozmnażają, bo wysiadły świeżo zainstalowane komputery. Niedługo będzie tak jak w Anglii, gdzie ostatnio w jednym szpitalu zabrakło miejsca w kostnicy, a także obsługi, która by mogła ciała do niej przewieźć, zwłoki leżały więc pokotem w sali szpitalnej.

Jeszcze niedawno doprowadzał mnie do bezsilnej furii następującej treści napis na pewnym londyńskim szpitalu: „Służymy

mieszkańcom miasta 24 godziny na dobę”. Jakbyśmy mieli być wdzięczni za to, że szpital nie wyrzuca pacjentów na noc i służy mieszkańcom miasta, a nie na przykład wrogim mocarstwom; jakbyśmy nie wiedzieli, ilu administratorów zatrudniano, i na jakich pensjach, żeby ten niesamowitej obsługi napis wymyślić; jakbyśmy nie wiedzieli, że pieniądze idą na ich pensje, a nie na lekarzy, pielęgniarki i sprzęt. Teraz jednak napis ten wydaje mi się bardziej ironiczny niż obłudny. O wrogich mocarstwach na razie nic nie wiem, ale administratorzy nadal mnożą się jak króliki, reformy służby zdrowia jedynie sprawę pogarszają i wyrzucanie pacjentów na noc staje się, po obu stronach kanału, coraz bardziej prawdopodobne. Na jednym z paryskich szpitali pojawił się ostatnio napis podobnej treści, lecz autorstwa strajkującego personelu, któremu grozi zamknięcie całego szpitala wskutek braku środków na jego utrzymanie. Bądzmy więc wdzięczni za te – jak dotąd – funkcjonujące, 24-godzinne szpitale.

AGNIESZKA KOŁAKOWSKA



Alain Passard, właściciel i kucharz wielkiej paryskiej restauracji Arpege.

HELSINKI W STYLU SOC

Zracji historycznych powiązań ze Związkiem Radzieckim Finowie ironizują na temat sowieckiej estetyki i ważnych postaci tych czasów, które „umacniały współpracę między narodami radzieckim i fińskim”. Prezydent Urho Kekkonen doczekał się aż dwóch barów ze swoim imieniem w nazwie. „St Urho’s Pub” i „U. Kaleva” nie miały z nim, co prawda, wiele wspólnego, raz czy dwa Kekkonen zaszczylił te miejsca swą obecnością, ale skoro lubił wychylić kufel, niechże piwiarnie cieszą się strąconym z piedestału patronem. Są też mocniejsze postsowieckie akcenty w Helsinkach. Słynni reżyserzy, bracia Aki i Mika Kaurismäki, członkowie rockowej grupy Leningrad Cowboys, są właścicielami kuriozalnej kawiarni „Moskova”. Przewodnik referuje dosyć lakonicznie – „Moskova” to sowiecki styl. Rzeczywistość nieco przekracza skromny książkowy opis. Numer 11

na Eerikinkatu to tylko okna zasłonięte białymi, gęsto marszczonymi, falbaniastymi firankami. Co w środku – nie widać. Mała kartka wyrwana z zeszytu z odręcznym napisem „Moskova” przypomina raczej wiadomość „zaraz wracam”. Obsługa niemiła, nieznanym klientom lekceważy, może nawet obrazić. Króluje kicz. Niewielkie pomieszczenie obwieszone gadżetami z czasów radzieckiego komunizmu, ale bez przesady. Zachodni turyści mogą mieć problemy z oceną czy to zapomniana socrealistyczna pozostałość, czy ironiczno-prześmiewczy pomysł awangardowych reżyserów. Za kawiarnią – małe kino studyjne, także własność braci Kaurismäki. Dla równowagi dwaj reżyserzy, współpracownicy i przyjaciele Jima Jarmuscha, założyli w centrum restaurację „Zetor”, gdzie siada się przy autentycznych traktorach tej marki.

DOROTA NOWAK



Leningrad Cowboys

NOTKI i plotki

KSIAŻĘ WILLIAM (syn księżnej Diany i księcia Karola) na razie podróżuje i pracuje, ale od września chce studiować historię na Uniwersytecie St. Andrews, niedaleko Edynburga. Już teraz rektor Brian Lang zapowiedział, że ochroni jego prywatność. Studentom, którzy złamią to rozporządzenie, grozi wydalenie z uczelni.



W TEKSASIE mają sposób na odchudzenie. Władze jednego z tamtejszych kościołów twierdzą, że do nieba mogą pójść tylko szczupli.

W RZYMIE – uwaga na wrony! Miejscowi złodzieje nauczyli je... wyrwania ludziom pieniędzy dopiero co wypłaconych przez bankomat.

NA ŚLUBNYM kobiercu może stanąć po raz trzeci – orzekli saudyjscy lekarze. Pan młody liczy... 110 lat, a jego wybranka wiosen ma o połowę mniej.

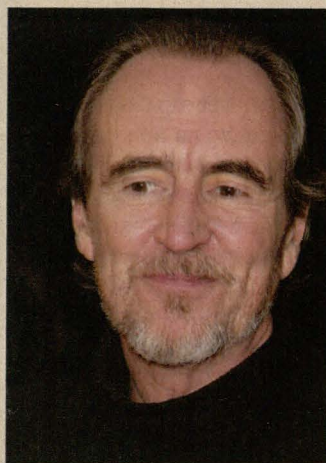
Abdullah al-Maeedh al Qahtani cieszy się doskonałym zdrowiem i kondycją. Podobno dzięki diecie: domowy ciemny chleb, miód, mleko i daktyl.

W ZURYCHU otwarto pierwszy w Szwajcarii hotel tylko dla kobiet. Nazywa się „Lady's First”, ma 28 luksusowych pokoi, których ceny wahają się od 175 do 230 franków szwajcarskich za noc. Budynek w stylu secesyjnym zaprojektowała znana miejscowa architektka, Pia Schmid.

SPACERY i lekkie ćwiczenia fizyczne wspomagają walkę z rakiem. Do takiego wniosku doszli kanadyjscy lekarze z Regionalnego Centrum Raka w Ottawie. Stan zdrowia pacjentów, którzy przez pół roku regularnie zażywali spacerów, znacznie się poprawił.

TRZY UDERZENIA trzciną i rok więzienia orzekł singapurski sąd za seksualne molestowanie. Taka kara spotkała 27-letniego indyjskiego inżyniera, Swarupa Das, który leciał z San Francisco do Singapuru. Młodemu mężczyźnie wyraźnie się nudziło, dlatego zaczął śpiąc obok kobiety. Jak tłumaczył, jego ręka „zupełnie przypadkowo” wędrowała pod koc sąsiadki.

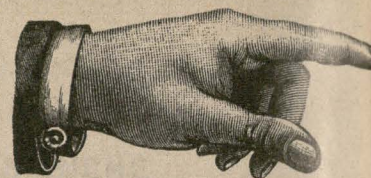
POWSTAJE film o ostatnich dniach pobytu Billa Clintona w Białym Domu.



„Koszmar przy Pennsylvania Avenue” – może taki będzie tytuł tego godzinnego dokumentu. Reżyserowi, Wesowi Cravenowi (twórcy serii horrorów „Krzyk” – na zdjęciu), udało się dotrzeć w te miejsca, gdzie rzadko wpuszczani są obcy ludzie. Do obejrzenia wkrótce – w bibliotece prezydenckiej w Arkansas.

BEATLES! nie istnieją od 30 lat, a w ubiegłym roku zarobili najwięcej. Dzięki wydaniu płyty „1” (z utworami z pierwszych miejsc list przebojów) są bogatsi o 80 mln dolarów. W ten sposób wyprzedzili U2, Eltona Johna i Rolling Stonesów.

W SKLEPACH nie można kupić bezpiecznego mięsa – uważają pracownicy berlińskiego zoo. Pewnie dlatego z ogrodu zoologicznego zniknęły wszystkie gęsi, cztery kaczki i siedem kur.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I PS

Pamiętajcie, że głowa jest ponad sercem.

Stefan kardynał Wyszyński

Gdy nie potrafi się atakować myśli, atakuje się jej autora.

Paul Valéry

Urzędnik, który odniesie sukces, staje się leniwy.

Mo Ti (V w. p.n.e.)

Rozum czasem zachęca do odważnych głupstw.

Krecia P

Żyrafa nie musi wchodzić na szafot – wystarczy jej pochylić głowę.

Roman Gorzelski

Są chwile, które psują nam resztę dnia przez całe życie.

Wojtek Bartoszewski

Życie jest złośliwe. Zawsze posyła strzałę w takie miejsce, w które nie można się podrapać.

Ramon Gomez de la Serna

To nie paradoks, że zły pies jest dobrym psem.

Fafik

A co z aniołami? Od kilku lat nie widziałem żadnego.

Grzegorz Stańczyk

Myśli zebrała Stella Varcaby

ABECADŁO Myszki

Obłok to najbliższym kosmosem. Każde stworzenie żywe, oderwane ciałem od wirującej skały, żyje zanurzone w kokonie powietrza i wody. Szczęśliwie, gdy „czuje pod stopami ziemię”. Żyje oddechem bezbarwnym, którego nie widzi. Łuk niebieskiego nieba, cień nocy zdaje się kresem. Tylko obłok błędzący nie przynależy do dziedziny stworzeń żyjących. Bo i ptaki niebieskie mają gniazda wśród traw lub drzew lub skał lub lodu lub odpoczynku wśród fal.

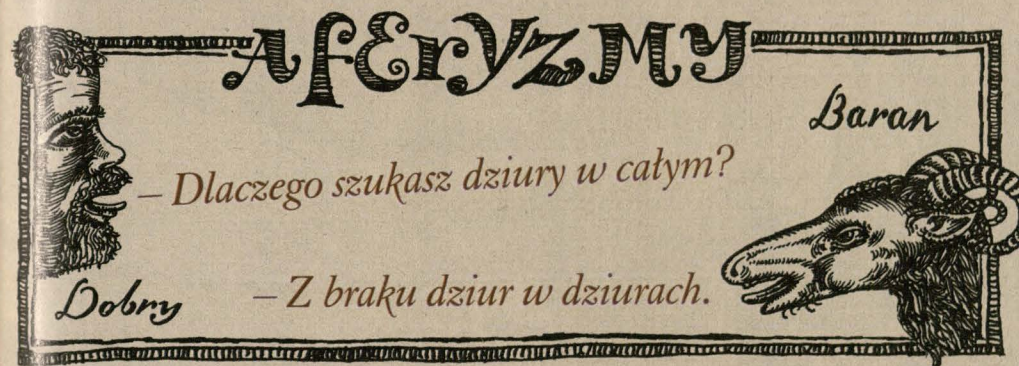
Kiedy mYszkin podjął pisanie Abecadła, usiadł na trawie, w środku miasta, opodal mostu, i zamyślił się nad kartką papieru. Patrząc na domy, kościoły i zamki, psy, samochody i ludzi, wywoływał z pamięci litery i zapisywał je.

Aby – aby spisać abecadło. Brzydko – aby nie pominąć niczego. Co – aby wie-

dzieć co pisze. Drabina – ponieważ kocha opowieść o śnie Jakubowym, który „ujrzał drabinę sięgającą nieba oraz aniołów wstępujących i zstępujących”. Zapisał też mYszkin, że schody są do schodzenia i definicję drabiny: człowiek nie mógł chodzić po drzewach – (z drabiną) może chodzić gdzie chce. Zapisał ens, czyli byt – bo wszystko, co zapisał, jest. Zapisał Fistaszki – Schulza, które znał z szacownej „Literatury na Świecie” (rok 1984). Kiedy zapisywał i i ka, zapomniał o jot. Wtedy odzielił kreską miejsce dla jot i zapisał jutro, ale jego nie opisał. Zapisał słowo morfem – cząsteczka, jak matka i moje, a jak matka, to i ojciec.

Wtedy też zapisał, że obłok to najbliższy kosmos.

MYSZKIN



OKIENKO Z WIERSZEM

Marcin Sendeci

Na peryskopowej

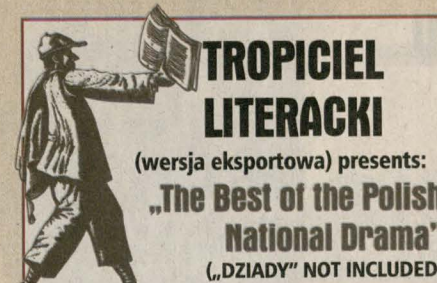
To jest film, który nie jest filmem kina akcji. Cielak po śniegu chodzić nie może. Proletariusze wszystkich krajów łączcie się.

Rocznik 1967. Studiował medycynę, ale z wykształcenia jest bezrobotnym socjologiem. Jeden z najznakomitszych poetów związanych niegdyś z pismem „bruLion”. Z opublikowanych tomów wierszy szczególnie polecamy „Z wysokości” i „Parcele”.

HECA HECA

- Prawda to niezbita, że gdzie diabeł nie może, podola Rokita.
- Krótka siermięga do kolan mu nie sięga, a i z rzadka – do zadka.
- Przędzie, gdzie siedzie, zaraz z nowa przędzie.
- Strajki głodowe są tanie i zdrowe.
- Nie pal papierosów, pal lichu.
- Wszystko masz, a gdzie twarz?

Wybraliśmy z listów naszych Czytelników – panów Jerzego z Tomaszowa Lubelskiego i Andrzeja z Pułtusza. Dziękujemy.



DRAMATIS PERSONAE: Henryk, Artur, Władzio, Edek, Eugeniusz, Kordian, Klimina, Widmo, Pijak, Chłop II, Puczymorda, Chochół.
MIEJSCE AKCJI: w Polsce, czyli podobno nigdzie. Wszyscy Polacy stoją. Chochół kuca.

HENRYK
Cóż więc zrobimy? Bo przecież niepodobna tak stać i nic...

CHŁOP II

Może by zasiał co...?

KLIMINA

(z politowaniem)

Tym ta casem sie nie siwo.

PIJAK

Rozumując trzeźwo... ale może napijemy się?

EUGENIUSZ

Ja? Nigdy... najwyżej kieluszek...

WŁADZIO

A ja bym co zjadł.

ARTUR

Ja nie chcę jeść. Ja chcę zapanować nad sytuacją.

CHŁOP II

Może by coś skosić?

KORDIAN

Mogę – więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

EDEK

Tylko mi nie odchodzić nigdzie za daleko i czekać, aż zawołam.

WIDMO

Koronę nosił car, Krew Piotrów, krew Iwana Leje się z niej jak z czar. Zważyło mnie echo z Tatr. Otom jest, otom jest.

KORDIAN

(rzucając się na rodzinną ziemię z wyciągniętymi rękoma)

Polacy!!!

CHOCHOŁ

(wstając)

Kto mnie wołał, czego chciał?

Pozostali Polacy, idąc za przykładem Kordiana, też rzucają się na ziemię i zaczynają pełzać.

PUCZYMORDA

My, pełznący, jesteśmy z lekka skonsternowani, że Chochół wstał. Co to znaczy?

CHOCHOŁ

Ostał ci sie ino sznur.

HENRYK

(na stronie... 123)

Kiedy to wreszcie wszystko się skończy?

PIJAK

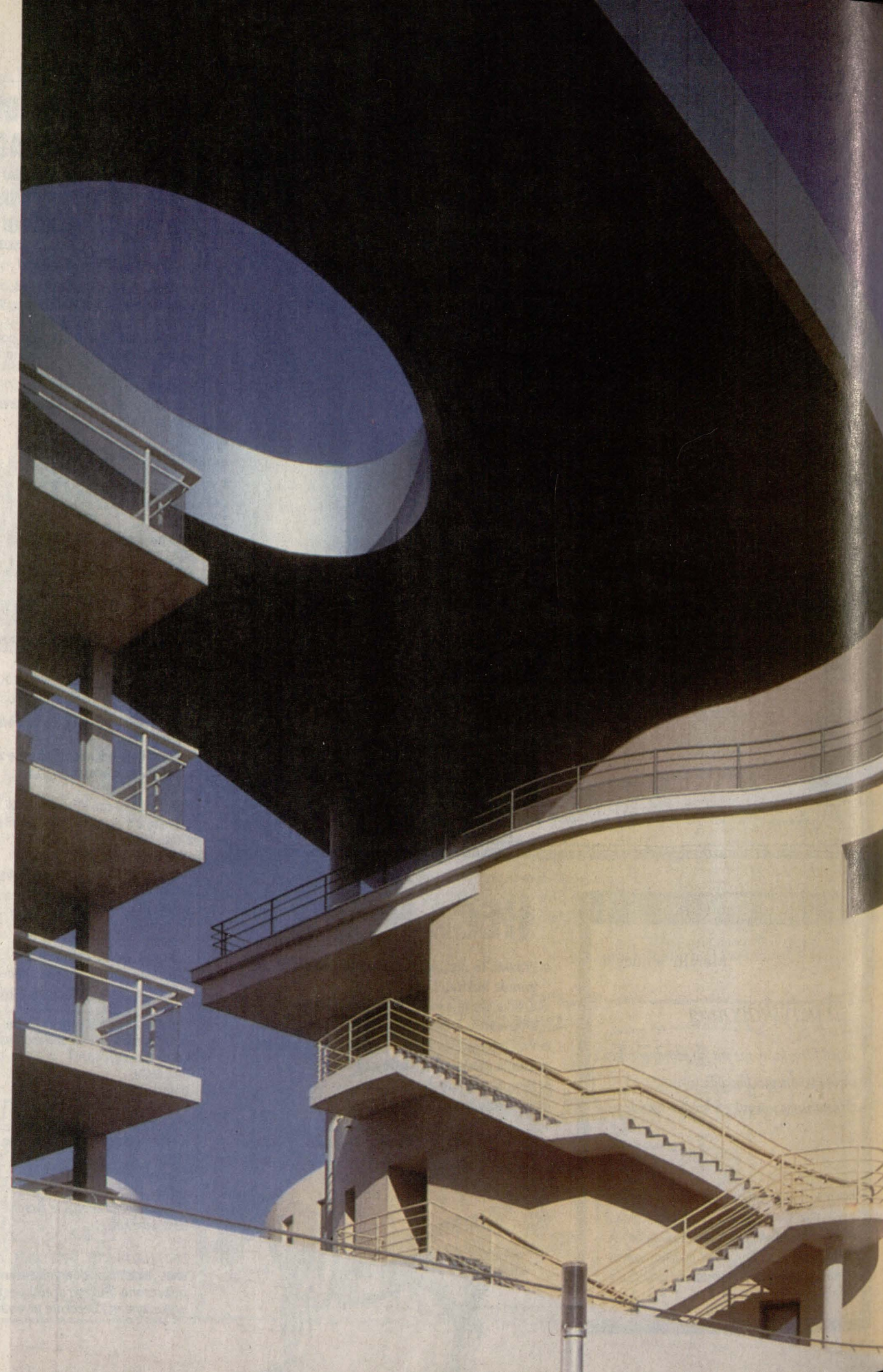
(tamże)

Zaraz.

I faktycznie, na specjalne życzenie Pijaka następuje koniec.

ZADANIE DLA P.T. TROPICIELI. Z jakich dramatów, jakich narodowych autorów zostały wypożyczone (bezwrotnie) postacie i kwestie wykorzystane bezcennie powyżej?





CHRISTIAN
DE PORTZAMPARC,
Cité de la Musique,
Park de la Vilette, Paryż
1984



FRANK O. GEHRY Rezydencja Juliana Schnabla, Brentwood, Kalifornia 1989

Projekty laureatów najbardziej prestiżowej na świecie nagrody Pritzкера zaprezentuje Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie na wystawie „Sztuka architektury”. To pierwsza w Polsce okazja pełnego przeglądu prac 23 najwybitniejszych architektów.

WOJTEK KOCOŁOWSKI

NOBLIŚCI *architektury*



FUMIHIKO MAKI
Gimnazjum miejskie,
Fujisawa, Japonia 1984

Można jej nie lubić. Może budzić nieufność i lekkie przetrząchanie. Architektura – zwłaszcza w swej monumentalnej odmianie, skrajnie uzależniona od pieniądza i władzy, w ostatnim stuleciu dała bezprecedensowe przykłady podporządkowania sobie ludzkich mas, drastycznych zmian sposobu ich życia i narzucenia otoczeniu rygorystycznych form. Natychmiast przypomina się bombastyczny stadion przeznaczony do Parteitagów w Norimberdze, struktura urbanistyczna Nowej Huty, miasto wykrzesane z brazylijskiej dżungli czy kolejne z willi Le Corbusiera, które mimo tak nowoczesnej formy nie nadają się do zamieszkania i wciąż zmieniają właścicieli. Współcześni humaniści chcieli odwrotnie – idea miała służyć nam. Ale czy to nie była zwykła utopia?

Architektura przerasta miarę człowieka, ale czy tak nie działo się zawsze? Czy klasyczne świątynie i pałace były kiedykolwiek skrojone na miarę ludzką? A może podobnie jak dzisiaj miały zdumiewać ogromem, przerażać potęgą i wprawiać w osłupienie wielkością nakładów? Może więc piramida w Gizie, katedra w Chartres czy kasyna w Las Vegas oddziałują w ten sam sposób co dzieła największych współczesnych architektów – budzą respekt,

fascynację i zaniepokojenie. Architektura można przecież potraktować w dużym uproszczeniu jako szczególną formę gwałtu, jaki władza i pieniądz dokonują na społeczeństwie – następuje to zarówno przez narzucenie przestrzeni wielkich budynków publicznych, jak i pomysły na architekturę mieszkalną. Wystarczy mała przechadzka po dzielnicy Sosnowca zwanej Pekinem – owo blokowisko, przypominające kolonię karną na Marsie, to przecież najżywszy wyraz arogancji gierkowskiej ideologii socjalizmu, który nawet w architektonicznej formie stał się metaforą stosunków między ludzkich. I przy okazji stworzył wylęgarnię ulicznej przemocy. Tak oto, w dużej mierze za pośrednictwem projektantów, dokonuje się ograniczenie wolności człowieka do ściśle określonych ram przestrzennych.

No bo jak buntować się w pomieszczeniu biurowym, które zakłada całkowitą anonimowość ludzkiej jednostki? Albo zachować godność na korytarzu socrealistycznego budynku sądu, stojąc między pustymi ścianami pomalowanymi w paskudnej kombinacji: brązowa olejna lamperia, powyżej zaś żółta emulsja aż pod sufit? Josif Brodski w „Dzienniku rotterdamskim” napisał:

*Le Corbusiera to łączy z Luftwaffe,
że i on działał z werwą, bez ogródek*

*na rzecz przemiany oblicza Europy.
Co rozścięzione pomina cyklopy,
tego dokończy rzeczowy ołówek.*

Technologia i symbol

Najwięksi współczesnej architektury, jak Renzo Piano, Frank O. Gehry czy Alvaro Siza porażają swymi wizjami. Są odważne, łamią wszelkie przyzwyczajenia naszego wzroku i intelektu. Czasem trudno ogarnąć wielość i różnorodność form biur, banków czy filharmonii ich autorstwa. Są oni jak pięknie uzdolnione i wykształcone dzieci. Ale owe fantazje architektoniczne, przetworzone na fachowy język wytrzymałości konstrukcji i zastosowania nowych materiałów, z kilku powodów zdumiewają. Po pierwsze – właściwie nie istnieją już żadne technologiczne granice do wyrażenia w architekturze ludzkiej wyobraźni. Po drugie – owa wyobraźnia w równej mierze czerpie z koncepcji ergonomicznych (czyli ułatwia człowiekowi życie w sposób naukowy), jak i z futurystycznych wizji niezbyt gustownych filmów s.f. (czyli je utrudnia). Po trzecie – zdumiewa dlatego, że ich dzieła są jednak bardzo odległe od naszych (polskich) możliwości. Nie myślę tu o braku utalentowanych architektów, lecz o horyzontach myślowych inwestorów i zleceniodawców. Wreszcie – współczesna



RENZO PIANO
Centrum Kultury Kanaków,
Numea, Nowa Kaledonia
1998

architektura jak nigdy dotąd uzmysłowiła nam swą zależność od pieniądza.

Pamiętajmy jednak, że w przypadku Koolhaasa, Gehry'ego czy Piano skala ich mistrzostwa przekłada się w prosty sposób na umiejętność oddania w konkretnej formie symbolu i abstrakcyjnej idei. Jeśli bank ma być żywym dowodem przejrzystości interesów i całkowitego oddania klientowi, to inteligentny architekt znajdzie tego wyraz, np. w koncepcji przeszklonej fasady, za którą krzątający się urzędnicy i kasjerzy są doskonale widoczni dla każdego przechodnia. Jeśli firma przodująca na światowym rynku technologii audiowizualnych zechce udowodnić swą fantazję, zamówi budynek uderzający zagadkowym połączeniem strzelistości i asy-

metrii w samym centrum mieszczańskiej metropolii. Jeśli zaś rząd oceanicznego kraju zamówi u wielkiego architekta centrum kultury, ten potrafi nawiązać w swoim projekcie do budowy tradycyjnej chaty z trzciny i układu wioski plemienną.

Czy architektura zawsze daje wyraz określonej ideologii? Chyba tak, choć z jednym zastrzeżeniem: nic we współczesnym świecie nie jest od niej wolne, poczynając od manipulowanych socjotechnicznie wojen w Afryce, a kończąc na zjedzeniu zwykłego hamburgera. Dzieła i projekty współczesnych architektów bardzo często przywodzą na myśl futurystyczne wizje, według których nasz glob z wolna zostaje zawładnięty przez wielkie korporacje, potajemnie wydzielające sobie sfery wpływów i kierujące

bezwolnymi społeczeństwami. Bo przecież głównymi inwestorami nowoczesnych budowli są zazwyczaj tylko dwa rodzaje instytucji – albo potężne firmy, których interesy starannie chroni protekcjonizm na poziomie ponadpaństwowym, albo rządy krajów, które chcą pozostawić pomnik własnego oświecenia za pieniądze swych obywateli. Czy jest to zatem wizja rodem ze staromodnego „Metropolis” lub z plastikowego „Robocopa”? A może ze zjednoczonego Berlina i współczesnej Holandii?

Nowi mistrzowie

Niemniej jednak nic nie zwalnia z poznawania tego, co i tak nas czeka. Dlatego więc wystawa w Centrum Sztuki Współczesnej „Sztuka architektury” będzie chyba pierwszą okazją tak pełne-



ALDO ROSSI Centrum handlowe Torri, Parma, Włochy 1985/88

go przyjrzenia się największym twórcom współczesnego projektowania. I to wcale nie opisanym w podręcznikach ojcom miejskiego pejzażu, jak Wright, Gropius czy van der Rohe, lecz żyjącym obecnie 50- i 60-letnim mistrzom, którzy w Polsce są znani jedynie garstce zainteresowanych i absolwentom wydziałów architektury.

Wystawa stanowi przegląd prac wszystkich laureatów nagrody Pritzкера, przyznawanej od 1979 roku przez fundację właścicieli sieci hoteli Hyatt Regency. Nagroda jest najbardziej prestiżowym wyróżnieniem w świecie projektantów i z tego powodu bywa nazywana Noblem w dziedzinie architektury. Zresztą stawka jest niebagatelna – obok brązowego medalu projektu Louisa Sullivana laureat otrzymuje 100 tysięcy dolarów. Od 23 lutego w Zamku Ujazdowskim w Warszawie wystawiać będą swe projekty tacy twórcy, jak Philip Johnson, James Stirling, Gottfried Boehm, Kenzo Tange, Frank O. Gehry, Oscar Niemeyer, Robert Venturi, Tadao Ando, Renzo

Piano, Norman Foster, Christian de Portzamparc, Rem Koolhaas, Alvaro Siza i Aldo Rossi.

Talent wyobraźni

Warto więc przyjrzeć się, jakimi drogami wędrują talent i wyobraźnia największych architektów i jak bardzo idee zleceńodawców potrafią znaleźć swój wyraz w zaskakującej koncepcji stropu, asymetrycznej fasadzie czy wykorzystaniu pustych przestrzeni. Choćby nawet nieludzka – architektura jednak nas otacza i zmusza do nowego sposobu poruszania się zarówno po ulicach, jak i we własnym domu. Udawanie, że się tego nie dostrzega, jest błędem zaniechania godnym średnio-wiecznego pustelnika.

Nabokov powiedział w jednym z wywiadów, że wszelkie nieszczęścia XX wieku biorą się z kiczowatej wyobraźni współczesnych naukowców i wynalazców. I jako przykład dał Einsteina. A architekt – nie zapominajmy – często bywa bliski nauce. Przecież w swym fachu jest

zarówno twórcą i wytwórcą, artystą i budowniczym, balansuje na pograniczu sztuki i nauk ścisłych. Jeśli umie zrównoważyć w sobie te czynniki i doprowadzić do odrobiny szacunku do przyszłych użytkowników swych budowli, sprawa nie ma się tak dramatycznie, jak sądził autor „Lolity”. Nawet więc w przypadku braku sympatii do współczesnej architektury wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej warto zobaczyć. Bo ponad obawy i krytykę powinna wziąć górę ciekawość, czy jest się naprawdę czego obawiać. A dzięki zdjęciom i makietom obiektów być może uda się rozpoznać zaszyfrowany znak tego, co niesie nam przyszłość.

Siła wyrazu tkwi często w porównaniu: pamiętajmy więc o upiorach polskiej architektury sakralnej z lat 70. i 80. Czyż wobec takiego stanu rzeczy idea potężnego mocodawcy wcielona czytelnie i inteligentnie w jego pałace nie jest jednak nieco lepsza od braku talentu architektów, połączonego z równym brakiem gustu zleceńodawców? ■

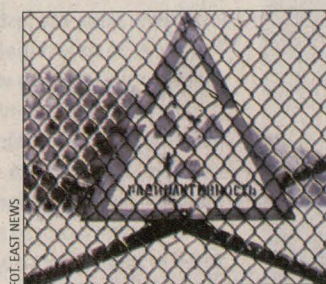
Zdjęcia © Jensen & Walken Inc., Los Angeles, California

Uwaga radioaktywność! – promieniotwórcza koniczynka



Znak ten, zwany Trifoil (trójliść), lub Radiation Warning Symbol (ostrzeżenie o radioaktywności; w Polsce używana jest w żargonie fizyków nazwa „koniczynka”) jest czasem mylony z podobnym symbolem używanym przez amerykańską obronę cywilną, a oznaczającym schrony przeciwoatomowe. Ten drugi składa się z koła podzielonego na sześć równych sektorów (trzy czarne i trzy żółte) i nie ma kółka wewnętrznego.

W obecnej postaci (z wyjątkiem kolorów) został wymyślony przez grupę pracowników laboratorium badań promieniotwórczych Uniwersytetu w Ber-



keley około roku 1946, a zrealizowany przez Nielsa Gardena. Miał kolor madżenty na niebieskim tle. W takim kształcie był stosowany w USA. Jednak niebieskiego tła nie kojarzono ze znakami ostrzegawczymi. Ostatecznie Amerykański Urząd Standaryzacji i przepisy federal-

ne zatwierdziły obecną wersję w połowie lat 50.

Jaki jest jego rodowód? Według jednej z teorii był używany w suchych dokach amerykańskiej marynarki wojennej w pobliżu Berkeley jako ostrzeżenie przed obracającymi się śrubami okrętów. Inna sugeruje, że koło środkowe – źródło promieniowania, a trzy łopatki samo promieniowanie typu: alfa, beta, gamma. Można też podejrzewać, iż został stworzony w rok po zakończeniu II wojny światowej i nawiązuje do bandery japońskiej marynarki wojennej.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

CYFROWY APARAT Z Drukarką

Aparat Polaroid ułatwia życie leniwym fotoamatorom. W chwilę po zrobieniu zdjęcia można cieszyć się gotową odbitką. Od pewnego czasu coraz większą popularność zdobywają nowoczesne aparaty cyfrowe. Producent sprzętu fotograficznego Olympus postanowił połączyć oba wynalazki. Powstał Olympus Camedia 211, aparat cyfrowy wyposażony w system drukowania Polaroida. Jeżeli chcesz pokazać swoim przyjaciołom zdjęcia, które właśnie zrobiłeś, a w pobliżu nie ma żadnego komputera, dzięki C-211 w 15 sekund wydrukujesz je na drukarce umieszczonej w obudowie aparatu.

Oczywiście nowy Olympus posiada wszystkie typowe funkcje aparatu cyfrowego: złącze do komunikacji z komputerem, kartę pamięci o pojemności 8 MB, trzykrotny zoom, lampę błyskową i kolorowy wyświetlacz, na którym można oglądać zrobione zdjęcia. Niestety, cena prawie 1000 USD wydaje się zbyt wygórowana. (SR) www.olympusamerica.com



NOWY WILLY

W czasie II wojny światowej podstawowym samochodem armii amerykańskiej był jeep willys. Projektanci koncernu Daimler-Chrysler, właściciela marki Jeep, uznali że najwyższy czas zastąpić wysłużonego „williego”. Na styczniowym salonie w Detroit zaprezentowali prototyp jego następcy. Trzeba przyznać, że udało się zachować niepowtarzalny styl starszego brata, a to głównie dzięki zwartej sylwetce i charakterystycznej, nie zmienionej od lat kracie wlotu powietrza.

Technologicznie oba auta dzieli przepaść. Karoseria prototypu wykonana jest wyłącznie z materiałów kompozytowych, co pozwala na formowanie kształtów dotychczas nieosiągalnych i – co najważniejsze – w 100 procentach nadaje się do przerobu. Wnętrze auta wykonano z aluminium. Jeep napędzany jest silnikiem o mocy 160 KM, zatem osiąga „setkę” w niecałe 11 sekund, a jego prędkość maksymalna wynosi 140 km/h. (SR)



HOFF

NA MRÓZ

Na mróz wystawiamy pępek, żeby zobaczyć, jaka jest temperatura. Cóż lepiej niż odsłonięta talia nie powie nam, czy jest zimno, czy bardzo zimno. Powiecie, że to jest nielogiczne: na tę porę roku? Moi wierni Czytelnicy wiedzą, że zawsze powtarzam, że moda nie musi, nie ma wiele wspólnego z logiką. Moi nowi Czytelnicy, a mam nadzieję, że co tydzień mamy rzesze nowych, może się nad tym dotąd nie zastanawiali, ale na pewno ochoczo przyznają mi rację. Jeżeli w modzie, w stroju jest jakaś logika, to ona nie jest wieczna. Jest to logika czasu teraźniejszego. Teraz nam się wydaje, że coś jest rozsądne. A sto lat temu?

A w XV wieku, a w XII? Pory roku były te same, ludzie wyglądali tak samo. A gdzie logika w ich ubraniach, gdzie sens? Zawsze możemy się tego sensu doszukać, ale tylko trochę. Sporo jest w modzie czegoś zgoła niepojętego. Jak to się mogło komuś podobać? Józefina, słynna piękność Paryża, potem żona Napoleona, na portretach z epoki wydaje się zupełnie beznadziejna. A Rudolf Valentino? Jak mógł się komuś podobać? To znaczy dawne mody mogą nam się podobać, ale rozsądek, gdzie tu czy tam rozsądek? Dlatego zawsze powtarzam: kiedy widzimy coś niemożliwego do zaakceptowania, możemy tylko powiedzieć: teraz nie, teraz jeszcze nie, ale co będzie potem?

Odsłonięty pępek jest jeszcze bardziej pokusny niż latem. A w końcu nie spędzamy całej zimy, odgrzebuując chałupę ze śniegu. Odsłonięty pępek i tak zostaje z nami na najbliższe czasy.

1. Tendencje PaPP.
2. Grupa Hale, fot. Robert Kulesza.
- 3 i 4. M. Burani.
5. Antepima, fot. Rafał Strzechowski/Free.

Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (5)

18.01.01

Ładę do fotografa zrobić sobie zdjęcie. Jeśli jest prawda, że – jak twierdzą Murzyni – fotografując kogoś, kradnie się jego duszę, to moja dusza została skradziona równo 33 lata temu, i to przez mojego własnego tatę. W ogóle trudno by było znaleźć w Polsce człowieka z duszą, skoro każdy musi mieć dowód osobisty albo co najmniej legitymację szkolną, bo jak nie, to byle konduktor w pociągu może go złapać za kołnierz i zaprowadzić na komisariat, a tam już czeka sierżant z aparatem i pstryk. Ale może nie jest aż tak źle, może dusza odnawia się, a fotografowanie jest dla niej jak przycinanie gałązek w sadzie i im się ją komu częściej kradnie, tym on świeższe wypuszcza listki?

Sesja przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych, wychodzę na ten mróz i co się okazuje: ostatnia dziesiątka uciekła mi sprzed nosa, teraz będę musiał pieszo drałować przez pół miasta. Ruszam zatem i idąc, podśpiewuję sobie *uciekła mi przepióreczka*, a podśpiewując, rozmyślam nad sensem tej głupiej piosenki, bo o co tu właściwie chodzi? Że przepiórka jest ptak dziko latający i w związku z tym nie godzi się jej *chytać*? – tak by to pewnie zinterpretowała Partia Zielonych, ale że w momencie powstania piosenki nie było jej jeszcze na świecie, brnę dalej. Może z tym prosem kłopot, żeby prośba nie zdeptała? Albo wręcz przeciwnie, ów bosy *nieboraczek* mógłby się, nie daj Boże, pokaleczyć o jakieś wystające łodygi czy też liście (czy ktoś z żyjących widział, jak wygląda *prośa*?). No i przede wszystkim, co tu ma do rzeczy *pani matka*, czy już naprawdę nie ma nic lepszego do roboty, niż się zajmować takimi głupotami? Przecież ptak był już złapany i tylko trzeba go złapać drugi raz, prosta sprawa, no chyba że, podobnie jak Jacka Gutorowa, interesuje nas *idea powtórzenia i towarzyszącej mu różnicy* – tak ujęty problem łapania złapanego urasta do rangi zagad-



© Artedemann

nienia, z którym nie tylko *pani matka*, ale i sam Andrzej Sosnowski (zob. „Kresy” 2–3/00) mógłby się nieźle pomęczyć, gdyby je tylko potraktował równie poważnie jak jego *nieboraczek* rozmówca. Przepiórka tymczasem dalej bodajże siedzi w prośie, nie pamiętamy już, czy piosenka miała kiedyś dalszy ciąg – ważne są wszak problemy, nie ich rozwiązania.

19.01.01

Agnieszka Pałac opowiada, jak była w kinie na filmie „Tytus Andronikus” i spotkała natrętą staruszkę, zakręconą na punkcie brytyjskiej rodziny królewskiej. – Czy zauważyła pani – pyta ją staruszka po seansie – że to była historia o księżnej Dianie? – Dlaczego o księżnej Dianie? – dziwi się Agnieszka Pałac. – No przecież księżna Diana też miała dziecko z Murzynem – wyjaśnia staruszka, zdumiona, że ktoś mógł nie złapać tak oczywistej aluzji.

20.01.01

Po południu spotkanie z Kingosią w kawiarni D. Siedzimy i gadamy o włosach,

o jej włosach i o moich włosach. Adaś Pluszka napisał poemat o niedawnej imprezie poetyckiej zorganizowanej przez redakcję czasopisma H.; ciekawe, ile jeszcze takich poematów powstanie albo już powstało? Wróciwszy do domu, znajduję na kocu włos Jasia. Co tu z nim zrobić? – myślę i w końcu chowam do kieszeni.

22.01.01

Od rana karmienie łabędków. Zostało mi z kolacji parę kawałków chleba, więc wziąłem, żeby w drodze do pracy dać tym biednym ptaszyskom, co od grzebania nieustannego w czeluściach Wisły nabierają od przodu koloru przedwojennego dreszczowca. Upatrzyłem sobie pięć takich pasących się spokojnie na wysokości wawelskiego wzgórza i dalejże im rzucać. One powoli, z gracją podpływają i już, już mają skosztować, aż tu nagle eskadra powietrzna mew porywa im wszystko sprzed dzióbów. Od ładu tymczasem szwadron gołębi nadciąga, by zderzyć się z pływającym spod Smoczjej Jamy batalionem kaczkuszek. Wybuch bitwa morska, jakiej sam Nelson by się nie powstydził (nikt poza Nelsonem nie przychodzi mi teraz

do głowy), nie na tym jednak koniec, oto bowiem łabądky spod mostu Grunwaldzkiego zorientowały się, że coś się dzieje i oto zmierzają już w naszą stronę drogą lotniczą, by niczym ciężka brygada bombowców wpaść w sam środek kotłowni. Uciekam w popłochu, ponieważ przypominając sobie święte słowa Izy M. Wiademy: *pod żadnym pozorem nie dokarmiaj łabędzi!*



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich („Samczyk”, „Rozrusznik”) i prozatorskich („Wszędobylstwo porządku”, „Sek Pies Brew”). Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE.

FOT. BOGDAN KRZEL

BAŚNIOWY. SZLAK

braci Grimm

WIESŁAWA CZAPIŃSKA

**Hesja – kraina romantyczna i pełna tajemnic.
Turyści jednak rzadko odwiedzają ten region.**

Nazwisko Grimm stało się częścią historii kultury Niemiec, Europy i świata. Któż nie czytał „Czerwonego Kapturka”, „Jasia i Małgosi”, „Kopciuszka” czy „Królewny Śnieżki”? Rzadko wymienia się imiona autorów. Jacob i Wilhelm są właśnie twórcami zbiorów baśni, które przez 13 lat zbierali, wysłuchując opowieści starych bajarek. Skrzętnie zapisywali i nie rezygnując z formy ludowej opowieści, umieszczali w swoich kolejnych zbiorach.

Ilu ich było

Jacob, urodzony w 1785 roku i Wilhelm, który przyszedł na świat rok później, byli naukowcami. To oni położyli podwaliny

pod niemieckie językoznawstwo. Ich udział w historii literatury, ich zasługi w humanistycznej historii Niemiec są ogromne i nie do przecenienia.

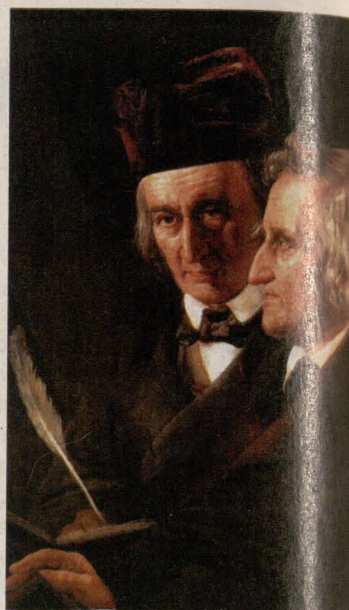
Dwaj następni synowie małżeństwa Grimm – Karl (1787) i Ferdynand (1788) są prawie nie znani. Dopiero najmłodszy, Ludwig Emil, urodzony w 1790 roku, stał się tym trzecim sławnym bratem. Został malarzem, szczególnie znanym z cyklu portretów dwu braci-językoznawców i bajkopisarzy. Na najbardziej znanym obaj sportretowani zostali z profilu. Dwie myślące głowy dojrzałych mężczyzn. Byli już podówczas profesorami uniwersytetów w Getyndze i w Berlinie.

Najmłodsza latorośl, Charlotta, długo oczekiwana córka, przyszła na świat w 1793 roku. Żyła krótko. Zaledwie 40 lat. Przeżyli ją wszyscy bracia.

Zaczarowany świat bajek

Królestwo baśni, mała ojczyzna braci Grimmów, Hesja, ich Heimat – to sam środek Niemiec. Kraina romantyczna i pełna tajemnic, urzeka pięknem krajobrazu, jego różnorodnością i niezwykłą harmonią usadowionych wśród górskiego pejzażu miasteczek. Dziwnie rzadko odwiedzają ten region turyści. Wolą Drezno, Weimar i Lipsk. Podziwiają Bawarię i zamki szalonego Ludwika.

Wstąpmy na szlak baśni Grimmów. Odwiedzmy magiczne, małe miasteczka, gdzie wciąż żyją uśpione królewny, królewicze zaklęci w żaby, złe czarownice, dobre wróżki, waleczni rycerze i całe zastę-



Ludwig Emil sportretował swych słynnych braci

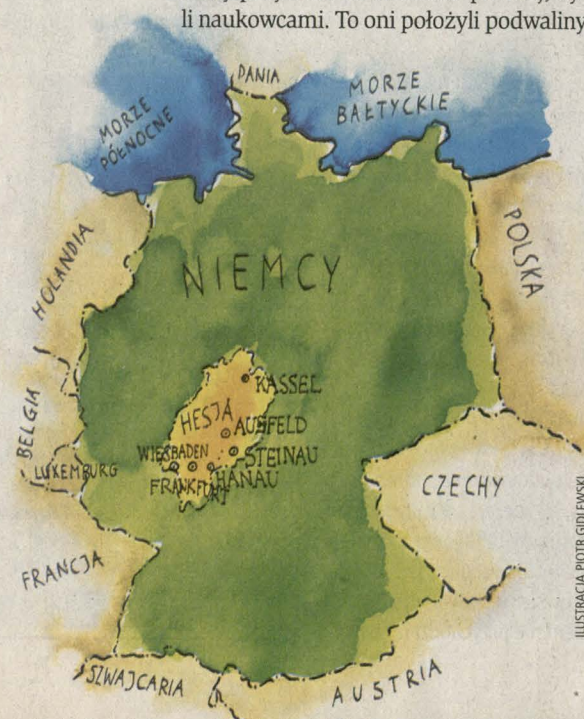


Marburg – tu na uniwersytecie studiowali Jacob i Wilhelm Grimm.



▲ Ulica Markt-gasse w Kassel. Tu w latach 1805–1814 mieszkali bracia Grimm. Akwarela z 1842 r.

◀ Hesja, sam środek Niemiec, mała ojczyzna braci Grimm.



ILUSTRACJA PIOTR GIDLEWSKI



Hanau ▲
— miasto złotników.

Steinau — w tym domu
bracia Grimm spędzili
swoje najmłodsze lata. ►



py krasnoludków. Wytoczyli ten szlak wielbicieli Jakuba i Wilhelma. Znawcy przedmiotu i maniacy ich twórczości.

Z Frankfurtu do Hanau jedziemy po ciągiem, szybko i wygodnie. Niecała godzina i już jesteśmy w centrum. Oto rynek Nowego Miasta, na którym stoi pomnik obu sławnych braci. Hanau to miasto złotników, drugi, obok bajecznych braci, powód do dumy. Zresztą złoto w baśniach odgrywa niemałą rolę. Szczęśliwi mają go dużo, a biedni starają się je zdobyć. Liczą na złotą rybkę, szukają złotego ptaka lub kluczyka.

Salatka kartoflana na weselu Kopciuszka

Podobno baśń o śpiącej królewnie została zapisana w Steinau — mieście dzieciństwa braci Grimm. To malarz Ludwig Emil napisał „Pomiędzy dwoma górami znajduje się cudowna kraina dziecinnych marzeń. Na-

zywa się Steinau”. Miasteczko jakby wymyślone dla baśni o zaklętej w sen królewnie, którą obudził pocałunek pięknego królewicza. Domy w Steinau, zbudowane z pruskiego muru, naprawdę wyglądają jak z baśni. A nad miastem króluje XVI-wieczny zamek warowny. Imponujący. W sam raz na bal dla Kopciuszka. W teatrze marionetek, działającym u podnóża zamku i sławnym na cały świat, wystawiane są spektakle według baśni najslawniejszych mieszkańców. Byłam na „Kopciuszku”. Kiedy na zakończenie król mówi, że będzie ślubne przyjęcie i pyta widownię, co będą spożywać weselnicy, dzieciaki krzyczą: „salatkę kartoflaną i kiełbaski z grilla”.

Duch czasu wciąż mieszka wokół starożytnego zamczyska, w krętych uliczkach Steinau an der Strasse. Przy jednej z nich chwilę zadumy wywołuje biały dom z wieżyczką, w którym dzieciństwo spędziło pięciu braci Grimm.

Spacer Jasia i Małgosi

Za kilkanaście minut można się znaleźć w Schlüchtern, okolonym pięknymi, gęstymi lasami. Są „własnością” Jasia i Małgosi. Idąc ścieżką leśną, można sobie wyobrazić chatkę z piernika i brzydką, złą Babę-Jagę. Wilków dziś już nie ma, a i myśliwi nieczęsto pojawiają się w lesie. Niemcy to kraj dbający o ekologię. Nawet drogi dla przemarszu żabek budują specjalnie na autostradach.

To właśnie w Schlüchtern na leśnej polance spotkałam gromadkę dzieci, którym nauczycielka opowiadała bajki. A one słuchały jak zaklęte. Tradycja bajarek nie zaginęła. A narratorka była śliczną, młodą dziewczyną.

Marburg, w którym Jakub i Wilhelm studiowali, zostaje nieco z boku. Także i dziś, jak za czasów sławnych braci, to miasto uniwersyteckie tętni młodością. Ongiś — było stolicą Hesji.

Studnie, studnie, studnie... Ileż to ich spotykamy, czytając baśnie. Zdarzają się wśród nich zaczarowane. Jak w „Pani Ziemi”, w której to za pracę otrzymuje się nagrodę, a za lenistwo karę. W każdym heskim miasteczku jest taka studnia, o której mówi się, że zaczarowana. Także w Alsfeld, które w europejskim konkursie otrzymało pierwszą nagrodę na „ideal” małego miasteczka. Sprawia wrażenie, jakby je we śnie wymyślono.

Warto zboczyć z drogi, by dotrzeć do zamku, o którym mówi się, że należał do księcia Frankenstein i że tu właśnie powstało sławne monstrum, któremu kształt literacki nadała Mary Shelley.

Las Czerwonego Kapturka

Od Wiesbaden do Kassel, od Fuldy do Gelnhausen w małych wioskach wciąż żywa jest tradycja „Czerwonego Kapturka”. Z okazji świąt dziewczynki nadal noszą czerwone czapeczki, układane spódniczki, białe pończochy, buty z klamerkami i sztywne fartuszki. Wielu niemieckich turystów spędza wakacje na wsi po to, by przeżyć te niezwykle klimaty.

Zbliżamy się do końca bajkowego szlaku. Przed nami Kassel, które słynie z odbywającej się raz na pięć lat wielkiej wystawy sztuki współczesnej. Tu też panują bracia Grimm. Wspaniałe muzeum w pałacyku Bellrne, w którym ongiś mieszkali, pokazuje wszystko, co dotyczy sławnej rodziny. A przede wszystkim ślady istnienia owego „nieznanego brata” — też pisarza, bo taki zawód figurował w księdze adresowej ostatniego miejsca doczesnej wędrowki Ferdynanda Grimma.

A wieczorem koniecznie należy pobuszować po różnych knajpkach, gdzie podają dania z „książki kucharskiej braci Grimm”. Bardzo tłuste albo bardzo słodkie, ale smaczne.

Opuszczamy Hesję. Jeśli ktoś dysponuje czasem i odwiedzi Berlin, to może się udać na miejsce ostatniego spoczynku sławnych braci. Jacob i Wilhelm zostali pochowani w Berlinie.

Baśnie braci Grimm są w naszej współczesności wciąż obecne, choć dobre i złe czarownice opuściły kraj lat dziecinnych, ustępując miejsca zagrożeniom rzeczywistym.

Dziękujemy Goethe Instytut Kraków za udostępnienie materiałów ilustracyjnych

Markiz de Sade MACIEJ MIEZIAN RYS. DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIŁOW SUPERSTAR

Dlaczego sadyzm wydał się reżyserom filmowym końca XX w. najlepszym narzędziem do opisanego świata? Gdy fizjologia bierze górę nad etyką, na scenę wchodzi „boski markiz” de Sade.



Niewiele brakowało, a wzniosłe dzieło rewolucji francuskiej rozpoczęłoby się od wypuszczenia z więzienia markiza de Sade, który za morderstwa, gwałty i truciicielstwo siedział w Bastylii. Zostałby wtedy bohaterem ludu, jednak na 10 dni przed zburzeniem Bastylii przeniesiono go do zakładu dla obłąkanych do Charenton. To, że nikogo nie otruł ani nie zamordował, nie miało większego znaczenia wobec faktu, że jego rodzinie udało się załatwić pożądany wyrok. Z gwałtami, trzeba przyznać, już było różnie. Ale dokonania de Sade’a w tej dziedzinie mieściły się w ramach ówczesnych praktyk. Była to epoka oświecenia i libertynizmu. Pisma Woltera i encyklopedystów otworzyły ludziom nowy świat. Bóg został zastąpiony przez Naturę, a sędziwe prawa dekalogu ustąpiły miejsca zasadzie, że mocniejszy pożera słabszego. W sferze poszukiwań psychologicznych otwierało to szerokie pole do „eksperymentów”, które od nazwiska de Sade’a zyskały miano sadyzmu. Sam bohater nie mógł w nich zbyt aktywnie uczestniczyć choćby z tego powodu, że około 30 lat spędził w różnych zakładach karnych i szpitalach psychiatrycznych. Miał za to dużo czasu, by je opisać.

To, czym „boski markiz” — jak go później nazwano — rzeczywiście się wyróżniał, było swego rodzaju naukowym, beznamiętnym podejściem do sprawy. Jego opowiadania są przerażające właśnie przez obiektywne, po-

zbawione emocji wiwisekcje ludzkich zachowań. Kobieta jest tu poddawana okrutnym eksperymentom przez wykorzystujących jej naiwność mężczyzn. Bohaterki, na ogół szlachetne i życzliwe, popadają w coraz większe kłopoty wskutek dobra, które usiłują szerzyć wbrew wszelkim przeciwnościom. Początkowo wszystko kończy się względnie budującą puentą. Sponiewierane, storturowane i zgwałcone kobiety umierają, ale pod wpływem ich losu najtwardsi libertyni nawracają się na drogę skromności i prawdy. W tym czasie de Sade jeszcze liczył na to, że go wypuszczą z więzienia. Po tym, gdy stracił taką nadzieję (więziono go, z krótkimi przerwami, aż do śmierci, mimo braku jakichkolwiek dowodów), stracili ją też bohaterowie jego książek. Cnota nie zostaje tu wynagrodzona ani na tym, ani na tamtym świecie.

Trzydzieści lat w celi

De Sade był pesymistą. Ale jakże miał nie być, skoro został skazany zaocznie na śmierć za zabicie osób, które jednak były na tyle żywe, by złożyć na niego doniesienie i jeszcze świadczyć przeciwko niemu w sądzie! Gdy czyta się akta słynnej sprawy zwanej „afery cukierków kantarydowych”, okazuje się, że spędził 30 lat w więzieniach za to, że podał kilku prostytutkom przeterminowane środki podniecające, czym wywołał u nich biegunkę. To wszystko, co udało mu się zdziałać na polu truciicielstwa.

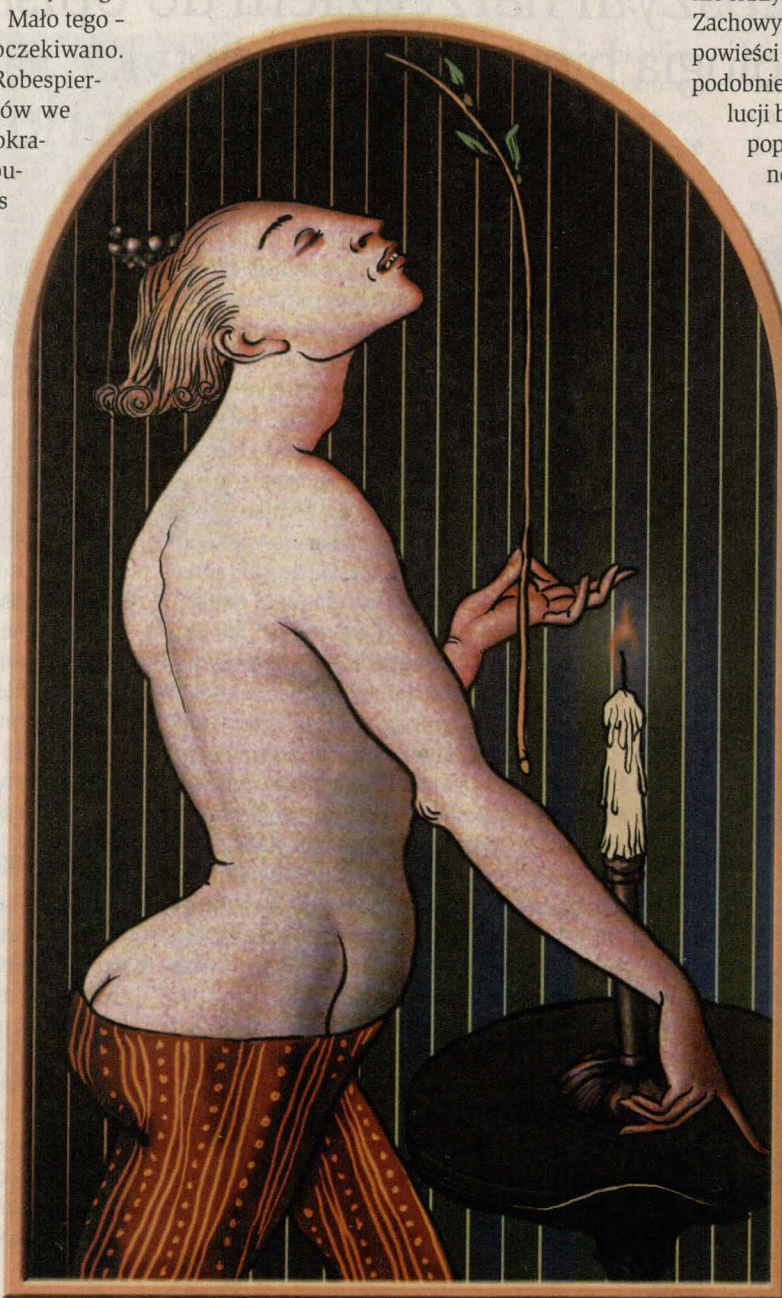


Paradoksalnie można stwierdzić, że na tle zimnokrwistych morderców de Sade jawi się jako postać dość niewinna.

Nie zdał też egzaminu jako sadysta, gdy splot różnych wydarzeń wyniósł go na stanowisko przewodniczącego Sekcji Pik w zrewolucjonizowanym Paryżu (jako więzień byłego króla został ułaskawiony i przyjęty do grona dygnitarzy nowej władzy). Z wysokości swojego stołka mógł zamordować, kogo chciał i wtrącić do więzienia wszystkich swoich wyimaginowanych i prawdziwych wrogów. Mało tego – właśnie takiej postawy od niego oczekiwano. Były to czasy terroru, gdy Marat, Robespierre i Danton zapelniali setki dołów we Francji bezgłowymi trupami arystokratów, księży i wszelkich wrogów republiki. W Lyonie Collot d'Herbois i Fouché kazali wiązać ludzi w pęki i rozstrzeliwać z kartaczy. Żywych i martwych zasypywano potem w zbiorowych mogiłach lub wrzucano do Rodanu. W Nantes topiono w Loarze setki osób, by zaoszczędzić na kulach i nie robić niepotrzebnego huków. Patrząc na wody Loary, przedstawiciel Konwencji, Carrier, wykrzyknął z zachwytem: „cóż za rewolucyjna rzeka!”. A przecież wysłali go tu ludzie, którzy niegdyś uchwalili Deklarację Praw Człowieka i Obywatela – jeden z najbardziej światłych aktów tego okresu.

Ogromnym przemianom w dotychczasowym traktowaniu życia ludzkiego towarzyszyły też zmiany ustrojowe. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego dostrzegł, że przemowy adwokatów niepotrzebnie przedłużają proces i polecił usunąć tę niedogodność. Potem zlikwidowano jeszcze dostęp oskarżonego do akt własnej sprawy. Do sądu przyjeżdżało się rano, zapoznawało z aktem oskarżenia i dowodami (jeżeli w ogóle takie były), i od razu, tego samego dnia, trafiało się na szafot. Ponieważ sądzono zwykle w gru-

pach po 60 osób, sąd nie miał czasu słuchać usprawiedliwień oskarżonych. Listy podejrzanych, wraz z uzasadnieniem, sporządzały różnego rodzaju komitety i sekcje, które miały też przywilej wydawania świadectwa obywatelskiego. Gdy więc markiz Alfons Donatien de Sade został przewodniczącym Sekcji Pik,



wszyscy, którzy go znali z dawnej reputacji, spodziewali się najgorszego.

Zawiódł rewolucję

On, który opisał najokrutniejsze tortury i najbardziej wyuzdane orgie w dziejach europejskiej, a może i światowej literatury, nie tylko nikogo nie skrzywdził, ale jeszcze wiele osób uratował. Zachowywał się jak niewinna sierotka z własnej powieści „Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty”. I, podobnie jak ona, został ukarany. Władze rewolucji były w stanie wybaczyć każdą zbrodnię popełnianą w jej imieniu, z wyjątkiem jednej – moderantyzmu, czyli zbytnej pobłażliwości dla wrogów ludu. A w postawie takiej markiz znajdował upodobanie. Toteż rychło okazało się, że może go uratować tylko cud. I, co ciekawe, cud się wydarzył. Nawet dwukrotnie. Najpierw Marat, oburzony faktem, że tak znany i skompromitowany arystokrata chodzi jeszcze po świecie, polecił go aresztować; jednak na blankiecie pomyłono literę i do więzienia trafił inny markiz: La Salle. Wkrótce po tym Marat zginął w wannie zaszytym przez Charlotte Corday. Nieświadomy niebezpieczeństwa, jakie nad nim zawisło, „obywatel Sade” – jak go wtedy tytułowano – wygłosił piękną mowę „Do cieniów Marata”. Było to we wrześniu 1793 roku. W dwa miesiące później aresztowano go za odmowę poparcia jakiegoś niehumanitarnego wniosku. Sekcja Pik od razu wyparła się swojego prezesa, denuncjując go nadto jako wroga rewolucji. A to oznaczało wyrok śmierci.

Siedem miesięcy de Sade czekał na egzekucję, śląc daremne pisma do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Ocalał, lecz niewiele brakowało, a zginąłby w ostatnim dniu „Terroru”. Na szczęście strażnik, który miał do-

prowadzić go na egzekucję, nie mógł odnaleźć markiza w tłumie więźniów, nazajutrz zaś zakończyła się dyktatura Robespierre'a, a sam jej twórca zginął na szafocie. I tak de Sade znów wymknął się śmierci.

Na krótko jednak opuścił mury więzienia. Zdążył opublikować parę utworów i na powrót trafił za kratki. Tym razem z polecenia Napoleona, który nie chciał mieć „demoralizatorów” na terenie swojego państwa. Autor „Justyny” przebywał początkowo w więzieniu, ale potem przyjaciele uzyskali zgodę na przeniesienie go do zamkniętego szpitala w Charenton, gdzie pozostał do końca życia. Bonaparte regularnie odrzucał jego podania o łaskę i nawet gdy w 1812 roku wybierał się pod Moskwę, nie zapomniął wydać rozkazu, by nie wypuszczać markiza z Charenton pod jego nieobecność. De Sade dożył jeszcze powrotu Burbonów, lecz to już w niczym nie zmieniło jego sytuacji. Jako były przewodniczący Sekcji Pik i znany skandalista mógł się spodziewać tylko odmiany na gorsze. Nowe władze chciały go przenieść do lepiej strzeżonego ośrodka, ale stan schorowanego 74-letniego markiza już na to nie pozwolił. Zmarł w grudniu 1814 roku.

Kronikarz nie złoćczyńca

Jak oceniać de Sade'a? Paradoksalnie można stwierdzić, że na tle zimnokrwistych morderców w rodzaju Robespierre'a, Fouquier-Tinville'a czy Carrier'a jawi się on jako postać dość niewinna. Raczej kronikarz niż złoćczyńca. Jego jedyny grzech polegał na tym, że w pornograficzno-obscenicznej formie oddawał nastroje swoich czasów. Jak zresztą miał przemawiać do ludzi, którzy nie tylko przyzwyczaili się do masowych egzekucji, lecz także maczali chustki we krwi ofiar, by publicznie wykażać swą rewolucyjną postawę? Także rozwiążność w czasach dyktatoratu (wydano wtedy najbardziej obsceniczne dzieła de Sade'a) była reakcją na ciężkie czasy terroru. Oprócz wszelkich możliwych nieśczęść wprowadzono wtedy surową cnotę jako czynnik obligujący wszystkich „dobrych obywateli”. Nic dziwnego, że gdy Robespierre jechał na szafot, kobiety wzdłuż całej trasy rozdierały bluzki i pokazywały mu nagie piersi, przyczyniając dodatkowej zgryzoty temu zapiekłemu moralistom.

W dziełach de Sade'a stopiło się wszystko, co stanowiło jego epokę: cnota i rozwiążność, moralność i występki, walka silniejszych ze słabszymi i zalew ideologii, który każdą, najbardziej nawet absurdalną zbrodnię tłumaczył rozumem. W dziełach markiza po każdej stronie opisu zbrodni następuje parę stron, gdzie oprawy wyjaśniają swoim ofiarom mechanizm funkcjonowania świata. Nie wystarczy im proste na-

pawanie się fizycznym bólem. Ich ofiary muszą jeszcze przyznać, że błędziły, tkwiąc w dotychczasowym światopoglądzie. Gdy w końcu zostają „zreformowane”, zyskują łaskę i... zostają zabite. Oświecenie jest jednoznaczne z końcem ich cierpienia.

Ofiara ludowładztwa

I właśnie te wywody, a nie nużące swoją jednostajnością opisy tortur i orgii, sprawiły, że autor ten odgrywa tak ważną rolę w naszej kulturze. Jego olbrzymi wpływ na przyszłych myślicieli wziął się stąd, że jako pierwszy miał możliwość zaobserwować działanie ludowładztwa, z „piekielnymi kolumnami” zabijającymi bez sądu setki ludzi, z pierwszymi prymitywnymi obozami koncentracyjnymi i czymś, co antycypowało późniejsze komory gazowe – z barkami na Loarze, które załadowywano ludźmi i zatapiano na pełnym morzu. Główną cechą jego twórczości jest przede wszystkim głęboka niewiara w przyrodzone dobro człowieka. Przypomina w tym nieco Machiavellego. Pomiędzy tymi autorami jest zresztą wiele podobieństw. Machiavelli przed napisaniem „Księcia” też przez parę lat siedział w więzieniu, gdzie z rozkazu Medyceuszów poddawano go torturom. To, co pisze w swoich książkach, niekoniecznie wynika z cynizmu. To raczej brutalny realizm człowieka, który na własnej skórze poznał mechanizm funkcjonowania władzy. Jest więc jakas niesprawiedliwość, że zarówno „sadyzm” jak i „makiawelizm” to terminy pochodzące od nazwisk ofiar, a nie protagonistów pewnych postaw czy zachowań. Ich jedyną winą było to, że opisali system, który ich gnębił.

Zastanawiające jest, dlaczego sadyzm wydał się reżyserom filmowym końca XX w. najlepszym narzędziem do opisanego współczesnego, dość przecież zadowolonego z siebie świata? Najpierw widział polski miał okazję zapoznać się z „American Psycho” i „Tytusem Andronicusem” (rzecz ciekawa, oba te dzieła wyreżyserowały kobiety). Teraz możemy obejrzeć dwa filmy biograficzne o markizie: „Zatrute pióro” i „De Sade”. Wcześniej były jeszcze „8 milimetrów” i nasz polski „Billboard”. Czy to tylko pogoń za sensacją, czy też objawy jakiegoś głębszego kryzysu wynikającego z przewagi nauk przyrodniczych nad humanistycznymi?

Biologiczne podejście do życia króluje nie tylko w filmach, ale przede wszystkim w szkołach i na uniwersytetach. Stanowi podstawę współ-

czesnej nauki i naszego myślenia o świecie. Ten świat jest prześwietlany, zamykany w liczby, wykresy i wzory, zdejmujemy z niego wszelką tajemnicę. Metafizyka zajmuje w nim coraz późniejsze miejsce. Czemu więc nie sięgnąć do de Sade'a, który pierwszy opisał, jak fizjologia bierze górę nad etyką? Jego wywody na pewno będą miłe każdemu zwolennikowi „postępu”, nawet jeżeli miałby ich głośno nie powtarzać.

Wyprowadził Orwella

Dzieło de Sade'a to także głos w obronie kobiet, bo w końcu to one są ofiarami w jego książkach. Dotychczas literatura przedstawiała je jako narzędzie szatana, którym Książę Ciemności usiłuje skusić prawdziwą koronę stworzenia – mężczyznę. Tu jest inaczej. Tym, co naprawdę kompromitowało autora w oczach ówczesnych moralistów, było ukazanie całej miłośkości męskich poglądów w kwestii kto i dlaczego powinien rządzić światem. Jego bohaterowie nie powołują się na wielkie idee, po prostu są silniejsi fizycznie i to im wystarczy, by czerpać ze swoich ofiar maksimum przyjemności. Jeżeli kobieta ma im dorównać, musi ich prześcigać w bezwzględności. Opowiada o tym historia Julietty, siostry wspomnianej tu Justyny. Kroczy ona drogą występku, zyskując sławę i majątek, a na koniec morduje własną córkę podczas szczególnie okrutnego „eksperymentu”. Myślę, że w naszym wciąż feminizującym się świecie dzieła „boskiego markiza” zostaną odczytane na nowo i znajdą należne miejsce w panteonie powszechnej świadomości – właśnie za ściśle, właściwe naukom przyrodniczym „odsłonięcie mechanizmu”.

Nikogo nie powinno się zachęcać do czytania de Sade'a. Z drugiej strony, każdy wykształcony człowiek winien go znać choćby po to, by wiedzieć, co zainspirowało wizję Orwella zawartą w „1984” czy „Folwarku zwierzęcym”. Warto zacytować fragment listu, w którym markiz sam porusza kwestię – czytać jego książki czy też nie. Ów fragment, w przekładzie prof. Jerzego Łojka, autora znakomitego studium „Wiek markiza de Sade'a”, brzmi: „Drukują właśnie moją powieść, ale zbyt niemoralną, by mogła być posłana człowiekowi równie mądrymu, równie pobożnemu i równie przyzwoitemu jak pan. Potrzebuję pieniędzy, drukarz domaga się ich z pijackim uporem... Będzie nosiła tytuł „Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty”. Jeśli przypadkiem wpadnie panu w ręce, proszę ją spalić i nie czytać. Oficjalnie muszę się jej wyrzekać...”





TADEUSZ PIÓRO

Rocznik 1960. Poeta, tłumacz (m.in. Ezry Pounda i Harry'ego Mathewsa), smakosz. Autor pięciu książek poetyckich i wielu pysznych dań.

Osso buco z kluskami śląskimi



**Na jej cześć,
po posiłku
odwróciliśmy się
na krzesłach,
przodem do oparcia,
i skakaliśmy
na nich wokół
stołu, wzbudzając
owację rogatych
minnesingerów.**

Jeśli się jeszcze trafi tej zimnej mroźny, słoneczny dzień, kiedy apetyt zdaje się nie mieć granic, a długi wieczór jest wolny od trosk – najmiłsze podniebieniu są potrawy esencjonalne, a zarazem troszkę zawadiackie. Na przykład – osso buco, czyli duszona giciz cielęca. W klasycznej kuchni włoskiej istnieje wiele odmian tego wspaniałego dania, opiszę jednak tylko jedną, swoją ulubioną. Wyjaśnię od razu, że nie jest to giciz w całości, lecz pokrojona poprzecznie w kawałki pięciocentymetrowe. Czasami w sklepach można dostać tak przygotowaną giciz, właśnie pod nazwą osso buco. Zresztą zaprzyjaźniony rzeźnik bez trudu potnie giciz według naszych specyfikacji. Podaję przepis na cztery do sześciu kawałków gicizy.

Dobrze jest obwiązać je sznurkiem lub nicią, żeby mięso nie odpadło od kości. Następnie obtaczamy kawałki gicizy w mące zmieszanej z solą i pieprzem i smażymy w oliwie z dodatkiem masła. Gdy się zrumienią, dorzucamy pokrojoną w kostkę cebulę i dwa posiekane ząbki czosnku, wlewamy kieliszek białego wina, dwa lub trzy pokrojone pomidory (ewentualnie parę łyżek koncentratu) i tyle rosołu, żeby pokrył mięso. Gotujemy na małym ogniu pod pokrywką przez dwie godziny. Dodajemy posiekaną sardelę, mieszamy wszystko gruntownie – i podajemy posypane mieszaną drobno posiekaną natką i utartej skórki z cytryny. To właśnie sardela i skórka cytrynowa dodają potrawie zawadiackości. Lecz jest jeszcze coś – szpik, który amatorzy wyjadają z kości po zjedzeniu

mięsa, wydobywając go nożem lub specjalną łyżeczką i rozsmarowując na grzankach.

Tradycyjnie potrawie tej towarzyszy risotto po mediolańsku, czyli z szafranem. Sztuka przyrządzania risotta nie jest specjalnie trudna, lecz w przeciwieństwie do innych ten sposób gotowania ryżu wymaga nieprzerwanej uwagi kucharza. Przystępując do gotowania risotta, musimy mieć zagwarantowane dwadzieścia pięć do trzydziestu minut swobody od innych, kuchennych obowiązków.

Risotto należy robić ze specjalnej odmiany ryżu, rosnącej w dolinie Padu. Ryż ten zwie się Arborio i jest ogólnie dostępny, choć nie zawsze pod tą nazwą. Lecz na opakowaniu zazwyczaj znajduje się adnotacja *per gli risotti*, i o taki nam chodzi. Prócz ryżu potrzebny nam będzie wywar wołowy, kurzy lub cielęcy, szafran, parmezan i szalotka bądź cebulka. Tę rumienimy w oliwie z masłem, następnie do garnka wrzucamy ryż i obracamy go w tłuszczu przez kilka minut. Nie za długo, bo jego późniejsza konsystencja może przypominać krede; nie za krótko, bo musi nieco stwardnieć, zanim rozpocznie się proces stopniowego pochłaniania przezeń rosołu. Kiedy więc uznamy, że dość już się natężył, wlewamy chochelkę wrzącego rosołu. Niedużo – ryż nie może zostać do cna pograżony w płynie. Mieszaną drewnianą łyżką, aż wchłoną cały wywar, dolewamy następną

chochelkę, mieszamy – i tak dalej. Nudne to, ale nie ma innego sposobu. Trzeba mieszać niemal bezustannie. Jeśli zabraknie nam rosołu, należy zagotować wodę w czajniku i dolewać ją zamiast niego. Po kwadransie dodajemy szafran. Jeśli jest sproszkowany, wysypujemy ćwierć malutkiej łyżeczki do kawy. Jeśli jest w niteczkach, należy namoczyć je przez parę minut w gorącej wodzie, zamieszać i wlać razem z wodą do ryżu. Kiedy ryż będzie miękki – lecz nie za miękki, jego ziarenka powinny stawiać zębom lekki opór – dodajemy cztery łyżki startego parmezanu, mieszamy starannie i ewentualnie solimy. Jeśli chcemy uzyskać bardziej intensywną szafranowość, dłużej zwlekamy przed dodaniem tej przyprawy do ryżu.

Na koniec muszę wyjawiać Państwu dość kuriozalny fakt. Otóż najlepsze w życiu osso buco jadłem nie w Lombardii, nie w Toskanii, nawet nie w Nowym Jorku, lecz w niemieckiej restauracji w Las Vegas, w której występowała grupa muzyków w hełmach z rogami, a kelnerki przypominały walkirie. Oczywiście, nie podano do niej risotta, tylko kluski śląskie, ale sama giciz przepojona była miłością, jaką musiał czuć do niej kucharz. Na jej cześć, po posiłku odwróciliśmy się na krzesłach, przodem do oparcia, i skakaliśmy na nich wokół stołu, wzbudzając owację rogatych minnesingerów.

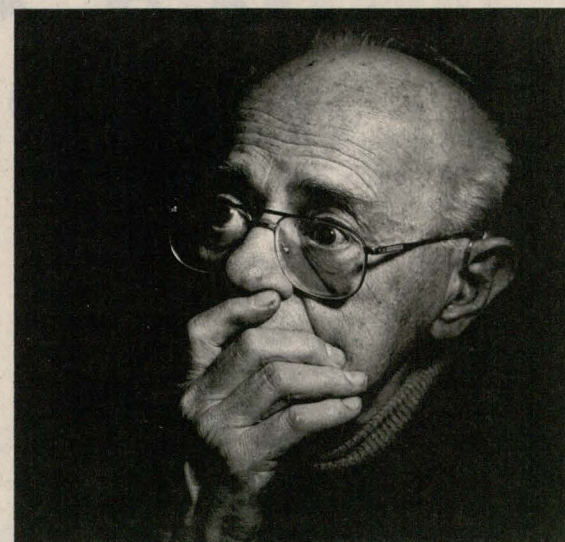
TADEUSZ PIÓRO

Po niedługim czasie świta mi w głowie myśl: na miły Bóg, przecież ja o tym pisałem, i to dawno temu. Nie bez ciężkości zabieram się do przeprowadzenia śledztwa mającego mi wyjawiać czy i w jakiej mierze to, o czym doniosła amerykańska prasa, pokrywa się z czymś, co wyfantazjowałem sobie jeszcze co najmniej w epoce PRL-u. Nie mogę powiedzieć, że w moich książkach zawarłem prorocstwa, spełniające się co do joty. To by już pachniało cudem. Rzeczywistość wygląda inaczej. W pojedynczych, nieregularnie zgrupowanych punktach moje beletrystyczne lub eseistyczne pomysły stykają się z codziennością nowego wieku. Nie będę tutaj z tego powodu honorował siebie laurami, więc tylko wymienię to, co pamiętałem w ostatnich miesiącach.

W mojej książce zatytułowanej „Wizja lokalna” pisałem jakieś dwie dekady temu o stopniowym, osiąganym za pomocą technicznych innowacji „urozumianiu” środowiska, w którym żyjemy. Poszedłem przy tym na całość, to znaczy starałem się wyobrazić sobie stan cywilizacji tak rozwiniętej, że opiekuje się ona żyjącymi w niej ludźmi doskonale i bezawaryjnie. W tym celu wymyśliłem tak zwane „bystry”, które zapobiegają wszelkim katastrofom, uzdrawiają, wykluczają możliwość aktów agresji jednych ludzi przeciw innym. W wymienionej książce wymyśliłem takie wszechobecne, aktywizujące się w razie potrzeby zabezpieczenia, które są tworzone przez olbrzymie chmary mikromolekularne.

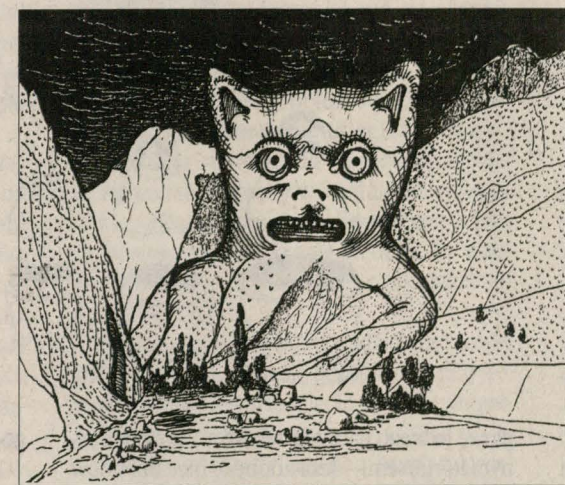
Na szczęście nie opracowano jeszcze tak rozwiniętego systemu elektronicznego. Natomiast są już urządzenia uniemożliwiające osobie pod wpływem alkoholu uruchomienie auta. W doświadczałnej fazie znajdują się systemy oparte na zasadzie radaru, które – zainstalowane w samochodzie – samodzielnie hamują pojazd, jeżeli na drodze pojawi się niewidoczna we mgle przeszkoda. Inne specjalne aparaty, sterowane z orbitalnych sputników, precyzyjnie kierują wehikuł najprostszą drogą tam, dokąd pragnie się dostać kierowca.

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZEL

**Nie wiem, jak to się dzieje,
ale co rusz zderzam
się z rewelacjami prasy zagranicznej,
zwłaszcza amerykańskiej,
które wydają mi się dziwnie znajome.**



RYŚ. DMITRI SZEWNIKOW-KSMIELOW

Różne urządzenia, głównie z obszaru gwałtownie rozwijającej się elektroniki, pozwalają też zabezpieczać mieszkania i domy samoczynnie przed nieproszonymi gośćmi, aczkolwiek jeszcze nie ma obmyślonych przede mną stalowych łap, które – zainstalowane w kabinach telefonicznych – tak chwytają potencjalnego awanturnika za kołnierza, że potrafią go posiniaczyć, a nawet połamać mu zębra.

We wspomnianej powieści trwał wyścig pomiędzy rosnącą agresją ludzi w niektórych sytuacjach (na przykład w czasie dalekosiężnych lotów w aeroplanach) a zainstalowanymi tam urządzeniami tłumiącymi agresywność. O tym też już się mówi, a nawet wprowadza w życie pierwsze projekty instrumentalnej bariery, mającej za zadanie wyeliminować niebezpieczne zachowania na pokładzie samolotu.

Pojęcie inteligencji zaczęto rozciągać tak jak stare gumowe szelki, wskutek czego przydomek „inteligentny” już niemal wszystkie firmy łączą, zwłaszcza w reklamach, ze swoimi nowymi produktami. Jeżeli elektryczne żelazko zaopatrzone jest w mikrotermostat, który – w przypadku pozostawienia go pod prądem na bieleźnię lub odzież – samoczynnie odłącza zasilanie, producent wmawia nam, że to żelazko jest wybitnie inteligentne. Kiedy urządzeniami tego typu zabudowane zostaje stopniowo coraz gęściej nasze środowisko życiowe – tak, że po wejściu do mieszkania o zmroku same zapalają się światła, kuchonka mikrofalowa podgrzewa wstawione do niej artykuły żywnościowe i utrzymuje je w należytej temperaturze, piec włącza się na godzinę przed naszym powrotem do domu strzeżonego przez elektronicznego psa (alarm), a wreszcie noszone przez ludzi lub wszczepiane im podskórnie mikroczujniki same zawiadamiają właściwe ośrodki pogotowia lub szpitale o pogorszonym stanie zdrowia – poczynamy się zbliżać ku wizji owej cywilizacji, która okazuje się jako całość środowiskowo mądrzejsza od swych mieszkańców.

Wielostronność i wielozakresowość opieki molekularnej (w powieści nazwałem ją „bystrosferą”) może się stać do tego stopnia namolna, że zacznie przypominać nowoczesne więzienie, bardzo higieniczne, ale opatrzone surowym rygiorem.

12 lutego 2001

REKA, NOGA, MÓZG... na stole

Chirurdzy coraz śміielej przyszywają nam obce ciała. Już nie tylko wymieniają narządy wewnętrzne, ale dokonują też zmian zewnętrznych. Czy następny będzie mózg?

Profesor Robert J. White zaproponował niedawno doszycie człowiekowi głowy. Czy to transplantacja z pogranicza science fiction?

Nikogo nie szokuje już dziś dokonana przez Christana Barnarda 33 lata temu w Kapsztadzie pierwsza w historii udana operacja przeszczepienia ludzkiego serca ani to, że człowiek może ofiarować drugiemu człowiekowi płuca, nerki, szpik, wątrobę, rogówkę oka, skórę czy trzustkę. Skoro z powodzeniem dokonuje się przeróbek wewnątrz organizmu dla ratowania życia, dlaczego nie spróbować zmian na zewnątrz – aby chronić przed kalectwem?

Pytanie tym bardziej na miejscu, że chirurdzy już od lat z powodzeniem zmieniają twarze (Michael Jackson), a nawet płeć swych pacjentów, posuwając się do „wytwarzania” narządów typowych dla mężczyzn czy kobiet. Potrafią też zastąpić zmiażdżony kciuk dłoni drugim palcem ze stopy. Mogą doszyć odciętą kończynę, a nawet „narzędzie zdrady”. Pamiętacie historię Billy’ego Bobbity, którego zazdrośna żona pozbawiła penisa? Lekarze przyszyli wyrzuconą za okno męskość.

Poprawki po Panu Bogu

Te chirurgiczne majstersztyki to jednak tylko przeszczepy autogeniczne: nos, ręka, noga, penis wracają na swe miejsca. Tymczasem prof. White z Uniwersytetu w Cleveland chce

głowę jednego pacjenta zeszyć z... zupełnie innym korpusem! – Jeśli zdobęde pięć milionów dolarów, natychmiast przystąpię do dzieła – oznajmił publicznie. Już zaplanował etapy zabiegu, a nawet każdy ruch ręki mających uczestniczyć w nim lekarzy. Wcześniej White wszystko przećwiczył na małpach, teraz gotów doświadczenia przenieść na chorych – głównie pacjentów z zaawansowanym rakiem lub spaliżonymi. Do profesora zgłosił się ochotnik z Ohio, Craig Vetovitz, który od trzydziestu lat leży całkowicie unieruchomiony w łóżku i marzy o nowym, cudzym tułowi, do które-

go ktoś potrafiłby sprawnie doszyć jego głowę. Czy marzenia Craiga i pomysły prof. White’a zostaną zrealizowane? Trudno przewidzieć, ale faktem jest, że doszywanie pacjentom na zewnątrz ciała cudzych części nie jest czymś nowym...

Z cudzą nogą, z cudzą ręką

Swoistego cudu dokonano niedawno w Sztokholmie. Czternastoletniemu Bjoernowi Ochlinowi przeszczepiono fragment nogi od dorosłego dawcy. Chłopiec otrzymał nowe udo i staw kolanowy. Lekarzom udało się

■ **Historia przeszczepów jest stara. Już w Piśmie Świętym wspomniano wszak o przywróceniu ucha przez św. Piotra żołnierzowi, który aresztował Jezusa. O transplantacjach mówią też starożytnie zapisy. Jednak dopiero XIX wiek przeniósł je do sal operacyjnych Europy, Ameryki. Ale na wielkie sukcesy trzeba było czekać do drugiej połowy minionego stulecia. Od tego bowiem czasu przeszczepy organów wewnętrznych ratują ludziom życie. Przeszczepy kończyn, skóry, rogówki itd. – ratują przed kalectwem.**

zachować jego własną nogę od kolana w dół, co w praktyce oznacza, że noga nadal będzie normalnie rosła!

Głośno było też niedawno o pierwszym w świecie doszyciu obu przedramion wraz z dłońmi. 33-letni Clint Hallam żył z protezami kilka lat, aż do chwili, gdy dr Jean-Michel Dubernard z Lyonskiego szpitala nie zamienił mu ich na ręce dopiero co zmarłego człowieka. Operacja trwała 17 godzin. W zabiegu brała udział międzynarodowa ekipa lekarzy, w tym 18 chirurgów. Pierwsi do akcji wkroczyli ortopedzi, którzy dopasowali kości do siebie, obożyli je platynowymi płytkami i poskręcali śrubami tak, by stanowiły jedność fizyczną. Do innych należało już „tylko” połączenie miękkich tkanek kikutu: tętnic, żył, mięśni, ścięgien i skóry.

Po Francuzach zabiegu doszycia rąk podjęto się w Jewish Hospital w Louisville, pod okiem dr Warrena Breidennbacka. Pacjent miał 37 lat i był ofiarą wybuchu racy. Rękę otrzymał od człowieka, któremu jeszcze w chwili amputacji biło serce, lecz mózg już nie pracował. – Skoro takie przeszczepy stały się możliwe, nie widzę powodu, by ich nie kontynuować – stwierdził operator i zapowiedział kolejne transplantacje alogeniczne, czyli doszywanie pacjentom nie swoich, a cudzych kończyn.

Od aprobaty do potępienia

Francuskie i amerykańskie doświadczenia rozпалиły emocje. Odezwały się głosy zarówno aprobaty, jak i potępienia. Pytano o sens transplantacji, które „tylko” ratują przed kalectwem. Nawet autorzy artykułów w „New Scientist” przekonywali: bez własnej ręki można żyć, bo da się ją zastąpić protezą – choćby taką, jaką miał Luke Skywalker z „Gwiezdnych

wojen”. Nasi rodzimi chirurdzy dodawali, że tego typu zabiegi są kontrowersyjne również ze względu na ogromne ryzyko.

– Wielotkankowe przeszczepy, choć technicznie możliwe do wykonania, mają znikomą szansę przetrwania – mówi dr hab. Jacek Puchała z Polsko-Amerykańskiego Instytutu Pediatry w Krakowie-Prokocimiu, mikrochirurg znany z udanych zabiegów doszywania odciętych palców czy dłoni. – Cóż z tego, że uda się przyszyć rękę jednego człowieka drugiemu. Nie wiadomo, kiedy organizm tę obcą rękę odrzuci, mimo coraz lepszych leków zmniejszających reakcję ludzkiego układu odpornościowego na cudze komórki. Takie przeszczepy, owszem, robi się, ale na razie brak w literaturze naukowej doniesień, by dawały trwałe, wieloletnie efekty.

Lśniące oko

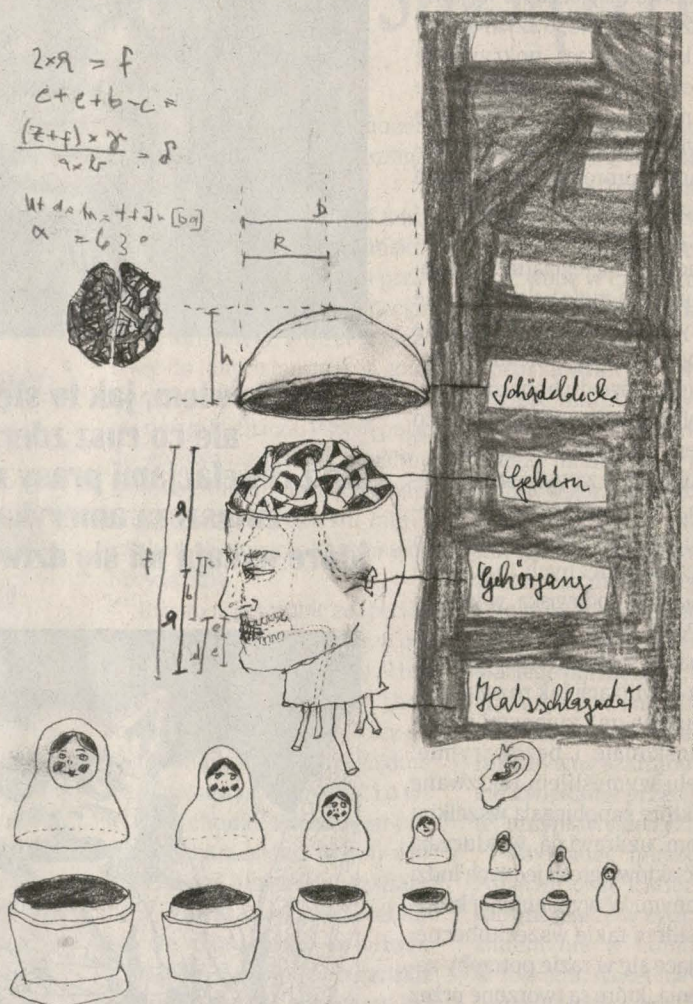
Pierwsze przeszczepy alogeniczne sięgają początku XX w. Długą historię mają przeszczepy rogówki. Zajmowano się nimi wtedy, gdy jeszcze nie znano leków immunosupresyjnych (przeciwodrzutowych). Już w roku 1906 Edward Zirn z Ołomuńca pobrał od zmarłego rogówkę po to, by sprawdzić jej przydatność w innym organizmie.

W Polsce transplantacje rogówki zaczęto przeprowadzać dwadzieścia lat temu. Były to najpierw autoprzeszczepy. W minionej dekadzie „materiał” pobierano już od obcych dawców; w Poznaniu np. takich przeszczepów wykonano kilkadziesiąt – głównie u osób ze zmnętniałymi lub owrzodzonymi rogówkami. Jednak od ubiegłego roku za najlepszego ofiarodawcę – a przekonano się o tym po raz pierwszy w szpitalu kolejowym w Katowicach – uznaje się krewnego pacjenta. Wystarczy tylko krople do oczu, by u zoperowanego zapobiec odrzuceniu wszczepionej tkanki!

Postęp medycyny budzi nadzieję, że nawet jeśli coś w człowieku się popsuje czy zużyje – można to naprawić, zamienić na nowe. Zupełnie jak w samochodzie.

Lekarzy martwi tylko jedno: problem przeszczepu mózgu! Zbyt dużo w nim włókien nerwowych, zbyt wielka wrażliwość na niedotlenienie. Prof. White przekonuje jednak, że nie ma różnicy pomiędzy przyszcieniem serca a głowy. Brzmi to niezwykle, lecz już nie raz byliśmy świadkami postawienia znaku równości między fantazjami a rzeczywistością. Jeśli rzeczywiście dojdzie do takich transplantacji, chyba zupełnie zmieni się nasze podejście do ludzkiego ciała.

TERESA BĘTKOWSKA



Biuro Podróży **JORDAN**

ZAPRASZA DO KORZYSTANIA Z NOWEJ, KONCESJONOWANEJ

LINII AUTOKAROWEJ



KRAKÓW - WIEDEŃ - LINZ

- SALZBURG

Wyjazdy z Krakowa w piątki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGA!

Możliwość połączeń z Wrocławia, Katowic, Tarnowa, Rzeszowa z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.IN.:

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12, tel. /012/ 422 20 33, w godz. 10.00 - 18.00

WIEDEŃ, Südbahnhof - kiosk biletowy, tel. 01/ 796 85 52 12, w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43 tel. 0662/42 10 84, pon., śr., pt. w godz. 12.00 - 17.00 wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austrii (Wiedeń)
Belgii (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandii (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam Breda)
Włoch (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na Węgry (Budapest, Vac)

CAŁOROCZNE CHATKI GÓRALSKIE

Zakopane
Kościełsko-Kisy
(u wylotu Doliny Kościeliskiej)

Chatki 2 - 6 osobowe
Cena od: 60 zł/chatka/noc

Rezerwacje: Biuro **JORDAN**
tel. /012/ 421 53 13, 429 36 01
turystyka@jordan.krakow.pl

Uranowa ruletka

Trzymam w rękę płaszcz pocisku uranowego. Wygląda jak dowód rzeczowy z miejsca zbrodni: jest zapakowany w przezroczystą folię.

Nie dajmy się zwieść łatwym skojarzeniom. Foliowa torebka ma zapobiec wydostawaniu się pyłu, który pozostał po kontakcie płaszcza z uranowym rdzeniem.

Zawartość torebki trafiła do krakowskiego Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego w Krakowie. Przywieziono ją z Kosowa, z terenów ostrzelanych pociskami ze zubożonym uranem. Leżało tam tego tyle, że każdy mógł brać bez ograniczeń.

Ubogie alibi

Skąd się wzięły pociski uranowe w Kosowie? Przecież z uranu buduje się bomby

atomowe, a żadna tam nie spadła. Alibi dla kosowskiego uranu miał być przmiotnik „zubożony”. Ale nawet taki uran, nie nadający się na substrat broni masowej zagłady, jest metalem toksycznym i substancją promieniotwórczą niebezpieczną dla człowieka.

Dr Jerzy W. Mieltski z Laboratorium Badań Skażeń Radioaktywnych Środowiska IFJ woli nie ryzykować. Gdy wyjmuję płaszcz pocisku z folii, zakłada rękawiczki. Z uranem, choćby zubożonym, nie ma żartów.

Dlaczego zubożonym? Z uranu wydobywanego z ziemi energetyka jądrowa i producenci broni atomowej nie mają pożytku. Za mało w nim izotopu 235, w którym zachodzi reakcja łańcuchowa. W uranie naturalnym jest go zaledwie 0,7 proc. Żeby otrzymać paliwo jądrowe przyzwoitej jakości, powinno być ok. 3 proc. W bombie – trzeba jeszcze więcej, nawet 90 proc. Dlatego uran musi być wzbogacany. Powstaje jednocześnie uran zubożony, uznawany za materiał odpadowy.

Długo nie wiadano, co z nim robić. W końcu, ze względu na dużą gęstość (ciężar właściwy), zaczęto go stosować jako masywne przeciwwagi i do balastowania jachtów. Pozostałości promieniowania łatwo zneutralizować: wystarczy pancerz z blachy stalowej. Niejeden żeglarz zemdlałby z wrażenia, gdyby usłyszał, co ma w kilu.

W Zatoce – bez rozgłosu

O tym, aby ciężki i twardy uran wykorzystać w pociskach konwencjonalnych, myśleli już Niemcy podczas II wojny światowej, gdy pierwiastek dopiero zaczynał atomową karierę. Na wyposażenie armii amerykańskiej pociski ze zubożonego uranu trafiły stosunkowo niedawno. Bez rozgłosu testowano je podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r. Gdyby nie zagadkowe zachorowania wśród żołnierzy NATO biorących udział w misji w Kosowie, mało kto by wiedział o istnieniu tej broni.

Pocisk uranowy wystrzelony z działka samolotu osiąga w momencie opuszczenia lufy ponad 3 tys. km na godz. Przebija bez kłopotu nawet najgrubszy pancerz czołgu. Niszczycielską siłę objawia jednak w pełni dopiero po przejściu przez pancerz. Wychodząc po drugiej stronie, na wpół płynny uran gwałtownie się zapala. Rozgrzane do ok. 2 tys. stopni krople metalu w ułamku sekundy zamieniają wewnątrz czołgu lub bunkra w piekło. Załoga nawet nie zdąży pomyśleć, że to już koniec.

Uranowy kurz

Działanie pocisku nie kończy się na błyskawicznej zagładzie załogi czołgu lub bunkra. Rozpalony uran gwałtownie odparowuje, a jego mikroskopijne drobiny osiadają na pyłach unoszących się w powietrzu. Chmury uranowego kurzu mogą być stosunkowo gęste, bowiem Amerykanie używają w samolotach A-10A działek, które wystrzeliwują 70 pocisków na sekundę. Podczas wojny w Zatoce Perskiej cele ostrzelano seriami liczącymi średnio ok. 200 pocisków. W Kosowie pociski uranowe trafiły w ponad 100 celów.

PANCERZ JAK MASŁO

Łatwość, z jaką pociski ze zubożonego uranu przebijają nawet grube pancerze, to efekt ich dużej gęstości (ciężaru właściwego). Uran jest blisko dwa razy masywniejszy niż ołów, znacznie bardziej od niego twardszy; w skali 10-stopniowej ma twardość 6, podczas gdy np. kwarc – 7. Dzięki tym właściwościom pocisk uranowy naciska na pancerz czołgu z tak ogromną siłą, że momentalnie go topi. Wchodzi w pancerną płytę jak nóż w masło, przesuwając się cały czas błyskawicznie wytipianym tunelem.

BEZPIECZNE JEDZENIE

Organizm ludzki nie jest nastawiony na przyswajanie uranu i dość sprawnie usuwa ten pierwiastek z układu pokarmowego. Jeśli razem z pożywieniem połykamy jakąś ilość tlenku uranu – który śladowo występuje np. w glebie – organizm wchłania zaledwie 0,2 proc. dawki, a resztę od razu wydalą. Gdy uran występuje w postaci bardziej rozpuszczalnej, np. jako fluorek, wówczas przyswaja 3 proc. W praktyce tylko skażenie wody jest niebezpieczne dla zdrowia, bo pijemy jej z natury rzeczy dużo. Zanieczyszczenie studni uranem może po dłuższym czasie powodować kumulowanie się tego pierwiastka w nerkach i kościach.

Większość pyłów zwykle dość szybko opada, ale małe drobiny mogą unosić się w powietrzu nawet tygodniami, a to one są najgroźniejsze. Nasz układ oczyszczania wdychanego powietrza najskuteczniej wyłapuje grube zanieczyszczenia. Małutkie drobiny wielkości jednego mikrona (tysięcznej części milimetra) dość łatwo przedostają się do płuc. Uran w postaci nierozpuszczalnego tlenku może tu zagościć na dłużej i działać na najbliższą tkankę tak jak promieniowanie jonizujące, znane ze swej szkodliwości dla zdrowia. Może też

z płuc wnikać do krwiobiegu. Zagrożenie z wdychania powietrza skażonego uranem jest mniej więcej sto razy większe niż w przypadku zjedzenia takiej samej dawki uranu.

Pociski ze zubożonego uranu, które zaryły się w ziemi, nie są bezpośrednim zagrożeniem dla ludzi. Nawet centymetrowa warstwa gruntu zatrzymuje promieniowanie alfa i beta. Ale niebezpieczne jest przedostawanie się uranu do wód gruntowych, bo grozi skażeniem wody w studniach.

Dr Mieltski przytacza oceny dawek promieniowania, jakie otrzymali żołnierze amerykańscy podczas wojny w Zatoce Perskiej z powodu omyłkowego ostrzelania własnych oddziałów. Dawki sięgały do 50 milisiwertów, co jest równoważne ok. 50 prześwietleniom płuc. Taką dawkę w warunkach naturalnych człowiek otrzymuje od środowiska w ciągu 20 lat. I na taką właśnie dawkę byli narażeni ludzie w Kosowie, którzy znaleźli się w pobliżu ostrzału. Nawet nie wiedzieli, że stali się obiektem swojej uranowej ruletki.

Ryzykowne zabawy

Znacznie bardziej zagrożone od dorosłych są dzieci, dodaje dr Mieltski. Dla nich wyniki amerykańskiej oceny trzeba mnożyć przez trzy, bowiem młody organizm, który ciągle się rozwija, znacznie intensywniej wyszukuje z otoczenia mikroelementy i wbudowuje je we własne tkanki. Dlatego dzieci mogły przyjąć dawki sięgające 150 milisiwertów, o których nikt już nie może powiedzieć, że są zupełnie nieszkodliwe.

Dodatkowe zagrożenie może powodować zamiłowanie wszystkich dzieci do penetrowania miejsc tajemniczych. Na zdjęciach z Kosowa widać chłopców bawiących się w porzuconych wrakach czołgów, a więc w miejscach pokrytych rozpylonym tlenkiem uranu.

– Nie musimy się martwić o naszych żołnierzy, którzy w Kosowie nie byli w rejonach ostrzału pociskami ze zubożonym uranem – mówi dr Jerzy W. Mieltski. – Są natomiast powody do niepokoju o miejscową ludność, szczególnie o dzieci, które miały kontakt z substancjami promieniotwórczymi. Powinno się Kosowian informować o zagrożeniu i objąć kontrolą medyczną.

LESŁAW PETERS

NAUKOWO

OCEANY OD KOMETY

Wodę dostaliśmy od komet obficie spadających 4 mld lat temu. Wszak wiadomo, że są to ciała w dużym stopniu złożone z lodu. Kłopot w tym, że u komet stosunek ciężkiego wodoru do wodoru w postaci podstawowej jest dwukrotnie większy niż w wodzie na Ziemi. Dlatego badacze z obserwatorium w Nicei zaproponowali nową hipotezę: oceany powstały dzięki planetoidom.

We wczesnych etapach istnienia naszego systemu planetarnego niektóre asteroidy miały wielkość Księżyca czy Marsa i mogły zawierać do 10 proc. wody. Symulacja komputerowa wykonana we francuskim ośrodku wykazała, że niektóre z nich musiały zderzyć się z Ziemią. Prawdopodobnie dostarczyły jednej trzeciej masy naszej planety i wystarczającą ilość wody, aby powstały oceany.

ZGUBA PRZY JOWISZU



stwierdzić, że ciało ma zaledwie 5 km wielkości i okrąża Jowisza w odległości od 6 do 9 mln km. Jedno okrążenie trwa 129 dni, czyli dłużej niż jeden obieg Merkurego wokół Słońca. (LP)

CZARNY KOT MA PECHA

Być może przesady związane z czarnymi kotami nie są całkiem pozbawione podstaw. Grupa lekarzy ze szpitala College'u Long Island w Nowym Jorku przeprowadziła ankietę wśród alergików, prosząc w niej o opisanie swych kotów i ocenę nasilenia symptomów chorobowych. Właściciele czarnych kotów czterokrotnie częściej skarżyli się na poważne dolegliwości niż posiadacze kotów o innym kolorze sierści. Kierujący zespołem badawczym Shahzad Hussain przyznał, że wyniki sondażu zaskoczyły lekarzy. (TB)

NASIONA W BANKU

W Wielkiej Brytanii otwarto największy na świecie bank nasion. Będą tu zgromadzone i zamrożone nasiona ponad 24 tys. gatunków roślin z całego globu. Zorganizowanie tej swoistej arki Noego dla flory Ziemi kosztowało 80 mln funtów. Ośrodek badawczy przy banku nasion ma współpracować z instytucjami różnych krajów zajmującymi się ochroną roślin. (LP)



Tam, gdzie bawią się dzieci, eksplodowały pociski z promieniotwórczym uranem.



Uranowymi pociskami interesują się także fizycy z Belgradu.

FOT. EAST NEWS/EP, REUTERS/FORUM

NETYKIETA i lamerzy

Kiedyś w sieci obowiązywało dobre zachowanie. Dziś Internet schamiał.

Netykieta to zbiór zasad, jakimi powinni się rządzić internauci, by wirtualne życie nie popadło w chaos i nie uległo anarchii. Wiele lat temu powstał sieciowy dekalog, który ktoś przetłumaczył z angielskiego:

1. Nie będziesz używać komputera, aby szkodzić innym.
2. Nie zakłócaj innym pracy na komputerach.
3. Nie zaglądasz bez pozwolenia do cudzych plików.
4. Nie będziesz używać komputera, aby kraść.
5. Nie będziesz używać komputera do dawania fałszywego świadectwa.
6. Nie będziesz używać ani kopiować programów, za które nie zapłaciłeś.
7. Nie będziesz używać zasobów cudzych komputerów bez zezwolenia (autoryzacji).
8. Nie będziesz przywłaszczać sobie wysiłku intelektualnego innych.
9. Będziesz myślał o społecznych konsekwencjach programu, który piszesz.
10. Będziesz używać komputera z rozwagą i ostrożnością.

Na hasło „netykieta” Onet wyrzucił 3,5 tys. odpowiedzi. Większość stron jest stara, a przeważająca część internautów, zwłaszcza najmłodszych, nie ma pojęcia, że coś takiego istnieje. Na ircu, na czata, na listy dyskusyjne wkraczają nowi z przekleństwami, wyzwiskami, wulgaryzmami – a wyjadacze wzdychają:

I znowu lamer

Lamer, to najgorsza obelga w sieci, zwłaszcza na ircu. Słowo to – jak czy-

tamy na www.irc.pl – oznacza ignoranta, kogoś, kto przeszkadza innym i nie umie się zachować. Lamer nie czytał netykiety lub ją lekcewał, choć wszędzie można ją znaleźć (<http://akson.sgh.waw.pl/13/netykieta.htm>, <http://www.amisia.art.pl/net.html>); ma ją także każdy portal. Lamer wkracza na czat, irc lub na listę dyskusyjną – i obraża. Produkuje wulgarne lub pirackie strony www. W przeciwieństwie do hakera – niszczy wszystko, co mamy na twardym dysku. Lamer czuje się bezkarny.

Co to jest netykieta? „Amisia” na swojej stronie precyzuje: netykieta to jest to, czego nie wolno. A nie wolno: ■ obrażać innych internautów, nawet jeśli ich nie lubisz ■ dołączać plików do listów, chyba że adresat się zgadza ■ nie wysyłać listów z załącznikami na listy dyskusyjne

- używać podpisów nie dłuższych niż 4 linie
- nie wytykać korespondentom literówek i innych błędów
- nie rozsyłać ogłoszeń komercyjnych do osób, które ich sobie nie życzą
- nie wysyłać listów e-mailowych, napisanych wyłącznie WIELKIMI literami (w Internecie oznacza to krzyk).

Im wyższy jest poziom wtajemniczenia w sieć, tym więcej jest zasad. Na przykład: ■ nie wysyłać do grupy dyskusyjnej informacji niepotrzebnych, które zabierają miejsce na dysku ■ nie stosuj zbyt rozbudowanych sygnatur, czyli podpisów pod listami ■ w polu „temat” (ang. „subject”) nie wpisuj długich tekstów ■ nie wysyłać do grup dyskusyjnych dużych plików oprogramowania, które dostępne jest na serwerach ftp ■ zanim zastosujesz polskie litery

(„ogonki”), upewnij się, że systemy pocztowe nie zniekształcą treści ■ nie rozsyłaj materiałów reklamowych i „łańcuszków szczęścia” ■ jeżeli chcesz spytać o coś, czego nie wiesz, to najpierw sprawdź archiwa grupy lub FAQ (frequently asked questions) ■ nie używaj wulgaryzmów w listach. Jeżeli koniecznie musisz to zrobić, zamieść na początku informację „flame on”, co ostrzega, że treść zawiera wulgaryzmy ■ nie naruszaj dobrych obyczajów, dobrego smaku; nie prowokuj, nie atakuj.

Nie bądź spamerem

Spam to określenie na wysyłkę bardzo dużego pliku. Praktyki te często stosują reklamujące się firmy. Internauci mogą, w odwecie, przesłać megabajty bezwartościowej informacji do nadawcy, powodując blokadę jego konta. Można też „zapętlić” spamera tak, by wysyłał wiadomości do samego siebie; bardziej zaawansowani potrafią zablokować linie telefoniczne i faksy spamerów.

Skąd tak ostre reakcje? Z powodu rachunków, które internauci płacą za połączenia, a spam to marnowanie impulsów.

Netykieta walczy z przeciążaniem sieci zbędnymi informacjami. „Używanie sieci jest PRZYWILEJEM, a nie UPRAWNIENIEM” – piszą autorzy netykiety, na ogół tłumaczonych z angielskiego. Bowiem większość zasad dobrego zachowania w sieci narodziła się w USA. Netykiety sprzed paru lat brzmiały bardzo surowo, jak ta, ułożona przez Arlene H. Rinaldi z Florida Atlantic University, we wrześniu 1992 (dostępna na <http://www.t4.ds.pwr.wroc.pl/netykieta.html>). Rinaldi dawała przykłady nadużyć przez internautów ich przywilejów: umieszczanie w systemie nielegalnych informacji, używanie obelżywego języka, nadawanie wiadomości, które mogą spowodować utratę wyników pracy u odbiorców, inne działania, które przepełnią sieć lub zakłócają innym pracę.

Rinaldi groziła sankcjami, z których dzisiejsi internauci już tylko się śmieją: „W szczególnych wypadkach może nastąpić odebranie przywileju

pracy w sieci na stałe, będące wynikiem akcji dyscyplinarnych podejmowanych przez specjalną komisję, powołaną do badania przypadków nadużyć w sieci”.

Dla prywatnej poczty Rinaldi też stworzyła surowe zasady:

- użytkownik odpowiada za porządek w skrzynce
- kontroluj codziennie pocztę i utrzymuj się w wyznaczonym limicie
- usuwaj niepotrzebne przesyłki
- nigdy nie zakładaj, że Twoja poczta może być odczytana tylko przez Ciebie; inni też ją mogą odczytać
- bądź profesjonalny i ostrożny w tym, co piszesz o innych
- nie wysyłaj i nie przechowuj niczego, czego nie chciałbyś zobaczyć w dzienniku wieczornym.

Rinaldi była surowa dla piratów:

- kopiując programy, użytkownik jest odpowiedzialny za sprawdzenie i przestrzeganie warunków licencji i praw „copyright”
- jeżeli program jest ci przydatny, zapłać opłatę rejestracyjną.

Netykieta odeszła do lamusa – ale wszyscy walczą z lamerami. Jak? Na listach dyskusyjnych ludzie używają tzw. KF – czyli „kill file”, pliku, który pozwala „nie widzieć” postów osoby, której poglądy czy słownictwo nas urażają. Na ircu każdy „op” (operator kanału) ma uprawnienia, by lamerowi dać „kopa” (kick), czyli wyrzucić go z kanału – lub „bana” (czasowo zakazać wstępu). TP SA ma pożyteczny adres: abuse@tpsa.pl („abuse” to po angielsku „obraza”). Jeśli ktoś prześladowa nas elektronicznie, przesyła wyzwiska, pogroźki lub wirusy – przekazujemy tam adres intruza. Możemy też złożyć skargę adminowi (administratorowi) serwera, na którym lamer ma konto. Doświadczony informatyk sam wytropi lamera i może skierować sprawę do sądu (jak ostatnio właściciel jednej z komputerowych firm).

Skończyły się czasy, gdy królowała netykieta. Dziś szuka się już tylko skuteczniejszych form walki z lamerami. No cóż, Internet nie jest lepszy niż świat, w którym działa, choć powstał jako raj dla idealistów wierzących w prymat rozumu. Gdzie dziś ten rozum, gdzie ci idealisci.

DOROTA TERAKOWSKA
<http://terakowska.art.pl/>



PODRÓŻE W FOTELU

Są tacy ludzie: chętnie by coś zobaczyli, najchętniej jakieś egzotyczne krainy, ale nienawidzą podróżować. To dla nich jest ten serwer. Na początek daleko na południe, gdzie czekają na nas zdjęcia z wirtualnej Antarktyki i sporo

informacji o niej. Tę ekspedycję zrobili za nas twórcy serwera Terra Quest. Oni też wybrali się na Galapagos – a tam warto zajrzeć, gdyż po awarii kolejnego tankowca z tej niezwykłej przyrodniczo wyspy może niewiele zostanie. Iguana, która patrzy na nas z jednego ze zdjęć, też już może nie żyje.

<http://www.terraquest.com/>



PIRANIA

Oj, to nie jest miła rybka, skoro szybciej zje ciebie niż ty ją. Mimo to są tacy, co je hodują. Są też maniacy, którzy uwielbiają je oglądać (licznik zanotował około 270 tys. wizyt). Niewątpliwie najbezpieczniej jest wizytować piranie w Internecie, a tam

możesz zajrzeć nie tylko do bogatej kolekcji zdjęć, ale i do licznych tekstów. „Pirania jako domowe stworzonko”, brrrr... A oni radzą, jakie akwarium sobie sprawić dla tej domowej piranii.

Najdziwniejsze, że na zdjęciach widzimy ładną, perłową rybkę.

<http://www.pirania.org/>



LUBICIE SIĘ GŁUPIO BAWIĆ?

Bo ja czasem – tak. Ta strona jest dla takich jak my. Wcielacie się – myśląc po angielsku – w znanego dyktatora lub w jedną z postaci z telewizyjnych seriali. Dostajecie mnóstwo pytań, na które odpowiadacie wyłącznie „yes” lub „no”.

Program komputerowy odgaduje, kogo macie na myśli.

Ja wymyśliłam sobie „Archiwum X”, a serwer po trzech minutach bezbłędnie oznajmił, że jestem Gillian Anderson. Nie jestem, jaka szkoda. Ale zabawa całkiem przyjemna, choć najlepsza dla tych, co mają stałe łącze, bo impulsy kosztują.

<http://www.smalltime.com/nowhere/dictator>

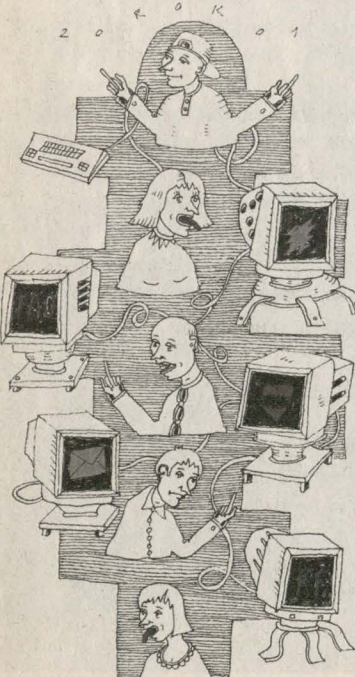


SIVANANDA YOGA

Modne jest zdrowie, a ten serwer nauczy nas, co to jest joga i jak ją uprawiać w domowym zaciszu. Można też wyłącznie czytać, a ćwiczenia zaleci współmałżonkowi lub dziecku. Naszym guru jest znany

w świecie Swami Vishnu i to on wprowadzi nas w świat Asan (ćwiczenia fizyczne), Pranayamy (sztuka oddychania), Savasany (odpoczynek) i Dhyany (pozytywne myślenie i sztuka medytacji) oraz wegetarianizmu. Przeczytałam i pomyślałam sobie, że na jakieś 10 dni to może być całkiem przyjemne.

<http://www.sivananda.org/teachings/index.html>



RYŚUNKI: IGNACY CZWARTOS



Jarosław KRAWCZYK
redaktor naczelny
miesięcznika
„Mówią wieki”

Błądzić po ludzku

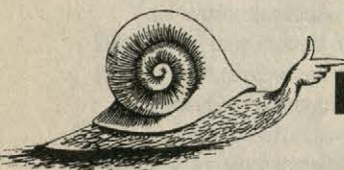
Jak tylko zadebiutowałem na łamach „Przekroju” jako felietonista sportowy, nastał w rodzimej fizykulturze tak wielki zastój, że tylko się popłakać. Małyś ma akurat przerwę, Zepter dostał od Chorwatów po garach, w piłkę jeszcze nie grają. Prawda, płynię Warta płynie, ale o tym, że Warta potrafi popłynąć, wiemy od zawsze. Nie ma co – trzeba powspominać.

Miłych wspomnień sportowych mam bez liku, lecz na taśmie pamięci ich zapis nieustannie zakłócają towarzyszące im brednie rozmaitych komentatorów. Wiem, łatwo znęcać się nad oczywistymi matolami, a po monologach Tyma trudno kusić się o coś śmieszniejszego, jednak ich głosy wciąż natrętnie dzwonią mi w uszach jak krowie dzwoneczki. Napsuły mi tyle przyjemności, że chce się tylko lżyć i postponować, nie bacząc na to, że wielu z nich przebywa już na łonie Abrahama. tacińską maksymę „o umarłych albo dobrze, albo wcale” uważam zresztą za całkiem nietrafną. Gdyby tak wziąć ją całkiem serio, to nie dałoby się powiedzieć czegośkolwiek złego o takich postaciach jak Piotr Okrutny czy Bazyli Bułgarobójca. Protestuję jako historyk i humanista.

Był więc Skinder bredniami sławny, był Dya bełkotliwy, trajkotliwy, Koziorowski i onże Pawliczak, co nazwiska angielskie akcentował z francuska... Byli też inni buracy pastewni – niemal wszyscy na kolanach przed nieboszczką komuną.

Po sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że nawet na tym polu potrafiło czasem wejść coś sensowniejszego. Śp. Mrzygłód naprawdę znał się na skokach narciarskich, a nieboszczyk Rzeszot, wielki specjalista od hokeja, umiał nawet mówić mniej więcej do rzeczy o dowolnej dyscyplinie sportowej. Do tzw. ironii losu należy więc fakt, że akurat jemu zdarzyła się najbardziej zdumiewająca obsuwa, jaką pamiętam. Były to lata 70., w finale Superpucharu grał Bayern Monachium z Dynamem Kijów. Red. Rzeszot przemawiał jak zwykle miodopłynie, tylko przez całą pierwszą połowę... mylił zespoły (co chyba był naprany). Słyszałem nauszenie – gdy przy piłce byli Bawarczycy, mówił, że Dynamo, a gdy kijowianie, że to Bayern. Starsi koledzy pewnie pamiętają, że w Dynamie zgrywał wtedy Oleg Blochin, a w Bayernie – Gerd Müller. Na oko trudno ich pomylić. No, ale gdzie tam.

Trwało to spory kęs czasu, lecz komentator wreszcie (pewnie za czymś poduszaniem) połapał się i wstąpił na drogę prawdy. Sytuacja była trudna, lecz – jako człek febski – prędko znalazł dowcipne usprawiedliwienie. „Niestety, powiada – pomyliłem się. Ale, jak mawiali Rzymianie – errare humanum est, błądzić jest rzeczą ludzką”. Wiadomo, my są Europa, korzenie naszej kultury tkwią samym trzonkiem w tradycji helleńsko-tacińskiej. W tym sensie Polska leży nad Morzem Śródziemnym. A że czasem leży martwym bykiem, to już zupełnie inna sprawa.



**Brednie komentatorów
zakłócają mi miłe
wspomnienia sportowe**

Czarodzieje parkietu

**Najlepsi zawodnicy zarabiają średnio
2 mln dolarów rocznie i należą
do najbogatszych sportowców.**

Pierwszy mecz koszykówki w Ameryce rozegrali nauczyciele i studenci w Springfield College w stanie Massachusetts. W każdej z drużyn grało po dziesięciu zawodników, którzy próbowali rzucić piłkę do wiklinowych koszy, zamocowanych na wysokości 305 cm. Niezbyt im szło. Wygrali studenci, rzucając celnie pięć razy, ciało pedagogiczne trafiło do kosza tylko raz.

Złota era koszykówki rozpoczęła się w 1947 r. Pierwszym oficjalnym mistrzem NBA został wtedy zespół Philadelphia Warriors. Kilka lat później w tej drużynie zaczynał karierę koszykarz-legenda, Wilt Chamberlain. Ze względu na wzrost nazywany „Szczudłem”. Wstawił się tym, że w jednym meczu zdobył 100 punktów. Tego rekordu nikt nie pobił, nawet słynny Michael Jordan, na początku lat 90. najjaśniejsza gwiazda Chicago Bulls – drużyny, która pod jego wodzą sześciokrotnie sięgała po mistrzowski tytuł.

Latający byk z Chicago

Jordan miał tylko jedną słabość. Święcie wierzył, że szczęście w grze przynioszą mu pierwsze spodenki z uniwersyteckiego klubu North Carolina. Dlatego pod klubowe – Byków – zakładał majtki Caroliny. Były dlań jak talizman.

I rzeczywiście, na parkiecie dokonywał cudów. Bozia nie obdarzyła go imponująco koszykarskim wzrostem, ale miał wrodzo-

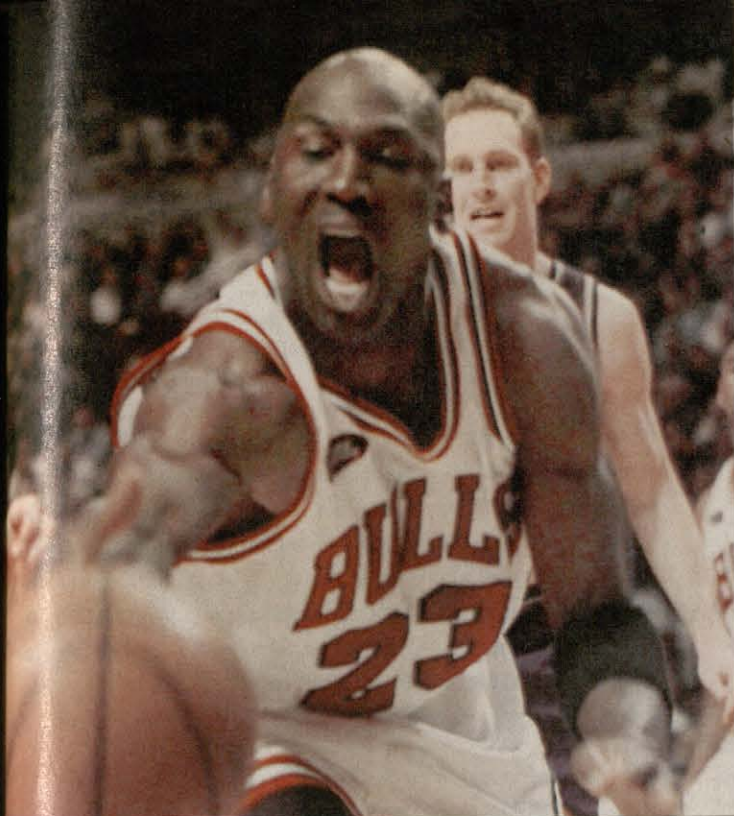
ną zwinność i smykałkę sportową. Dzięki temu fruwał w powietrzu z piłką niczym wiatr, do tego stopnia, że kibice nazwali go „Air”. Po jednym z meczów, w którym „Szybowiec” samodzielnie doprowadził do dwóch dogrywek, zdobywając 63 punkty, ostatni wielki z białych koszykarzy, Larry Bird, podsumował jego grę, mówiąc: „Pan Bóg przebrany za Michaela Jordana”.

O jego ogromnej popularności w głównej mierze decydowała bajeczna gra. Nie bez znaczenia pozostała siła wszechwładnej telewizji, która sportowego mistrza wyniosła na piedestał popkultury. Dzięki kontraktom reklamowym z firmą Nike, na której produktach widnieje jego przydomek, został jednym z najbogatszych sportowców świata.

Pod jej patronatem w 1998 r. wystartowała firma Jordan i szybko stała się dyktatorem na światowym rynku sportowej mody. Szefuje jej Michael. Oprócz odzieży swoim nazwiskiem firmuje także kolekcję męskich kosmetyków. I chociaż Jordan wycofał się z gry, na reklamach zarabia krocie. Jego bankowe konto każdego dnia wzbogaca się średnio o około 178 tys. dolarów. W NBA jest tylko jeden człowiek, który ma szansę dorównać mu sławą.

Shaq w rytmie rap

Shaquille Rashaun to po islandzku mały wojownik. Drugie imię pasuje do niego jak ulał, pierwsze wręcz przeciwnie. Shaq O'Neal mierzy



Michael Jordan (Chicago Bulls) i Adam Keefe (Utah Jazz)

216 cm i jest uznawany za najlepiej grającego i zarabiającego koszykarza świata.

To pierwszy zawodnik NBA, który na mocy jednego kontraktu wzbogacił się o ponad 200 mln dolarów. Większość fachowców jest zdania, że jego talent wart jest tych pieniędzy. Żaden z koszykarzy nie opanował zonglerki piłką i odczytywania zagrań rywala w takim stopniu jak on. W poprzednim sezonie z drużyną Los Angeles Lakers wywalczył mistrzowski tytuł, zdobył koronę króla strzelców, ogłoszono go także najlepszym graczem.

Wtedy gwiazdor koszykówki zaczął marzyć o kinie i muzyce. W filmie „Czarodziej Kazaan” wystąpił w głównej roli. Jest cenionym raperem. Nagrał 6 płyt i nakręcił 29 teledysków.

Czarny basket

W ostatniej dekadzie ligę NBA zdominowali zawodnicy ciemnoskórzy, a kiedyś było odwrotnie. Równie rzadko za oceanem grywają zawodnicy europejscy. Tylko najlepszym się udaje; nazwiska Arvidasa Sabonisa, Toniego Kukoca czy Vlode Divaca znane są wszystkim miłośnikom basketu.



Allen Iverson (Philadelphia 76ERS) w ataku na kosz.
Broni Avery Johnson (San Antonio Spurs).

W składach drużyn NBA próżno szukać Polaków. Równie trudno ściągnąć do Polski graczy z NBA. Ostatnio głośno było o Haroldzie Jamiesonie, który przybył do Śląska Wrocław z Miami. Zrobił furorę i szybko się zwinął.

Lepiej było w koszykówce kobiecej. Małgorzata Dydek i Krystyna Szymańska-Lara z powodzeniem występowały w amerykańskiej lidze za-

wodowej WNBA, reprezentując klub Utah Starzz z miasta Salt Lake City.

Rozgrywki NBA przekroczyły półmetek. Los Angeles Lakers nie błyszcza. Rewelacją sezonu stał się zespół Philadelphia 76ERS. Ma na koncie najwięcej zwycięstw w lidze, a w składzie Allena Iversona. W dorocznym meczu gwiazd, pod nieobecność kontuzjowanego O'Neala, był on najlepszy. Przypomnijmy, że

Wschód niespodziewanie pokonał Zachód 1 punktem.

Shaquille O'Neal oznajmił, że czuje się jak ciężarówka, w której jedno z kół się nie obraca. Kibice mają jednak nadzieję, że do czerwca wszystko będzie w porządku, Shaq włączy swój piąty bieg i mistrzostwo pozostanie w Kalifornii. Odpowiedź poznamy w czerwcu.

PIOTR TYMCZAK

KIEDY?

1891 – dr James Naismith, nauczyciel college'u w Springfield, „wynalazł” koszykówkę.

1898 – powstaje pierwsza w historii Liga Koszykówki NBL.

1914 – zostają zatwierdzone reguły gry.

1925 – pierwsza liga zawodowa ABL.

1948 – z połączenia dwóch koszykarskich lig, BAA i NBL – powstaje NBA.

1949 – pierwsi ciemnoskórzy gracze w NBA – Earl Loyd, Nad Clifton i Chuck Cooper.

1961 – do przepisów wprowadzony zostaje rzut za 3 pkt.

1992 – na olimpiadzie w Barcelonie po raz pierwszy wystąpili gracze NBA; drużyna nazywała się Dream Team.

ILE?

100 punktów w jednym meczu zdobył Wilt Chamberlain.

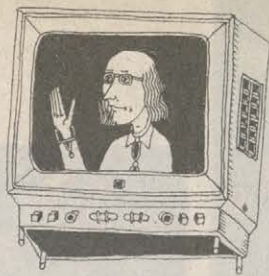
1045 meczów, 47 859 minut, średnio 45,8 minut w jednym meczu – Wilt Chamberlain.

930 meczów, 29 277 pkt., średnia 31,5 pkt. – Michael Jordan.

208,5 miliona dolarów – kontrakt Shaquille O'Neala z LA Lakers do 2006 r.

JAK?

Rozgrywki w NBA różnią się od europejskich. Liga jest podzielona na dwie konferencje: wschodnią i zachodnią, a te z kolei na cztery dywizje – na wschodzie: Atlantic i Central Division; na zachodzie: Midwest i Pacific Division. W rozgrywkach uczestniczy 27 zespołów z USA i dwa z Kanady. Najpierw zespoły grają mecze w systemie każdy z każdym, potem play off. Do drugiej fazy awansuje osiem drużyn z każdej konferencji. W pierwszej fazie play off gra się do trzech zwycięstw, w drugiej do czterech. Tak samo w finale konferencji. Ostatnim akordem rozgrywek jest wielki finał, w którym również do czterech zwycięstw walczą mistrzowie konferencji.



CZYNY I SŁOWA

Gdy odbywa się Kongres Kultury Polskiej, to intelektualiści pojawiają się na ekranie i preterzy odpytują ich, jak krzewić kulturę w telewizji. „Słowa, słowa, słowa”. Czyny wyglądają następująco:

1. Prawie każdy program informacyjny TVP przynosi wiadomości o tym, że jesteśmy narodem kretynów i wtórnych analfabetów. A Leszek Miller dodaje refren do tej piosenki: „Ten kraj, to morze nędzy i ubóstwa”.

2. Nie dziwi więc, że film Jerzego Zalewskiego „Obywatel poeta” o Zbigniewie Herbertcie przeleżał na półce w telewizji pół roku, póki Zarząd TVP nie zdecydował, co z tym kukulczym jajem zrobić. Nadał go tuż przed północą, opatrzył pismem przewodnim i tzw. dyskusją po emisji. Służyła ona udowodnieniu tezy, że reżyser Zalewski dopuścił się przestępstwa, pomieszczając w filmie negatywną opinię poety o Adamie Michniku i Czesławie Miłoszu. Wyjaśnili to społeczeń-

stwu pan Żakowski i pan Chojecki. Bez tych wyjaśnień my, durni widzowie, moglibyśmy uznać film pana Zalewskiego za ważny.

3. Rzecznik TVP, Janusz Cieliszak, w „Rzeczpospolitej” stwierdził, że publiczna TV nie będzie nadawać reklamówki wspierającej kampanię „Nie zrywaj z kulturą”, prowadzoną przez Ministerstwo Kultury, gdyż „nie możemy być darmowym forum dla wszystkich akcji charytatywnych, bo wtedy nie byłoby czasu na emisję programu”. Wniosek: Dzięki mędrcom z Zarządu TVP dopełniło się proroctwo Witkacego:

*Nie zabrną me twory pod żadne strzechy,
Bo wtedy, na szczęście, żadnych strzech nie będzie.
W ogóle z tego żadnej nie będzie uciechy,
I tylko świństwo równomiernie rozpełźnie się wszędzie.*

PS. W „Moim Dzienniczku Polskim” („Dziennik Polski” z 19.01.2001) Andrzej Sikorowski, po przeczytaniu tekstu „Votum separatum”, napisał: „(...) stwierdzenie, że składałem Dańcowi hołdy, jest kłamstwem. Nie padło z mych ust ani jedno słowo sugerujące taką tezę”. Przytoczę słowa z mojego felietonu, choć cytowanie własnych słów

uważam za objaw megalomanii, ale wobec słowa-kamienia zrobić to muszę. Opisując program „Wizyta na plebanii”, napisałam: „Marcin Daniec, tym razem w przebraniu księdza, nie monologował, ale przyjmował gości: Piaska-Piasecznego pop-śpiewaka, satyryka Piaseckiego z programu „Ale plama” (TVN) i Sikorowskiego, zwanego Malina. Daniec rozmawiał z nimi jak zawodowy talk-showman, oni śpiewali, oddawali mu hołdy (skojarzenie z Trzema Królami wykracza poza paradygmat), dzielili się opłatkiem”.

Słowa „hołd” użyłam przewrotnie i żartobliwie. Nawiązałam do jedynego, rzucającego się w oczy zabiegu, usiłującego utrzymać dramaturgię programu, w tzw. kupie – hołdu Trzech Królów.

Nie napisałam, że pan Andrzej Sikorowski powiedział, że np. podziwia urodę pana Dańca, że zachwyca się jego błyskotliwymi pytaniami, że uwielbia jego humor.

Czyny czasem więcej ważą niż słowa. To, że pojawił się Pan w programie Dańca, poddał się tzw. rozmowie telewizyjnej i że pobrał Pan za to honorarium, jest wyrazem akceptacji i poważania. Nie przychodzi mi z wizytą świąteczną do kogoś, kogo się nie szanuje. Jeżeli jest inaczej, to przepraszam. „Kap, kap, płyną tzy”.

PS 2. Ma pan rację. Używam rodzajnika żeńskiego, bo jestem kobietą.

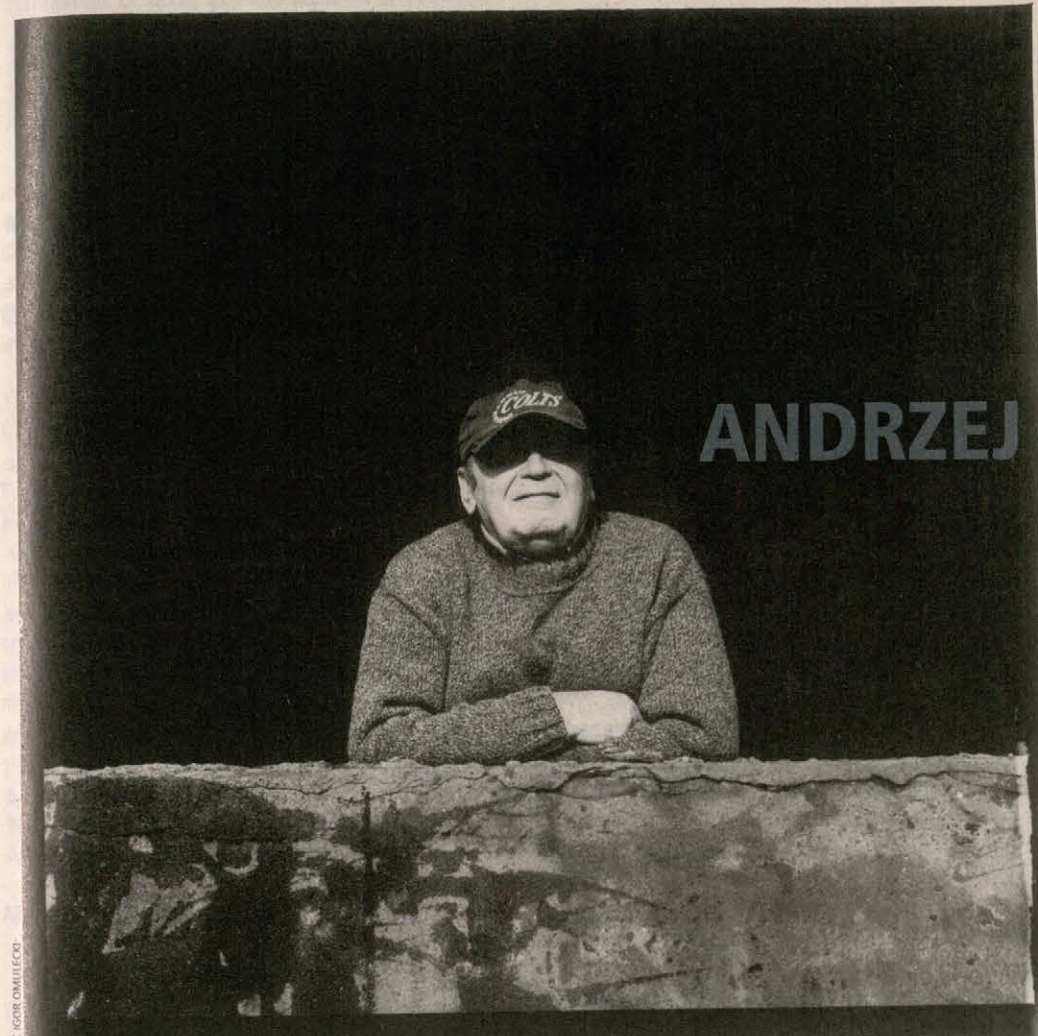
Wtajerka

W POLSKIEJ
TELEWIZJI
PUBLICZNEJ
MÓWI SIĘ
O KULTURZE,
EDUKACJI PRZEZ
SZTUKĘ
TYLKO PRZY
ŚWIĘCIE.



ANDRZEJ CZECZOT

Grafik, ilustrator, autor rysunków satyrycznych i humorystycznych, od niedawna na stałe na naszych łamach. Obecnie pracuje w Łodzi nad trzyczęściowym, pełnometrażowym filmem animowanym „Eden”.



LICZĘ NA ŁAGODNY WYROK

Pytania, na które odpowiedział Andrzej Czeczot, od dawna krążyły wśród bywalców. Trzy razy odpowiadał na nie Prus. Był w redakcji jeszcze inny kwestionariusz. Na pytania z niego zaczerpnięte odpowiadał Marcel Proust (dwa razy). Kwestionariusz Prousta „Przekrój” drukował w latach 60. Ostatnio zniknął z biurka redaktora Kerna. Ktoś wywiózł kwestionariusz do Warszawy.

Co tutaj robisz?
Haruję.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?
Łagodność.

Pokusa nie do odparcia?
Papierosy.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?
Bo jest dziwne – a czasem nudne.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?
Tych, którzy gryzą słabszych.

Twoje grzechy główne?
Nadwaga.

Pierwsze największe marzenie?
Być dorożkarzem.

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?
Nigdy.

Czego powinno nie być?
Ludzi nieskazitelných.

Czego masz za dużo?
Ochoty.

Najbardziej staram się...
...pić w miarę.

Co odróżnia człowieka?
Głupota.

Ostatnia tęsknota?
Umrzeć w butach.

Bez czego nie możesz zasnąć?
Bez polskiego filmu.

Wyjątek czy reguła?
Same wyjątki.

Na co liczysz?
Na łagodny wyrok.

Kiedy jestem sam...
...też rysuję.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?
Za wielki tenis.

Co podpowiadają ci złe sity?
Urwać się.

Twój najbardziej zaniedbany talent?
Do ludzi.

Jak chciałbyś być zapamiętany?
Jak Matejko.

Co nowego?
Ciągłe coś.

NIESZCZESNE SYLLABUSY

Pani Stefania Grodzieńska w jednym z wywiadów z właściwym sobie wdziękiem stwierdziła, że coraz częściej nie rozumie, co do niej, w ojczystym języku, mówią rodacy.

Chwała Bogu, że powiedziała to osoba posługująca się przecież przepiękną polszczyzną, bo byłam bliska popadnięcia w kompleksy! Uczylać czterdziści lat języka polskiego, skończyłam polonistykę. I oto wpadł mi w ręce syllabus z języka polskiego – matura 2002 – dla młodzieży. Wkrótce – listami z MEN – ma otrzymać ów materiał 240 tysięcy przyszłych maturzystów.

Cytuję panią Grodzieńską: „Ja na szczęście już nic nie muszę”, ale może szanowna redakcja, bez dodatkowego studiowania wszelakich słowników (zresztą często bezskutecznie), wyjaśni mi znaczenie słów: prozodia, erystyka, illokucja, idiolekt, anakoluty, arodoxys, intertekstualność, oniryzm itd. – bo to tylko część sformułowań wypisanych z syllabusa!

Z takich „cacek” w rozdziale „Opis wymagań” składają się m.in. tematy zadań, poleceń, testów z języka polskiego dla przyszłych maturzystów. Nie wiem, kto jest autorem tych „nowotworków”, ale zrobiło mi się smutno, bo przecież chodzi o to, „aby język giętki powiedział

wszystko, co pomyśli głowa”. A może Słowacki nie miał racji, tylko autorzy „Syllabusa 2000”?

Janina Oklek, Gliwice

JESZCZE W SPRAWIE BASI ZAPŁAKANEJ

Do listu p. Hanny Donimirskiej („P” 2901), nawiązującego do artykułu prof. Janusza Tazbira („P” 2896–7), zakradł się poważny błąd. Literatura sugeruje raczej, że ową Basią była druga ukochana żona wodza legionów, Barbara, de domo Chłapowska.

W 1807 r. 52-letni Jan Henryk Dąbrowski poślubił znacznie od siebie młodszą, 24-letnią Barbarę; z tego związku urodziło się dwoje dzieci: syn Bronisław i córka Bogusława. Pani Generałowa, jak powszechnie nazywano Barbarę Dąbrowską, wydała Bogusławę za Mańkowskiego. Ich potomkowie mieszkali do 1939 r. w Winnogórze, majątku ofiarowanym Dąbrowskiemu (za zasługi wojenne) przez Napoleona.

Halina Węgorkowa, Poznań SYMBOLICZNY ŻURAW

W ciekawym artykule „Pacyfa – znak pokoju” („P” 2902) zabrakło informacji, skąd wziął się tytułowy znak. Kiedyś spotkałem się z wyjaśnieniem, że to symboliczne przedstawienie żurawia. Ten ptak ponoć wziął się z papierowych

japońskich składanek (origami), które wykonywało dziecko dotknięte chorobą popromienną, po wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą. Opiekunka tego dziecka powiedziała mu, że jeśli wykona takich papierowych żurawi, wówczas wyzdrowieje. Niestety, dziecko zmarło po wykonaniu ponad 300 ptaków. Odtąd sylwetka lecącego żurawia jest znakiem pokoju – pacyfą.

Andrzej Chłodziński, <szczyt@polbox.com>

AŻ 13 RAZY...

Nie znalazłem się w wylizance Daniela Olbrychskiego („Łoża”, „P” 2901), ale jestem do głębi oburzony wezwaniem do całowania nie raz, lecz 13 razy (fatalna liczba, proszę sprawdzić i policzyć). Czy tak winien się zachowywać twórca kultury, bo za takiego się uważa nasz bohater? Trzeba by postawić pytanie: jeśli ktoś osiągnie popularność, to zaraz musi schamieć? Orwell miał powiedzieć: „Ludzie są uczciwi tylko wtedy, gdy nie posiadają władzy”. Wystarczy tu zamienić słowo „władzy” na „sławy” i wszystkich gra.

Mogę to poprzeć przykładami. Kozakiewicz wstawił nie tyle wyczyn sportowy, co gest okazany w Moskwie w 1980 r. To go właśnie utrwaliło w pamięci. A dziś? Pewnie długo będzie pamiętany poseł Dziwulski za: „Poseł jest jak pr... i musi spotykać się z każdym”. A słynny skrót: TKM, który na dobre zadomowił się w języku politycznym? Itd., itd. Ciekaw jestem, czy przypomnieć sobie, kto powiedział krótko: „Chamiejemy!”, i zakończył kazanie.

Stanisław Wiszowaty, Suwałki

O LENI NA OLIMPIADZIE

Nawiązując do artykułu o Leni Riefenstahl („P” 2898) pragnę wspomnieć mało znany, a wprost niewiarygodny dla znawców sportu fakt związany z realizacją przez nią dwuczęściowego filmu „Olimpiada”: „Święto narodów” i „Święto piękna”.

Na berlińskiej olimpiadzie w 1936 r. gwiazdą amerykańskiego zespołu był Jesse Owens, który zdobył tam cztery złote medale. Kiedy ustanowił wspaniały (na ówczesne czasy) rekord świata w skoku w dal (8 m 6 cm), Leni Riefenstahl przy tym nie było – filmowała inną konkurencję. Zrozpaczona przybiegła do świeżo upieczonego rekordzisty świata i uprosiła go, by dla celów dokumentalnych oddał jeden skok pokazowy, który ona uwieczni na taśmie filmowej. Owens zgodził się i po szybkim rozbiegu oddał wspaniały stylowo skok, osiągając... dokładnie znów 8 m 6 cm! I to Leni sfilmowała!

Dr Fred Flesztar, Buffalo, USA

SIEDZĘ W STANACH...

Właśnie dopadłem fragmenty „Przekroju” z gandzioczą. Ludzie, jesteście cudowni! Po stopach Was tylko całować za taki tekst. Siedzę teraz w Stanach i o „P” ciężko, ale jak (jeśli) wrócę, to kurczę, pięć prenumerat opłace. Naprawdę, myślałem, że nikt nie zdobędzie się na powiedzenie tego, a Wy jednak się zdobyliście w numerze 2902.

Lorefold Arion Mánveru, <lorefold@poczta.wp.pl>

Konkurs dla prenumeratorów

PRENUMERUJ i pisz wiersze

Warunki uczestnictwa:

Zaprenumeruj „Przekrój” (w „RUCH-u”, na poczcie lub w redakcji) na okres co najmniej jednego kwartału, poczynawszy od dnia 1 IV br. **Napisz LIMERYK zawierający słowo „Przekrój”**.

Prześlij pod adresem redakcji kserokopię dowodu opłaty prenumeraty, wraz z limerykiem, **do dnia 9 marca br. (decyduje data stempla pocztowego)**. Adres redakcji: „Przekrój”, 31-012 Kraków, skr. poczt. 533, z dopiskiem „Prenumerata”

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 12 marca br.

Redakcyjne jury dokona wyboru najlepszych limeryków.

Nagrody:

I – serwis obiadowy Carmen, II – serwis obiadowy Rita, III – garnitur do kawy. Wyróżnienia: 5 kompletów książek, 3 zestawy kosmetyków

Główne nagrody ufundowała Firma Porcelana-Chodzież SA.

Redakcja zastrzega sobie prawo do wykorzystania nadesłanych materiałów w całości lub fragmentach. Zgadzam się na przetwarzanie moich danych osobowych w zakresie niezbędnym do obsługi zamówienia. Dane są chronione zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych (Dz.U. Nr 133, poz. 882). Oświadczam, że wiem o prawie do wglądu i poprawiania moich danych osobowych.

Podpis

WARUNKI PRENUMERATY II KWARTAŁ 2001

KRAJOWA

Poczta Polska – 40,30 zł. Wpłaty do 25 lutego br. przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze – w rejonach doręczeń.

„RUCH” – 40,30 zł. Wpłaty do 5 marca br. przyjmuje oddział „RUCH” najbliższy miejsca zamieszkania prenumeratora.

ZAGRANICZNA

„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy,

01–248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33,

Konto: Bank Pekao SA IV O/Warszawa Nr 12401053-40060347-2700-401112-001

poczta zwykłą na cały świat:

kwartał – 136 zł półrocze – 234 zł rok – 390 zł

poczta lotniczą I (Europa, Rosja, Izrael): kwartał – 160 zł półrocze – 274 zł rok – 457 zł

poczta lotniczą II (reszta świata): kwartał – 207 zł półrocze – 355 zł rok – 592 zł

Zamawiana z zagranicy. Wpłaty na to samo konto co wpłaty w kraju

poczta zwykłą na cały świat:

kwartał – 33,95 USD półrocze – 58,20 USD rok – 97,00 USD

poczta lotniczą I (Europa): kwartał – 39,90 USD półrocze – 68,40 USD rok – 114,00 USD

poczta lotniczą II (reszta świata): kwartał – 51,80 USD półrocze – 88,80 USD rok – 148,00 USD

Wpłaty do 5 marca br. lub w terminie dowolnym – z wysyłką po 3 tygodniach.

Wpłaty z zagranicy można dokonać kartami: American Express, JCB, Eurocard, Visa, Mastercard, od dowolnego numeru. Szczegółowe informacje – tel. w kraju: 0-800-120-029 (informacje bezpłatne) tel. +48(22) 5328-731, 5328-820, 5328-816, fax: +48(22) 5328-732 oraz na stronie internetowej www.ruch.pol.pl. e-mail: prenumerata@okdp.ruch.com.pl

Wpłaty na prenumeratę krajową, zagraniczną i z zagranicy można dokonywać także na konto redakcji „Przekrój”: Bank Pekao SA – I O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001.

Ceny jak w prenumeracie RUCH-u.

Ten numer „P” gości w:

radio TAK 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy
25-363 Kielce,
Wesoła 47/49,
tel. (041) 362 09 51

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

RADIO KRAKÓW
Małopolska
Krośnice: 101,6 FM
Tarnobrzeg: 101,0 FM
Nowy Sącz: 90,0 FM
Zakopane: 100,0 FM
Krynica: 102,1 FM
Rabka: 87,4 FM
Sucha Beskidzka: 87,4 FM
Świętochłowice: 87,4 FM
Świętochłowice: 87,4 FM

RADIO PARADA
96.00 FM

98.10 FM Radio MAKS
Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

radio Merkur 91.1 FM
POZNAŃ 91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
Reklamy: tel. (0-61) 865-83-73

RADIO ECHO 99.60 FM 92.30 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

ul. Wielopole 3
Kraków
Radtur
tel. 423-16-76 421-80-22
bilety lotnicze
wczasy - cały świat
bilety autokarowe

www.jordan.krakow.pl
KRAKÓW
ul. Sławkowska 12,
tel. 012/422 20 33,
ul. Długa 9
tel. 012/421 21 25
TARNÓW
ul. Pułaskiego 7
tel. 014/ 626 08 88
JORDAN
TWOJE BIURO PODRÓŻY

intercars
EUROPEJSKIE LINIE AUTOKAROWE
KRAKÓW, ul. PIJARSKA 21
Tel.: (0-12) 422 73 48, 423 20 61
e-mail: krakow@intercars.pl
WARSZAWA, ul. ŻURAWIA 20
Tel.: (0-22) 625 53 54
e-mail: warszawa@intercars.pl
www.intercars.pl

EUROPALM
BIURO TURYSTYCZNO - PRZEWOZOWE
Kraków, ul. Sienna 14 tel. 421 97 47 tel/fax 421 97 19
WZCASY I WYCIĘKI ZAGRANICZNE WYNAJEM AUTOKARÓW

Potwierdzenie dla wpłacającego	Odcinek dla posiadacza rachunku	Odcinek dla banku	Odcinek dla poczty	Przekaz dla wpłat na rachunki bankowe
Zł gr	Zł gr	Zł gr	Zł gr	Zł gr
grosze jak wyżej	grosze jak wyżej	grosze jak wyżej	grosze jak wyżej	grosze jak wyżej
słownie złotych	słownie złotych	słownie złotych	słownie złotych	słownie złotych
wpłacający	wpłacający	wpłacający	wpłacający	wpłacający
Dokładny adres	Dokładny adres	Dokładny adres	Dokładny adres	Dokładny adres
Nazwa banku	Nazwa banku	Nazwa banku	Nazwa banku	Nazwa banku
Pekao SA IV o/Warszawa	Pekao SA IV o/Warszawa	Pekao SA IV o/Warszawa	Pekao SA IV o/Warszawa	Pekao SA IV o/Warszawa
Numer rachunku	Numer rachunku	Numer rachunku	Numer rachunku	Numer rachunku
12401053-40060347-2700-401112-001	12401053-40060347-2700-401112-001	12401053-40060347-2700-401112-001	12401053-40060347-2700-401112-001	12401053-40060347-2700-401112-001
Dokładna nazwa rachunku	Dokładna nazwa rachunku	Dokładna nazwa rachunku	Dokładna nazwa rachunku	Dokładna nazwa rachunku
„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy	„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy	„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy	„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy	„RUCH” w Warszawie – Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy
Datownik	Datownik	Datownik	Datownik	Datownik
Opłata	Opłata	Opłata	Opłata	Opłata
zł gr	zł gr	zł gr	zł gr	zł gr
Podpis przjm.	Wypełnić na odwrocie	Wypełnić na odwrocie	Podpis przjm.	Podpis przjm.

PRZED
KROJ



PRZED
KROJ



PRZED
KROJ



PRZED
KROJ



PRENUMERATA PRENUMERATA PRENUMERATA PRENUMERATA



KRZYŻÓWKA nr 8

● Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do **niedzieli 4 marca** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju”. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „krzyżówka 8”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 6

L	I	S	T	O	P	A	D	A	E	R	O	K	L	U	B
E	Z			Y				R			E				R
S	I	T	K	O	P	R	O	S	O		F	A	K	T	Y
S		U		D	E	Z		W		T		L			
E		C	H	A	R	A	K	T	E	R	Y	S	T	Y	K
P	E		Z		T	N	Z			K		N			
S	A	R	A	J	E	W	O		I	G	N	O	R	A	N
Z		Z		W		R	A	K		A	E		U		
O	O	O			R			C	J	M					
M	R	O	W	I	S	K	O		P	R	Z	Y	S	I	A
A	B		T	S		O	N		Z		R				
K	O	N	T	R	A	B	A	N	D	Z	I	S	T	A	U
O	I		N	D	Z	K		B		K					
W	A	Ż	K	A		I	N	W	I	T		W	I	E	Ż
K		K				I		A			L		R		
A	M	A	R	Y	L	E	K				Ł	Y	Ż	W	I

● Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 6 – pięć zestawów kosmetyków serii Bouquet Nature RÓŻA ufundowanych przez FLORINĘ wylosowali: Barbara Pogorzelska, Sosnowiec; Irena Korszyńska, Wrocław; Jadwiga Karczewska, Skawina; Katarzyna Maciąg, Gliwice; Bogna Lewandowska, Bydgoszcz. **Gratulujemy!**

JOLKA nr 8



● Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do **niedzieli 4 marca** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych 5 upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekroju”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 8”.

● Rozwiązanie Jolki nr 6: **CHWAŁA TERAZ TOBIE, SŁOŃCE / ODYŃCU TY SAMOTNY / CO WSTAJESZ RANO Z TRZĘSAWISK NOCNYCH** (fragment wiersza Edwarda Stachury).

● Rzędami: Cervantes, busz, oręż, cętka, opilki, jabłoń, tonik, trón, Emma, kolporter, wykop, robak, Opoczno, ogień, tragi, chorąży, znicz, krzyż, czas, sroka, walc.

● Kolumnami: wzorzec, Humphrey, klinika, czółenka, opończa, recital, prowodyr, Antonio, rozsądek, trajkot, erotyka, sombrero, blaszka, rękojmnia, księżyc.

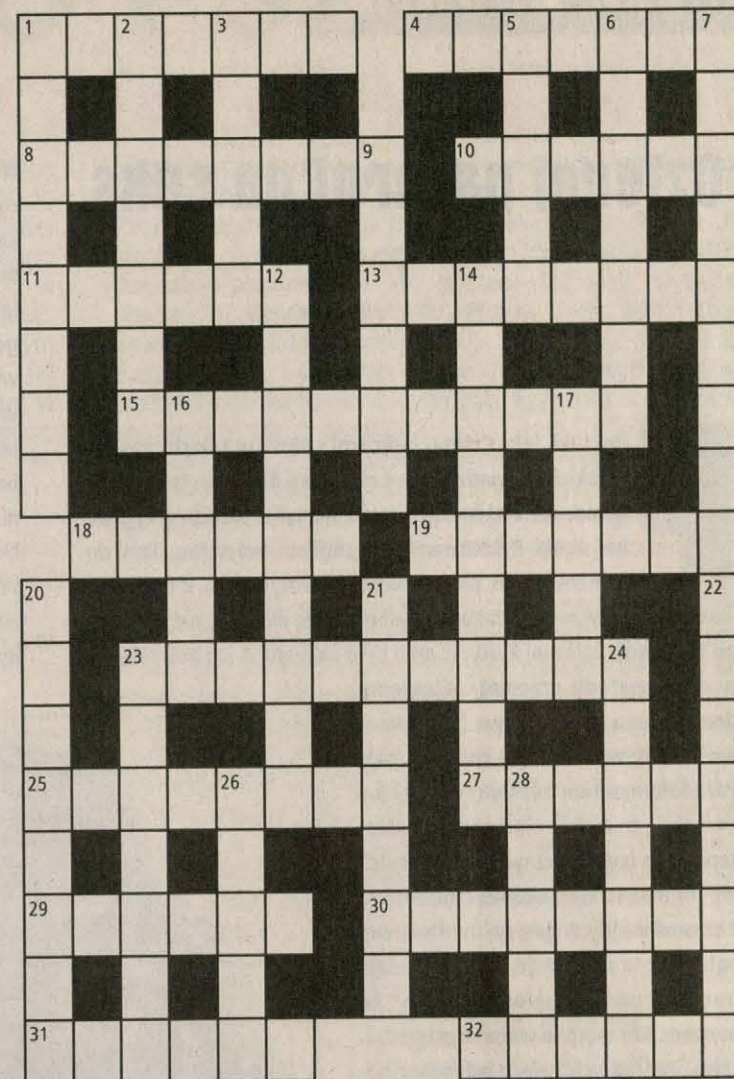
● Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 5 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Krystyna Dąbrowska, Szczecin; Lucyna Kończal, Nowy Tomyśl; Anna Chłapek, Piława Dolna; Krystyna Górka, Wtelno; Katarzyna Kondratowicz, Tczew. **Gratulujemy!**

POZIOMO:

- kozacka futrzana czapa
- z małym handelkiem
- pożyteczne ptaki, drobne, u nas chronione
- historia upoetyczniona
- niszczycielski potężny wichler
- ciało obce, które zostało we wnętrzu minerału podczas jego krystalizowania się
- persona
- peleng
- księżycowa droga
- szybko orientuje się w każdej sytuacji
- racławicka
- figlarny bożek
- śpiewająca rzeka
- specjalność szatana
- mędek poważnie przesadny
- od c do c

PIONOWO:

- starcie
- towarzysz pocztowej przesyłki
- ubranie kości
- odkaza, ale śmierdzi
- lakowa z wyciśniętym herbem
- kwietna wijąca się ozdoba przydomowych ogródków
- ze złamanym przez Polaków szyfrem
- gładka mutantka brzoskwini
- gra u Prusa
- ósmi „Przekroju”
- węgierka
- miejscość z podwarszawską puszcą
- pralinkopodobne, a jednak nie pralinki, które zniknęły z naszych sklepów
- małżonka topora
- świętynia wszystkich bogów
- trzecia część różańca
- Lena
- gra



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

K13 - J3 - C2 - F9 - L12 - I5 / A7 - C14 - L14 - D9 - E16 - B15 - H1 / L10 / K4 - L17 - H10 / E6 - Ł15 - G3 - H11 - A17 - J7 - Ł16 / E14 - I1 - D1 / I14 - G5 - A10 - F1 - D4 - K2 - Ł10 / B17 - F15 - A16 - F7 - Ł2 - A1 - K17 - C9 - G12 - I6.

Wyrazy 11-literowe:

• Kali • gdy nikt nic nie narzuca • branża z widokami na końskie grzbiety • ma usta pełne sukcesów

Wyrazy 10-literowe:

• furda, betka lub fraszka • szczególny kawałek Litwy (dwa wyrazy)

Wyraz 9-literowy:

• Sienkiewiczowskie włości

Wyrazy 8-literowe:

• tłoczą się i czego to nie plotą • cztery kółka jak zamek • między ziemią a Don Kichotem • Margaret, córka kupca zwana

Wyrazy 7-literowe:

• przy sobie „Sz. P.” nie pisze • czary w czarze • zbior od romansów • tylko by kimał i kimał • brzechwę zna na pamięć

• jeździ się w nim (powóz) lub z nim (bagaż)

Wyrazy 6-literowe:

• wtrącanie swoich trzech groszy uważa za... rozrzutność • armia faraona • zaszła drobna • przysznycłowa papka • psikus płynu surowiczego • podnóżek • figura Arktura • czarny scenariusz dla żelaznych dam i blaszanych drwali

Wyrazy 5-literowe:

• kanciaste greckie S • upłętzione amory

Wyrazy 4-literowe:

• do przesadzania nad Bałtykiem? • zabijana jolka • jego urok w otworkach • gaz kuszący • dziesięcionogi przysmak • wyje wyjeżdżając

Czterej pazerni na seks

Film taki, jak „Czterej pancerni i pies” w takich czasach, w jakich gromadził przed ekranami dior i neptunów cały naród, spełniał funkcję szerszą niż tylko funkcja przygodowej agitki. Był też namiastką thrillera, westernu, filmu dokumentalnego, przyrodniczego i erotycznego. Z tej prostej przyczyny, że takowych albo jeszcze nie było, przynajmniej po tej stronie żelaznej kurtyny, albo było za mało. A ich potrzeba już w duszy narodu drzemała. Elementy dreszczowca i westernowe („easternowe”?) motywy dostrzeże każdy głupek. Paradoksem był słynny serial już z tej racji, że wobec niemożności nakręcenia scen batalistycznych, nalotów etc., wmontowano w nich autentyczne zdjęcia z czasów wojny. Nigdy się nie śmiałem, oglądając te sekwencje, ale kiedy udają fragment przygód załogi „Rudego”, to owszem. Kto wątpi o walorze przyrodniczym „Pancernych”, niech przypomni sobie scenę siewu i weźmie też pod uwagę, że po raz pierwszy złożona psychika psa została ukazana w całej rozciągłości właśnie tu.

Może jestem zboczony, ale pragnę spojrzeć na film Konrada Nałęckiego jako prototyp filmu erotycznego. Extremely soft, oczywiście. Choć... Kiedy dziewczyna na randce powiada: „U nas w sztabie mówili, że ofensywa rusza lada dzień”, to jest to coś więcej niż zwykłe wyuzdanie. Takie jest moje zdanie. A ponieważ jako ośmio- czy dziesięcioletek wielokrotnie śniłem o Marusi, wiem, o czym mówię. Już fragment pierwszego odcinka, w którym kompletuje się załoga późniejszego „Rudego”, przypomina casting do bojsbendu. Każda baba znajdzie coś dla siebie, jak jest blondasek Janek, to jest i „czorny” Gruzin, jak jest przystojniak, to i brzydka (Gustlik), jak jest niewiniątka (Janek dodał sobie lat, żeby iść na wojnę), to jest i władczy, ojcowski macho (Olgierd). Przypomnijmy sobie, jak bohaterowie zdają egzamin do załogi: Grigorij precyzyjnym manewrem czołgu wbija gwóźdź w drzewo, siłacz Gustlik wyciąga ten gwóźdź gołymi rękami i owija sobie wokół palca, Olgierd popisuje się znajomością chmur (wiadomo, intelektual!), a Janek celnością strzałów. Dopiero wykonawszy ten taniec wojenny i godowy zarazem, wyruszają na front.

Nie jestem aż tak zboczony, aby silić się na iskanie treści nieświadomych sączonych do tyłomózdzia przez propagandowy przecięć film. Żadnej analizy bujającej się na wertepach lufy czołgu jako symbolu fallicznego, nic z tych rzeczy. Prędzej już zajmuje mnie analogia fabularna „Pancernych” i współczesnego erotycznika. Co prawda, nigdy nie dałem rady obejrzeć ostatniego od początku do końca, ale wiem na przykład, ile taki film zyskuje, jeśli jego bohaterom każe się wykonywać te same przecięć i nieskomplikowane czynności w nietypowym entourage’u. Na egzotycznej wyspie, na rancho, w ośrodku badań kosmicznych, w dumasowskiej pseudo-Francji. Albo: na wojnie. W „Czterech pancernych” wojna często bywa zredukowana do roli zaledwie tła miłosnych podchodów Janka, Grigorija czy Gustlika. W myśl zasady: „A jak cię kula trafi jaka, poprosisz pannę, da ci buziaka”. Do jakiegoż zbliżenia dochodzi między Jankiem a Marusią, kiedy on niesie ją na rękach, szczęśliwie trafioną w polu przez zbłąkaną kulę! Jasne, że w adresowanym do młodzieży serialu stosunki męsko-damskie nie mogły wyjść poza granicę buziaka właśnie, najczęściej zaś kończyły się na mruganiu oczami czy wręczeniu kwiatka. Jednak do dziś nie rozumiałbym w pełni, co to znaczy kobieta wyzwolona, gdyby nie flircik Olgierda Jarosza z uszczęśliwioną, wyzwoloną (spod niemieckiej okupacji) mieszkanką Lublina w jednym z odcinków.

Fabula filmu erotycznego służy, jak się wydaje, stworzeniu pretekstów do maksymalnej ilości zajęć cielesnych w grupach i podgrupach, najlepiej systemem „każdy z każdym”. Im więcej możliwych kombinacji, tym lepszy film. Jeśli za surrogat aktu seksualnego wziąć wszystkie

wywracania oczu, końskie zaloty i całusy, to w „Czterech pancernych” takich kombinacji znajdziemy wcale sporo.

Jasne, że miłośnik filmów erotycznych odchodzi sprzed ekranu po zdobyciu Berlina z potężnym niedosytem. Golizny jak na lekarstwo, najwięcej w scenie, kiedy kąpiel Janka i Gustlika w strojach adamowych zakłóca niemiecki ostrzał (sprawdziłem na stop-klatce, mają cieliste slipy). Ale trzeba docenić, że jeśli film propagował seks, to w pełni bezpieczny. Nie licząc oczywiście ewentualności bomby lub miny. Delikatność też trzeba docenić, we współczesnym pornosie do wiadomych działań zapędzono by pewnie nawet Niemców, a może i psa. Więc mimo niedosytu błagam, aby Jerzy Hoffman nie nakręcił nowej wersji „Pancernych” z Lindą jako Jankiem i Figurą jako Marusią. Tego moje serce by nie wytrzymało.

JACEK PODSIADŁO

Rocznik 1964. Poeta. Współpracował z „bruLionem”, wydał wiele tomów wierszy; laureat nagrody Czesława Miłosza.



FOT. ANDRZEJ KRAMARZ

„Czterej pancerni”
sa prototypem
filmu erotycznego

MLECZKO PSZCZELE NATURALNA OCHRONA ZDROWIA

Mleczko pszczele jest produktem powstającym w gruczołach gardzieliowych młodych pszczół robotnic i przeznaczone jest do karmienia larw pszczół robotnic i trutni w ciągu pierwszych 3 dni życia oraz matek pszczelich. Skład mleczka pszczelego podawanego matkom pszczelim jest wyjątkowo bogaty, co w zasadniczy sposób wpływa na szybkość rozwoju, wielkość, płodność i długość ich życia. Mleczko pszczele jest jedynym źródłem pokarmu pszczelej królowej zapewniającym jej długowieczność i vitalność. Pszczele królowe są większe w porównaniu do robotnic, w okresie dojrzałości pciowej składają do 3.000 jajeczek dziennie i żyją kilka lat. Natomiast pszczoły robotnice są nieplodne i żyją przeciętnie 30 dni.

Jedną z najważniejszych właściwości biologicznych mleczka pszczelego jest jego korzystny wpływ na przemianę materii i procesy odnowy tkanek. Liczne badania wskazują, że mleczko pszczele przedłuża życie. Uważa się, że działanie to związane jest z obecnością w mleczku pszczelim nienasyconych kwasów tłuszczowych, w tym kwasu 10-hydroksy-2-decenowego. Mleczko pszczele wykazuje korzystne działanie na serce i układ krążenia, reguluje ciśnienie tętnicze krwi. Ponadto obniża poziom cholesterolu całkowitego i lipoprotein frakcji LDL, z tego względu można uważać, że wykazuje ono działanie przeciwmiażdżycowe. Najlepsze efekty lecznicze uzyskiwano pomiędzy 2 a 5 tygodniem terapii. Mleczko pszczele ma też znaczący wpływ na układ krwiotwórczy, małe dawki tego preparatu zwiększają objętość krwinek czerwonych i poziom zawartej w nich hemoglobiny. Mleczko pszczele przyjmowane doustnie wykazuje lecznicze działanie w chorobie niedokrwiennej serca, miażdżycy tętnic wieńcowych oraz w rehabilitacji po zawale mięśnia sercowego chorzy w krótkim czasie odzyskują zdrowie. Dobre wyniki otrzymano stosując mleczko pszczele u chorych z nadciśnieniem tętniczym i arytmia serca. Poza tym jest ono chętnie i z powodzeniem stosowane w stanach skurczowych tętnic kręgowych i zatorach mózgowych.

Ze względu na występowanie w mleczku pszczelim wielu biologicznie aktywnych związków okazało się ono szczególnie przydatne w profilaktyce i leczeniu chorób wieku starczego. Mleczko pszczele zawiera ogromną ilość acetylocholin (neurohormonu odpowiedzialnego za przekazywanie impulsów nerwowych), dzięki czemu wspomaga leczenie schorzeń nerwowych i psychicznych wynikających z obniżenia energii życiowej. Usprawnia pracę mózgu, poprawia pamięć i zdolność koncentracji. Wpływa na podwyższenie sprawności słuchu i wzroku. Ostatnie doniesienia naukowe dotyczące stwardnienia rozsianego (SM), choroby Alzheimera, potwierdzają pozytywny wpływ mleczka pszczelego w leczeniu tych schorzeń. Stosowanie mleczka pszczelego zaleca się także w rekonwalescencji po innych wyniszczających chorobach. Ponadto mleczko pszczele często polecane jest w okresie przekwitania, obecne w mleczku pszczelim testosteron i estradiol działają stymulująco na gruczoły pciowe kobiet i mężczyzn. Francuzi z powodzeniem leczą mleczkiem pszczelim impotencję. Podawanie mleczka pszczelego jest również uzasadnione w chorobach przewodu pokarmowego spowodowanych upośledzonym trawieniem i wchłanianiem u osób starszych.

Niemalą rolę odgrywa ono także w leczeniu osteoporozy, złamań oraz innych schorzeń układu kostnego.

Produkowane w kraju **Mleczko Pszczele Royal Jelly** w postaci kapsulek zawiera 100 mg liofilizatu, co odpowiada 300 mg świeżego mleczka pszczelego. W postaci tabletek wytwarzane są trzy preparaty: **Royal Jelly 150**, **Royal Jelly 300** i **Royal Jelly 750**, zawierające odpowiednio 150, 300 i 750 mg świeżego mleczka pszczelego w 1 tabletkę. **Royal Jelly 750** wyprodukowano z myślą o osobach szczególnie aktywnych fizycznie i umysłowo; sportowcy, studenci, ludzie businessu.

Z płynnych preparatów wymienić należy: **Apistimul Urtica** i **Apistimul Crataegi** zawierające 24 mg mleczka pszczelego w jednej dawce, a także **Apistimul Urtica Forte** i **Apistimul Crataegi Forte**, zawierające 48 mg mleczka pszczelego w jednej dawce.

Kurację należy przeprowadzać co najmniej dwa do czterech razy w roku. W poważniejszych schorzeniach używa się odpowiednio większych dawek, a leczenie należy prowadzić pod kontrolą lekarza. Ważną rolę odgrywa sposób podawania mleczka i zastosowana dawka. Profilaktycznie zalecana jest 1 tabletkę lub kapsułka **Royal Jelly** dziennie, przed śniadaniem, przez okres jednego miesiąca. Dla przykładu we Francji stosuje się dawki 250-500 mg dziennie, w Japonii nawet do 1000 mg dziennie. Przeciwwskazaniem do stosowania mleczka pszczelego jest nietolerancja tego produktu przez organizm lub objawy uczulenia, dlatego przed rozpoczęciem kuracji wskazane jest wykonanie próby. Należy dodać, że wbrew powszechnym opiniom alergia na mleczko pszczele nie jest zjawiskiem zbyt częstym.

„Wigoru wiele
da Ci mleczko pszczele”



PRODUCENT: P.P.F. „APIPOL-FARMA” Spółka z o.o. 32-400 Myślenice, ul. H. Cegielskiego 2

www.apipol.com.pl

tel. (0-12) 272-10-82

e-mail.apipol@apipol.com.pl

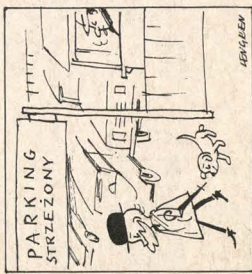
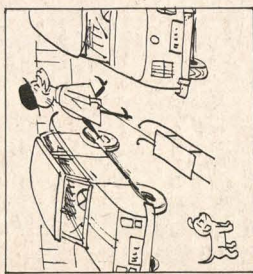
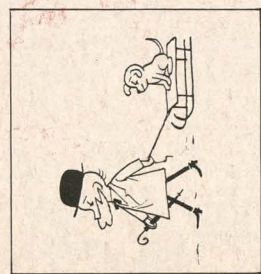
Podmacywanie to nic innego jak studiowanie ludzkiej anatomii metodą Braille'a.

O WACUSIU

- Falczaka z dnia na dzień wystali za granicę. „Powiedz, co ci kupię w tym Paryżu?” - powiedział do Falczakodział do Falczakodział przed odlotem. „Muszę się zastanowić” - odparła Falczakowa. „To się zastanów. Powiesz mi, jak wrócić”.

KASSANDRYZM

Ciekawe polityczne sformułowanie znalazli-



śmy w „Gazecie Wyborczej” z 18 stycznia. Chodzi o Saddama Husajna: **Iracka polityka syna Busha, obejmującego schedę po Clintonie, będzie chyba polegać na czekaniu na... śmierć lub emeryturę dyktatora z Waszyngtonu.** Czyżbyśmy mieli doczekać się w Waszyngtonie minaretów? (Nadstata: B. Kozierowska)

Autor „Trenów” nawet na dworze króla pieścił wysokie stanowiska.

Ludzie nauczyli się jeść banany od małp. Gospodarzył na swoich właściwościach. W karczmie obok rozpusty szerzył się patriotyzm.

HUMOR ZESZYTÓW wybrałsi z zbiorów: E. Biełli z Myślenic, H. Jurkowskiej z Wrocławia, K. Kidawy z Beźdżina i A. Kozarzewskiego z Pułtuska. Dziękujemy.

O WACUSIU

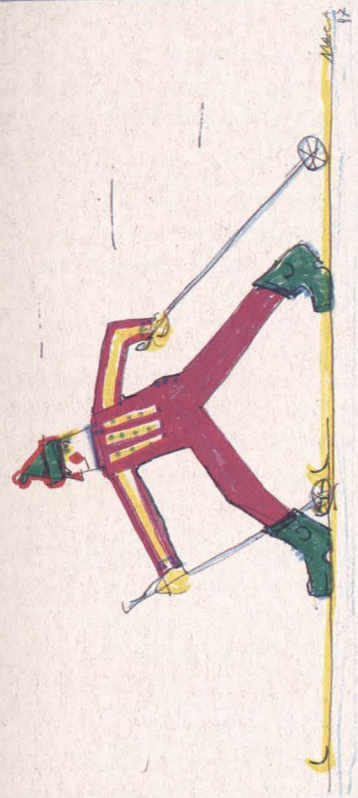
- Sasiedzi Falczaków mają sześciolatka, który już żłopie piwsko, pali pety, gra w karciochy i kłynie jak stary dryndziarz. „A umię on chociaż pacierz?” - zapytała raz Falczakowa sąsiadkę. „Nie - odpowiedziała sąsiadka - na to, to on jeszcze za młody”.

Cios sprawiedliwości

Ciekawostka z numeru 289 „Dziennika Polskiego”. W największym warszawskim sądzie na jednego sędziego przypada przeszło 10 spraw rocznie. Czujemy się oszołomieni, jakbyśmy dostali paragrafem w łeb. (Nadstata: A. Mikulski)

NA PEWNEGO DYGNITARZA

Dwie są rzeczy, które czynią z pana Typ społecznym o wartości wzoru: Brak poczucia własnego komizmu, Brak poczucia cudzego humoru. (Marian Hemar)



- Jakaś nie Małysz, to łap się za kijki.

OD PRAWEGO DO LEWEGO

Zdjęcie z nr 53 (ostatniego zeszytowego) „Polityki”:



Zdjęcie jak zdjęcie, tylko po co podkreślać jeszcze specjalnie lewicowość generała, zapinając mu na lewo mundur i przesuwając na lewo oficerskie sznuury? (Nadstata: J. Durkalec)

W Krakowie panowało przekonanie, że najlepszych znawców poezji można spotkać na ulicy Gołębiej, tam gdzie mieszczą się katedry filologii polskiej UJ. Ostatnio się zmieniło. Objawili się bowiem lepsi znawcy poezji w XVIII dzielnicy miasta, zwanej po prostu Nową Hutą. Radni tej dzielnicy orzekli mianowicie, że Konstanty Ildefons Gałczyński za nic w świecie nie może być patronem jednej z tamtejszych szkół, ponieważ był pijakiem, dziwkarskim i... Żydem, co w rodzinie żadnego z tych szlachetnie urodzonych radnych nie przytrafiło się od czasu bitwy pod Grunwaldem. **Quo usque tandem abutere, Catilina, patientia nostra?** - mawiał Ciceron, co po polsku można przetłumaczyć: „Jak długo jeszcze będą nam w kulturze mieszać ćwoki?”.

Nic o tym nie wiedząc, w Warszawie zebrał się komitet, którego celem jest uczczenie setnej rocznicy urodzin zdeklasowanego w Nowej Hucie poety. W komitecie są takie nazwiska, że w głowie się może zakręcić. Będą i znaczki pocztowe, i nowe zbiorowe wydanie dzieł, i nawet odpowiedni pomnیک. Na początek jedną z odrestaurowanych właśnie wielkich sal Pałacu Kultury (6 piętro) nazwano salą Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. W ścianę tej sali wmontowano przy wejściu portret poety wyrzeźbiony przez Alfonsa Karnego. Kto nie wie, kim był profesor Karny, otrzymuje niniejszym punkt karny.

Wreszcie ktoś wybrał się z taśmą mierniczą na Marsa i zmierzył tamtejszy Olimp. Okazało się, że ta górką jest sporo wyższa niż trzy Everesty (27 km) i jednocześnie dorabia sobie jako największy w systemie słonecznym wulkan.

Brat PRZEK-ROJEK